

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



LUCYNA LEGUT

ŻYCIE ARTYSTKI KINGI KIDNEY

Życie artystki Kingi Kidney

W małym barze przy ladzie stało dwóch mężczyzn: jeden wysoki, drugi dużo mniejszy. Ten mniejszy wpatrywał się w butelki przed sobą. Wysoki stał bokiem z łokciem opartym o ladę i trochę pochylony, patrzył na mniejszego, starając się go przekonać:

— To jest zupełnie zwyczajna historia.

— Nie lubię tego słuchać.

— Ale pan nie zna, nie może znać tej historii.

— Nie lubię słuchać takich rzeczy, powtarzam panu. Nie lubię, kiedy gość wraca z pogrzebu i chce się wypowiedzieć. Mój teść zawsze się upiera, żeby mi opowiadać o wszystkich wypadkach z rakiem. I to wtedy, kiedy niechcący wspomnę, że coś mnie boli. Niech diabli wezmą takie historie. Nie lubię ich.

— Ta nie ma nic wspólnego z tym, o czym pan mówi. Nie będzie pan mógł jej przyłożyć do żadnej ze swoich chorób. To jest zupełnie inna sprawa. Postawię panu pięćdziesiątkę, zgoda?

— Do diabła! Musiał pan wyniuchać, że jestem goły, a chciałbym się jeszcze czegoś napić. Powiedz pan, żeby nalali i zaczynaj swoje. Więc co to za historia?

— Zwyczajna. Życie artystki Kingi Kidney.

— Cudzoziemka?

— Nie. To pseudonim sceniczny; nazywała się Bronisława Taran.

— I co dalej?

— Nic.

— No to klawo. Rzadko można spotkać gościa, który się tak potrafi streszczać.

— Dzieciństwo Kingi było zupełnie przeciętne.

Ma właśnie pięć lat, w niebieskiej sukience w kratkę chodzi po ogrodzie i z liści kapusty zbiera gąsienice, które wkłada do małego moździerzka i skrzętnie ubija na miazgę.

— Jak to? Ubijała gąsienice? Tak po prostu?

— Aha. Tłuczkiem. Wie pan, taki dziecinny moździerz i do tego tłuczek.

— Zwyródnienie. Kiedy dorosła, to pewnie gryzła żaby.

— Nic podobnego. Kiedy dorosła, żyła z jednym facetem. Koniarz. Dżokej. Posępny idiota, rozumie pan?

— Nie.

— Och, to nieważne. Żyła z takim facetem, który ujeżdżał szkapy.

— I biła go tłuczkiem od moździerzka?

— Nie! Po prostu wtedy już nie ubijała gąsienic. Brzydziła się tego. W ogóle nie zabijała, tylko się brzydziła. Najbardziej grubych much. Kiedy wleciała do pokoju gruba mucha, dostawała torsji. Chowała się w łazience i stamtąd wrzeszczała: „Zrób nareszcie porządek z tą muchą! Nie wyjdę z łazienki, dopóki ona tam będzie!” I on zabijał muchę, a potem kiedy

sobie to przypomniał, nie mógł jeść obiadu.

— Trzeba przyznać, że jest to dosyć wstrętne.

Chociaż lepsze niż przyklepanie much do lepu. Moja żona wariuje za jepami. Po dwa i trzy lepy w każdym pokoju. Nie znoszę tego. Muchy konają tak beznadziejnie... To mi zawsze każe myśleć o śmierci w ogóle...

— Obsesja śmierci?

— Niby coś koło tego.

— Kinga też miała obsesję śmierci. Fred — bo takie imię nosił koniarz, ładne, co? — otóż Fred powiedział mi kiedyś, że rzuci ją właśnie dlatego. Właśnie przez tę obsesję śmierci. Rozumie pan, żeby kogoś rzucić, wymyśla się nawet taki idiotyczny powód. To był wyjątkowy kretyn i miał krzywe nogi... Nie od urodzenia, tylko od — koni.

— Czy chce mi pan także wszystko powiedzieć o Fredzie? Jak się urodził i tak dalej?

— Nie. Będę mówił o Kindze.

Kinga ma sześć lat. Siedzi z matką w maleńkim pokoiku parterowego domu. Przyszły do krawcowej na przymiarkę sukni, którą kazała uszyć sobie jej matka. Beżowa suknia z cienkiej wełny, z krótkimi plisowanymi rękawami. Zwłaszcza te rękawy są prześliczne.

Kinga siedzi w kącie na zielonej pluszowej kanapie, wokół porozkładane kawałki materiału, nożyczki, nici, naporstki... Małe okno zasłonięte prawie całkiem astrami i wysokimi krzewami czerwonych georginii. Jesienne słońce leży na astrach. Stalowe naporstki leżą na krześle. Kinga siedzi w kącie pluszowej kanapy. Plisowane rękawy sukni matki sięgają prawie łokcia. Słońce wciska się między astry. Jeden naporstek leży trochę dalej od innych, z boku... Kinga wyciąga rękę, potem wkłada naporstek do ust i trzyma go tak jak cukierek, ale i tak, żeby nie było widać, że usta są wypchane.

Wracają z matką do domu, a Kindze wydaje się, że idą parę lat; tak niewygodnie jest mieć naporstek pod językiem i nic nie mówić. Wreszcie jest ich dom, żelazna furka i schody, po których biegnie Kinga i zaraz wpada do łazienki, wyjmuje naporstek spod obolałego języka i chowa go w kącie za muszlą klozetową. Potem wychodzi i z ręką na kłamce słucha sekundę głosu matki, która się złości, że córka znów nie spuściła wody. Kinga wymyka się z mieszkania na schody, rozgląda się: klatka schodowa jest całkiem pusta. Schodzi do połowy schodów, opiera się plecami o barierę, patrzy w górę i upewniwszy się, że nikogo nie ma, mówi półgłosem: „cholera” i zbiega prosto do ogrodu, ale nie chce się jej nawet zbierać gąsienic. Jest umęczona. Jednego dnia osiągnęła wszystkie stopnie grzechu. Serce jej mocno bije. Nienawidzi siebie — najpierw ukradła, a potem wymówiła to straszne słowo — ale musiała to zrobić, żeby wiedzieć, jak to jest.

— Czy ona żyła dwieście lat temu? Dzisiaj dzieci mówią nie takie słowa i nikt nie robi z tego tragedii.

— Kinga była widocznie inaczej wychowana.

— Z „dobrego domu”?

— Nie. Ze zwykłego. Nie wiem nawet, czym był jej ojciec. Czymś tam był. Mówiła, że zawsze mieli mało pieniędzy, ale to jest bez znaczenia.

— Jak to bez znaczenia? Jak nie kłać, kiedy się ma mało pieniędzy?

— Nie wiem, bo ja nie klnę, bez względu na to ile mam. Mówię panu, że nie wiem. Może wtedy była taka moda. U mnie w domu też nikt nie kłał.

— Ba! Ale pan jest lepszy gość, to od razu

widać, a to była mała zdzira. Tak podwędzić komuś naparstek, jak się ma sześć lat...

— Nie o to chodzi.

— Racja. Niech pan mówi dalej.

— Kinga zaangażowała się do prowincjonalnego teatru.

— Jak to? Tak od razu? Po tym naparstku?

— Chcę o niej powiedzieć tylko pewne rzeczy, żeby pan miał jej obraz. Nie będę mówił wszystkiego, bo i po co? Napije się pan?

— Jasne! Już mogę słuchać.

— Zaangażowała się więc do prowincjonalnego teatru w N.

— Ładne miasteczko. Byłem tam kiedyś,

Kinga Kidney, początkująca artystka, stoi na scenie. Odbywa się próba jakiejś sztuki. Kinga ma zaciśnięte usta i oczy wbite w podłogę. Scena zawalona jest starymi skrzyniami i deskami, które mają markować dekoracje. Nie świecą się ani reflektory, ani rampa. W żółtym, trupim świetle roboczym unosi się pył ze starych kotar, które śmierdzą wilgotną kanapą. Przy stole, zbitym byle jak z desek, siedzi trzech mężczyzn i dwie kobiety. Jedna z nich, młoda, mizdrzy się do wszystkich trzech, potem temu, co siedzi na skraju stołu, kładzie nogi na kolana. Kinga nie podnosi oczu z podłogi. Reżyser biega po scenie nie patrząc na nią tylko na tych przy stole, jak by brał ich na świadków. Krzyczy:

— Co pani robi w nocy? Przecież pani stale śpi na scenie! Tu trzeba grać, a nie spać. Proszę się zdecydować: teatr albo miłość! Wszystkiego razem robić się nie da! Żeby być aktorem, trzeba mieć kondycję! Przychodzi pani w bluzce od pidżamy, żeby łatwiej było zasypiać, i głądzi pani coś pod nosem. Pani nie jest sama! Tutaj pracują ludzie i oni chcą grać, a pani śpi! Stale! Proszę coś ze sobą zrobić, bo inaczej będę musiał zmienić aktorkę. Chętnie ktoś inny zagra tę rolę, a pani niech idzie się kochać! Proszę! Zaczynamy od pierwszego aktu!

— Czy on był o nią zazdrosny? Ten reżyser?

— Nie, skądże! Był pederastą. Po prostu chodziło o to, że Kinga była tam dopiero co zaangażowana. Była NOWYM człowiekiem, rozumie pan? Żyła z tym swoim koniarzem i oni o tym wiedzieli. Należało ją jakoś ośmieszyć, a koniarz stanowił świetną okazję. Musi się przejść przez ośmieszenie. Każdy z nich, kiedy przychodził do teatru, najpierw był wykpiony i ośmieszony, więc teraz robili to samo z Kingą. Rekompensowali sobie ten dawny śmiech z nich, który jeszcze dźwięczał im w uszach. To zupełnie normalna sprawa.

— I co ona na to?

Wbiegła do domu wściekła i natychmiast zdziera z siebie tę bluzkę od pidżamy i kopie ją pod stół. Fred siedzi przy stole i rozmyśla o faworycie na przyszłe wyścigi. Zdejmuje bluzkę, która upadła na jego but, i trzymając ją w dwóch palcach oświadcza, że nie znosi takich histerycznych scen. Kinga wkłada więc tę bluzkę z powrotem i zabiera się do prasowania mokrej jeszcze sukni. Miała wtedy tylko jedną suknię i dlatego poszła na próbę w tamtej bluzce, myślała, że się nie domyślą...

Wyprasowawszy suknię siada skulona w fotelu naprzeciw Freda. Skarży się:

— Tego się nie da wytrzymać. Gdyby nie ty, wściekłabym się już dawno. Kiedy on na mnie krzyczy albo kiedy oni robią miny za moimi

plecami, wtedy chcę rzucić wszystko i uciec, ale wiem, że przecież to się niedługo skończy, przyjdę do domu i będziesz tam ty i wtedy nic mnie nie obchodzi.

Fred wstaje od stołu, zapala papierosa, zaciąga się, potem stojąc przodem do okna, a tyłem do Kingi, mówi gdzieś przed siebie:

— Dlaczego pozwalasz na takie kpiny? Możesz przecież znaleźć w swojej głowie tyle

dowcipu, żeby im wszystkim powiedzieć coś takiego, co poszłoby im w piętę!

Kinga spogląda na niego bezradnie.

— Co ja im mogę powiedzieć? Oni są tam już od dawna, a ja jestem nowa. Oni wszyscy dawno już stali się przyjaciółmi, a nawet jeżeli się nienawidzą, są i tak starymi, znanymi sobie wrogami i to ich łączy, a ja jestem nowa. Powiem im coś i zaczną mi jeszcze bardziej dokuczać, będą wymyślali dla mnie coraz nowe upokorzenia, aż zmuszą do dobrowolnego odejścia.

— No więc, jeżeli to wytrzymujesz, nie skarż się. Po co roztrząsać sprawy, na które i tak nic się nie poradzi?

— Opowiadam tobie. Muszę to wszystko komuś powiedzieć, żeby nie pęknąć z goryczy.

— Tak, ale ja nie potrafię ci pomóc. Przychodzisz do domu i jesteś wściekła. Nie mam ochoty patrzeć na ciebie, kiedy jesteś wściekła. Diabli mnie biorą i zaczynam mieć dosyć tego wszystkiego.

Mały mężczyzna przy barze dopił swoją wódkę, potem gwałtownie położył obie dłonie na ladzie bufetu, zaplótł palce o palce, nie powiedział ani słowa, tylko wpatrzył się uważnie w oczy towarzysza. Wysoki wyprostował się trochę, oparł się plecami o ladę, tak że Mały miał go teraz z boku, i patrząc przed siebie mówił w stronę przeciwległej ściany, na której wisiał napis: „Pluć tylko do spluwaczki”. — Kiedyś... To była chyba jesień.

Zimno jak diabli. Popołudnie. Kinga siedzi w starym fotelu i czyta książkę. Ma na sobie wojskowy sweter, taki jakiego nosili amerykańscy żołnierze, i szyję owiniętą rudym, wyleniałym liskiem. Wygląda to zabawnie, taka ruda kitka na szyi. Fred robi małe ćwiczenia gimnastyczne, trochę dla kondycji, a trochę dla rozgrzewki. Ktoś stuka do drzwi i zaraz potem wchodzi człowiek ze sztuczną szczęką. Od razu widać tę sztuczną szczękę, bo właśnie się uśmiecha. Jest to kierownik od spraw bytowych w teatrze. Kinga nie zna powodu wizyty, ale jest trochę zdenerwowana. Bawi się rudą kitką lisa i wpatruje się w rząd porcelanowych zębów, czekając na słowa. Kierownik od spraw bytowych najpierw grzecznie chwali kolor lisa i że naprawdę ładnie Kindze w tym rudym odcieniu, a potem przechodzi nagle do sprawy:

— Droga pani Kingo, pani nas wprowadziła w błąd, twierdząc, że mieszka z mężem. Przydzieliliśmy pokój z kuchnią, gdy tymczasem w dokumentach ten pan nie jest wymieniony jako pani mąż. Ba! Nawet nie zameldował się razem z panią. Wobec czego jesteśmy zmuszeni odebrać to mieszkanie. Dostanie pani pokój sublokatorski, trochę co prawda ciemny, ale można go będzie uroczo urządzić, kobieta już to na pewno potrafi... A samochód czeka właśnie na dole. Pomyśleliśmy o wszystkim, nie będzie pani musiała sama płacić za przewóz. Oł, zwróci pani tylko za benzynę i za nadliczbowe godziny kierowcy i już jutro obudzą się państwo w nowym mieszkanku...

— Jak to? — dziwi się Kinga. — Teraz?

Natychmiast mam się wyprowadzić? Ależ ja nic nie wiedziałam. W ogóle nie jestem spakowana. Trzeba było mnie chociaż uprzedzić... Błyska rząd porcelanowych zębów:

— Pani nas także nie uprzedziła, że ten pan nie jest pani mężem. Teraz już nic się nie da zrobić. Rano wprowadza się nowy aktor, przyjechał dzisiaj. Z żoną. Miejmy nadzieję, że tym razem prawdziwą, i oni muszą mieć to mieszkanie.

Po wyjściu kierownika od spraw bytowych Fred wpada w szał. Biega po mieszkaniu i krzyczy:

— Pozwalasz ze sobą wszystko robić. I nawet nie powiesz, co myślisz o takim chamstwie. Zostałem potraktowany jak rzecz, a ty nic na to. Jeszcze kiwasz do niego lisią kitką, kiedy on wychodzi. Ty nie jesteś normalna. Do takiego zbrodniarza kiwać lisią kitką!

Po tych słowach wybiega z domu, w samym tylko swetrze, chociaż nie jest zbyt ciepło i może się przeziębic. Przez kilka godzin chodzi brzegiem Wisły i studzi swoje wzburzone myśli. Kiedy wreszcie wraca, Kinga już wynosi do samochodu ostatni dzbanek na kwiaty. Na szczęście przeszła mu już wściekłość, więc uśmiecha się do Kingi i mówi:

— Nie przejmuj się. Jakoś to będzie. Potem nadchodzi noc. Pustą ulicą jedzie samochód wyładowany rzeczami, a potem idą oni:

Kinga i Fred. Fred nawet chce ująć rękę Kingi, ale ona ją wyrywa i wtedy mężczyzna znów czuje, że prawie nienawidzi Kingi; żeby nie wiem jak był dobry dla niej, ona zawsze musi to popsuć. Obiecuje sobie, że ją kiedyś rzuci.

Mały człowieczek przy barze wyjął z paczki papierosa, potem zapalając zapałkę zapytał:

— No i co? Rzucił ją?

— Cierpliwości! Czemu się tak śpieszyć? Chyba że ma pan już dosyć tej historii?

— Nie. Teraz, jak pan już zaczął, muszę wiedzieć wszystko do końca.

Jest gorące popołudnie. Kinga leży na pół rozebrana na żelaznym łóżku. Obok, od strony ściany, leży Fred. Kinga ćwiczy mięśnie ust rozciągając je wzdłuż i wszerz. Fred patrzy w sufit udając, że tego nie widzi. Marszczy czoło, jakby się starał usilnie coś sobie przypomnieć.

Przez szparę w nie dosuniętej storze wciska się słońce i ten jeden tylko słoneczny promień przekreśla półmrok pokoju. Kinga odwraca się bokiem, wyciąga rękę i zanurza ją w tym promieniu. Teraz porusza dłonią w smudze światła, nie przestając również poruszać ustami. Zegar na kościele wybił godzinę czwartą. Kinga wyciągnęła drugą dłoń i nadal bawi się smugą światła. Fred, leżąc z rękami wzdłuż ciała i ciężko oddychając, coraz bardziej marszczy czoło. Wreszcie Kinga skierowuje głowę w jego stronę i nie przestając poruszać ustami przygląda mu się. Fred usilnie stara się coś sobie przypomnieć, kiedy jednak oczy Kingi zbyt długo wpatrują się w niego, odwraca się gwałtownie do ściany i mówi ze złością:

— Przestań się wygłupiać! Co ci to daje, że robisz ze swoich ust gumę do żucia? Można się wściec, kiedy się na ciebie patrzy... na te głupie miny...

— To nie patrz. Nie mogę głośno ćwiczyć dykcji, bo cię to denerwuje. Zgoda, ale ostatecznie muszę jakoś pracować, jeżeli już jestem tą aktorką.

— I ty myślisz, że zostaniesz aktorką, jak się będziesz wykrzywiać?

— Ależ ja już jestem aktorką. Wykrzywanie to tylko dobrowolny dodatek do zawodu.

— I tak nikt nie widzi, że to robisz. Nie dadzą ci przez to lepszej roli. Choćbyś nawet miała twarz z plasteliny! Na pewno ci wielcy aktorzy nie gniotą swoich twarzy na wszystkie strony, a jednak kimś są.

— Nie bądź świnia, Fred! Jeżeli nawet nikim nie będę, to chcę swój zawód wykonywać sumiennie. Wstydzisz się, że jestem aktorką z prowincji. A ty kim jesteś? Dżokej. Koniarz. Kogo to dzisiaj obchodzi, że jesteś arystokratą? Większość arystokracji to degeneraci i matole.

— To już jest chamstwo! Posuwasz się trochę za daleko!

Kinga ziewa. Nie patrząc na Freda mówi poprzez ziewanie:

— Tyle razy powtarzam, że możesz odejść, jeżeli ci się nie podoba.

— Oczywiście! Tylko tyle potrafisz powiedzieć! — Fred jest wściekły. — Wiem, że mogę odejść, co na pewno zrobię w swoim czasie. Nie świadczy to najlepiej o tobie, że każesz mi odejść, kiedy ja nie mam gdzie iść. I ty o tym dobrze wiesz!

— Mój drogi! Ambitny mężczyzna — Kinga znów rozpoczyna ziewanie — tak sobie przynajmniej wyobrażam wielką szlachtę: człowiek złożony z wąsów i ambicji... Otóż ambitny

mężczyzna odszedłby natychmiast, choćby miał spać pod mostem. Nie korzystałby z cudzego łóżka.

— Jeżeli masz ochotę klócić się, to proszę bardzo! — Fred niepewnie łypie okiem w stronę Kingi. Ja w każdym razie nie słucham. Ale twoje dzisiejsze zachowanie będę pamiętał.

Jeszcze z dobry kwadrans Kinga ćwiczy mięśnie ust, podczas gdy Fred leży twarzą do ściany. Panuje zupełne milczenie. Potem Kinga siada na łóżku, zgarnia wszystkie włosy na twarz i trzymając łokcie na zgiętych kolanach zanurza dłonie w te włosy, przygląda im się pod światło i nie patrząc na Freda, jakby od niechcenia, zaczyna mówić:

— Przestańmy się wygłupiać i wściekać na siebie. Przecież to nie ma sensu. Wszystko dlatego, że nie mamy pieniędzy. Naprawdę można zwariować! Teraz nie będziesz się odzywał przez cały wieczór. Okropnie tego nie lubię.

— To ty zaczęłaś, nie ja.

— Niech będzie, że ja zaczęłam i dajmy już temu spokój.

— Co to znaczy „niech będzie”? Ty zaczęłaś i na tym koniec.

— Więc teraz chcę wszystko naprawić.

— Oczywiście, tak jest najłatwiej: obrażasz mnie, a potem przepraszasz.

— Przysięgam, że już nigdy w życiu nie powiem nic o twoich przodkach!

— Znowu zaczynasz?

— Nie zaczynam. Chcę skończyć. Uśmiechnij się! Kochanku!

— Nie znoszę, jak mnie nazywasz kochankiem! To jest trywialne!

— To może „bracie”? Ładnie?

— Jesteś idiotka!

— Oczywiście, jestem. A teraz już wszystko dobrze. No? Odwrócisz się do mnie? — Kinga odwraca głowę opierającego się Freda. Trzyma jego twarz w swoich dłoniach i mówi:

— Boże! Jakiż on jest piękny! Ten mężczyzna, co leży obok mnie! Nie wiem, czy widziałam kiedyś kogoś piękniejszego!

Fred jeszcze nic nie mówi, ale już się nie gniewa. Pozwala, aby Kinga trzymała jego twarz i przyglądała mu się z zachwytem. Potem niedbale obejmuje jej plecy i przyciąga do siebie.

Mały mężczyzna przy barze uśmiechnął się trochę speszony:

— Dzielnie się brał do kobiet, nie ma co! Wysoki przyjrzał mu się uważnie:

— Tak pan myśli? On też uważał, że Się zna na tym. Na kobietach i koniach.

Mały mężczyzna palnął pięścią w bufet:

— Kiedy pan mówi o nim, to jakbym widział tego faceta. Zupełnie dokładnie! Wielki, z leniwą ironiczną gębą. Z tych, co to owijają sobie dziewczyny dookoła palca. Na pewno blondyn! Blondyni są bardziej męscy, jak przyjdzie co do czego.

— On nie był wielki. Był drobny. I niezupełnie blondyn. Raczej szatyn. Oczywiście miał ładne, to trzeba przyznać...

— Jakie?

— Chyba zielone, czy coś takiego. O oczach nigdy nie da się dokładnie powiedzieć, jakie one są. Takie długie, rozumie pan? Wąskie, ale długie, Nawet zdumiewały w nim te oczy, bo głupi był jak baran.

— To czemu ona go chciała, taka piękna dziewczyna?

— A kto panu powiedział, że była piękna?

— Jak to? Była przecież artystką!

— No to co? Kinga wcale nie była piękna. Mała, chuda, o takiej sobie twarzy... Nic szczególnego! Ale przecież nie o to chodzi, żeby człowiek miał twarz, która zaraz rzuca się w

oczy.

— No chyba. Nie musi mi pan tego mówić. Po prostu myślałem, że była ładna. Niech pan mówi dalej.

Kinga siedzi przed lustrem i wyskubuje brwi pęsetą. Co chwila spogląda na zegarek, potem chwyta flaszkę z wodą kolońską i zatykając ją trochę palcem spryskuje ściany i podłogę. Na stole w wazonie stoi kwiat. Cynia. Kinga poprawia kwiat, potem biegnie do lustra i szczegółowo ogląda swoje zęby, z jednego paznokciem usuwa osad z nikotyny, odwraca się szybko, słysząc stukanie do drzwi. Otwiera. Wysoki mężczyzna śmieje się, całuje ją w rękę, potem w policzek i bezceremonialnie sadowi się w jedynym fotelu, od razu zabierając się do obskubywania strzępków skóry, które odstają z oparcia fotela. Zajęty tą czynnością robi Kindze uwagę:

— Czy nie można by tego jakoś przylepić? Zawsze, kiedy znajduję się w tym fotelu, mam wrażenie, że siedzę na starej szkapie. A propos! Co zrobiłaś ze swoim koniarzem? Czy otrułaś go na dzisiaj?

Kinga stoi w kącie pokoju i parzy herbatę. Woda wylewa się na maszynkę elektryczną i zalewa krzesło, na którym stoją szklanki.

— Jasna cholera! — klnie Kinga, wycierając wodę. — Zawsze się musi wylać. Co mówiłaś? Chwilowo go jeszcze nie będę truła. Jeszcze mi się tak do końca nie uprzykrzył.

— Szkoda... Ale w każdym razie napisz kartkę i daj znać, kiedy to się stanie. Postaram się załatwić sobie służbową podróż i przyjadę cię pocieszyć. Bardzo lubię pocieszać wdowy.

— Kiedy się już zdecyduję go otruć, nie będzie mnie trzeba pocieszać — Kinga śmieje się pochylona nad herbatą.

—Więc co u licha! Nigdy nie będę miał szans być z tobą?

— Ależ tego nie powiedziałam. Nie mam pojęcia, czego mi się kiedyś w życiu zachce. Może właśnie zachce mi się być z tobą...

— Nie mogłabyś się już dzisiaj zdecydować?

— Nie. Dzisiaj jeszcze nie. Lubię cię i chciałabym, żebyś jak najdłużej żył. Gdybyś był ze mną, znów kiedyś zaistniałby moment, że przyszedłby ktoś trzeci i zapytał, co zrobiłam z tobą; czy cię, otrułam na ten dzień. Wiesz, jak to jest... Po wielkim kochaniu przychodzi małe kochanie, potem się zaczyna ziewać, uciekać z domu, potem rozmyślać na temat: „po co to wszystko”. Życie staje się nudne, razem z muchami co łążą po oknie i z nogami, które on właśnie moczy w miednicy; te ohydne nogi, takie białe, a przecież jeszcze rok temu wydawały mi się takie piękne!

— Daj spokój. Przesadzasz. Kiedy on miał piękne nogi?

Kinga mówi dalej:

— Lepiej, że spotkamy się za rok. Po prostu za bardzo cię lubię, aby chcieć cię kiedyś zacząć niecierpieć.

— To są ohydne uniki! Nie jestem durniem, aby dać się na to nabrać. Nie rozumiem tylko dlaczego, jeżeli ci na mnie nie zależy, wypachniłaś cały dom i wyskubałaś brwi na moje przyjęcie?

— Ależ zależy mi na tobie!

— Chcę, żebyś miała ochotę ze mną sypiać.

— Jesteś przyjacielem Freda. Po prostu głupio jest iść do łóżka z przyjacielem swojego kochanka.

— Nie jestem jego przyjacielem. Może jemu się tak wydaje. Napisałem o nim i jego koniu parę słów w notatce sportowej, a on przyczepił się do mnie i poprzysiągł mi przyjaźń. To, że

wypiliśmy razem bukłak wina, nie dowodzi jeszcze żadnej przyjaźni. Ja go po prostu toleruję i to tylko ze względu na ciebie. Piszę o nim, żeby tobie sprawić przyjemność, i jeżeli ten człowiek nie domyśla się, o co chodzi, to powinien już dawno siedzieć nie wśród koni, ale osłów!

Kinga nadała się trochę:

— Nie powinieneś mi mówić takich rzeczy. To nie jest w porządku.

— Daj tę herbatę! Dosyć mam już rozrywania duszy na strzępy na temat przyjaźni. Przyjechałem na dwa dni, chcę z tobą mówić i o tobie. Zostawmy tamtą sprawę. Najlepiej wkładaj od razu płaszcz i idziemy na tańce! I nie złość się już. Przepraszam, nie chciałem tego wszystkiego powiedzieć, ale chyba rozumiesz, że muszę go nienawidzić?

Potem wychodzą, by tańczyć do rana. Po upływie dwóch dni wraca Fred i natychmiast robi piekielną awanturę o wodę kolońską: że nie ma wody kolońskiej, a wyjeżdżając zostawił prawie pełną flaszkę. Kinga nic nie odpowiada na temat wody, natomiast zapytuje o pieniądze. Czy przywiózł jakieś pieniądze? Musiał przecież dostać je za wyścig. Ona nie ma grosza, a trzeba zapłacić długi. Fred szaleje. Uważa to za osobistą obrazę. Krzyczy, że traktuje go jak utrzymanka. Że ośmiela się przypominać mu o pieniądzach zupełnie tak, jakby przez niego były te wszystkie długi.

Mały mężczyzna przy barze przymrużył cwaniacko oko:

— Robię zakład o dwie setki jarzębiaku, że wtedy go rzuciła. Nie dał forsę, a ona miała go już dosyć!

— Przegrał pan, ale i tak ja stawiam te dwie setki, bo pan jest goły. Wcale go nie rzuciła. Nie wiadomo, dlaczego kobiety siedzą z takimi mężczyznami, ale tak jest. Nie rzuciła go. To znaczy miała go już coraz bardziej dosyć, ale jednak nie ona rzuciła go ostatecznie. On ją rzucił. Wziął wtedy potworne pieniądze za swojego konia. To była sprawa z pewnym gościem. Nawet było ich kilku, wie pan? Leciał wtedy na takiej chabecie, na którą nikt nie stawiał. Chabeta wyglądała paskudnie, zresztą podcharakteryzowali ją na jeszcze gorsze bydlę, ale to była klacz-silaczka! Fred wiedział o niej tyle ile trzeba. Przed biegiem dali jej jeszcze na rozruszanie. Leciała jak wariatka! Zarobili masę pieniędzy. Potworne pieniądze! Próbowano im wytoczyć proces, ale w spółce był jeden prokurator. Załatwił wszystko. Ten prokurator miał dziewczynę. Tancerkę. Podobno miała nogi po same uszy, albo i dalej. Fred zabrał ją prokuratorowi, żył z nią potem kilka lat. Mówił, że w łóżku była wspaniała, a poza tym mało mówiła. To sobie Fred najbardziej chwalił. Twierdził, że Kinga była okropnie nudna z tym swoim gadaniem i dlatego, między innymi, rzucił ją.

Mały człowiek miał minę najwidoczniej zmartwioną :

— To już było na samym końcu z tą tancerką?

Wysoki chwycił go za rękaw, pochylił się nad nim i zaśmiał mu się triumfalnie w ucho:

— Ale przedtem, nim to się stało, działo się jeszcze dużo innych rzeczy. Niech się pan nie martwi, dowie się pan wszystkiego.

Mały już teraz połykał słowa z ust Wysokiego. Z wyrazu twarzy starał się odgadywać, o czym będzie mowa. Cały tkwił w temacie.

Kinga ma już w teatrze przyjaciół. Najlepszą jej przyjaciółką jest Monika. Tragiczka. Chociaż Fred twierdzi, że jest ona raczej tragiczna niż tragiczka. Nie znosi jej, a ona stale do nich przychodzi. Nazywa ją wstrętnym brudasem, starym babskiem i tym podobnie. Można wiele złego powiedzieć o Fredzie, ale trzeba mu przyznać, że jest szalenie czysty i schludny, po prostu ma bzika na punkcie czystości. Zupełnie inaczej wygląda sprawa z Moniką. Monika zapina pończochy na agrafki, a suknie, jeżeli coś jej się tam urwie, spina szpilkami. Kiedyś

podobno miała dziurę na pięcie, a ponieważ dziura wyłaziła z buta, spięła ją agrafką, żeby nie było widać. Spać tak pończochę i nie wbić sobie agrafki w piętę, to już trzeba kunsztu. A najgorsze, że nosi podwiązki pod kolanami: takie okrągłe, a nad nimi noga jak baleron. Tak to w każdym razie określa Fred.

Tego dnia Fred i Kinga omawiają właśnie jutrzejszy wyjazd w sprawie koni, które przyszły z Anglii, gdy zjawia się Monika z butelką wina. W trakcie wysączenia zawartości butelki opowiada coś o swoim smutnym dzieciństwie, śmiejąc się przy tym po wariacku, jakby to były najlepsze kawały. Fred patrzy z nienawiścią, jak spija resztki wina wylizując dokładnie za każdym razem brzeg kieliszka. A kiedy już flaszka jest pusta, zagląda do jej wnętrza i rzuca na podłogę trzymany w ręce kieliszek. Kinga bez słowa wstaje i zbiera szkło na śmietniczkę. Fred mruży oczy i ostrzega:

— Niech się pani przestanie wygłupiać, bo wyrzucę panią z domu.

Wtedy Kinga patrzy na zegarek.

— Fred, muszę już iść do teatru. Idź z Moniką do niej do domu i pożycz budzik. Obawiam się, że nie obudzimy się jutro.

Fred idzie więc z Moniką po budzik. Monika po drodze kopie małe kamienie i śmieje się głośno do siebie. Fred jest wściekły; ludzie idą i oglądają się, a ona zachowuje się jak idiotka. Chwyta ją mocno za łokieć, ale się nie skrzywiła nawet i nie spojrzała na niego.

— Uspokój się wreszcie, bo ci dam w gębę! — piszczy Fred.

— To daj! Nie zrobisz tego, głupi mieszczechu, bo się wstydzisz; pełno ludzi, a ty bijesz kobietę po pysku!

— Jeszcze powiesz jedno słowo, i dostaniesz!

— Przecież czekam na to! No? Odważ się! Fred puszcza ramię Moniki i teraz idzie gwiżdżąc, z rękami w kieszeniach. Po chwili jednak musi przystanąć, bo Monika wchodzi za ogrodzenie trawnika i siada w wysokiej trawie. Stoi tak i patrzy na nią, jak kula się w trawie, gryzie ją i krzyczy, że bardzo to lubi, że tak robią psy, a one wiedzą, co znaczy dobra zabawa.

Fred jest coraz bardziej wściekły. Jeżeli przyjdzie plantowy, ta idiotka zapłaci karę. Ciekawe tylko z czego? Pożyczyła już od Kingi dwieście złotych i długu do tej pory nie oddała, gdyż jej zdaniem zwracanie pieniędzy jest wyrazem mieszczaństwa. Denerwuje wszystkich wokół, nazywając ich przekłętymi mieszczechami, którzy żyją ułożonym życiem, wrażliwi na najgłupsze opinie o sobie. Ona, tak przynajmniej mniema o sobie, prowadzi życie niezależne, w każdej chwili robi wszystko, na co ma ochotę. Teraz zrywa naręcz kwiatów— ciekawe, że żaden plantowy jeszcze nie nadszedł — i rzuca te kwiaty na Freda.

— Jesteś wspaniałym, cudownym ogierem! Kinga chce zrobić z ciebie zaprzęgową chabetę! Broń się, bo będzie za późno! Ogier w zaprzęgu! Albo muł. A może już jesteś mułem?

Fred rusza szybko naprzód. Teraz Monika biegnie za nim bez słowa. Za chwilę wchodzi po drewnianych schodach starej, ohydnej kamienicy. Monika otwiera drzwi. Z kuchni wychyla się półłysa głowa jej gospodyni i zaraz zatrząskują się z powrotem drzwi kuchni, a spoza nich dobiegają głośne, wściekłe słowa:

— Znów z gachem! Kurwa, nie artystka! Poskarżę się w dyrekcji! Codziennie chłopy! Dziwka! Zdzira! Szmata!

— Zamknij się, łysa sowo! — wesoło odwrzaskuje Monika. Otwiera drzwi swojego pokoju, wpuszcza Freda, potem zaraz zamyka, te drzwi na klucz.

— Żebyśmy mieli spokój — łypie zmrużonym okiem w stronę Freda.

Fred stoi w półmroku; pokój cały przesiąknięty jest pleśnią i ostrym zapachem perfum.

— Ohydna ta pleśń z perfumami — zauważa.

— Tak, ale wolę to niż pleśń z kapustą. Ona ciągle gotuje kapustę i ten smród włazi mi do pokoju. Myślę, że robi to na złość.

— Jak możesz tu mieszkać? Te plusze, wszędzie plusze... Skąd wzięłaś tyle pluszu? Czemu chociaż nie pozdejmujesz tych obrazów ze ścian? Anioły i dzieci nad rzeczulką. Słodkie dzieciątka i girlandy róż... Można zwymiotować.

— Nie znasz się na tym. To jest wspaniałe! Unicestwiam się pośród tych obrazów i pluszy! Dziwka w małżeńskim łóżku z aniołami nad głową! Czy to nie jest piękne i niepowtarzalne?

— Chwyta budzik i rzuca się w plusze na małżeńskim łóżku.

— A teraz zabieraj budzik!

Fred stoi w środku półmroku okotarczonych pluszem okien, w zaduchu pleśni, kapusty i perfum. Stoi, patrzy na Monikę rozciągniętą na łóżku, z tym budzikiem idiotycznie przyciśniętym do brzucha. Jest obrzydliwie podniecony tym widokiem zrolowanych nad kolanami pończoch, szmerem podsłuchującej pod drzwiami gospodyni, aniołami, które słodko uśmiechają się do dzieci, wskazując im drogę nad przepaścią. Podchodzi do łóżka i bierze Monikę. Za chwilę dzwoni budzik na jej brzuchu.

Fred wstaje z łóżka, trzymając w ręce ten budzik. Nie patrzy na Monikę. W drzwiach odsuwa podsłuchującą z obłądnymi oczami kobietę i szybko biegnie do domu. Chce jak najprędzej wziąć kąpiel.

W małym barze dwaj mężczyźni wypili jednocześnie swoje wódki. Nikt nic nie mówił przez chwilę. Mały obserwował muchę, która spijała kroplę soku obok syfonu z wodą sodową. Zupełnie odruchowo pacnął ręką i rozgniół ją.

Wysoki zwrócił głowę w jego kierunku i zatrzymał wzrok na rozplaszczonej dłoni:

— Fred wtedy kochał się w jednej sportsmence. Była podobno cudowną kobietą. Zwierzał się mówiąc mi o niej, że nigdy wcześniej nie pomyślałby, iż kobieta, która się babrze w sporcie — to są słowa Freda — może być tak dobrą kochanką. Zaczynała już wtedy dostawać żyłaki od tego biegania, ale tylko pod kolanami, od kolan w górę była już całkiem świetna.

Wysoki przyjrzał się dłoni towarzysza:

— Co pan trzyma w ręce? Mały zdjął dłoń z rozgniecionej muchy. Wysoki odwrócił się ze wstrętem.

— Niechże pan chociaż ręce wymyje, to obrzydliwe!

Mały wycierał skrzętnie ręce wygniecioną i trochę brudną chusteczką. Zamoczył rożek chusteczki w zlewie ze szklankami i dokładnie wytarł nim najpierw rękę, a potem ślad na ładzie. Skrzydło muchy tkwiło przyklepione do szklanki. Mały ukradkiem próbował je zeszkrobać paznokciem. Wtedy Wysoki odciągnął go za łokieć w drugi koniec bufetu:

— Niech pan to zostawi. Wróćmy do Kingi Kidney.

Premiera. W wąskim korytarzu oświetlonym lichym żółtym światłem tłoczą się niepotrzebni, choć nieodzowni w taki dzień ludzie. Dwóch teatralnych krawców, pijani jeden bardziej od drugiego, stoi opartych o ścianę. Krawcy-bliźniacy. Co prawda różnią się wzrostem i rodzajem nosów, niemniej jednak mają bliźniaczy stosunek do teatru, w którym — wierzą w to absolutnie — liczą się tylko krawcy. Oni tu spełniają największą rolę i oni wiedzą, że ta premiera to po prostu łajno i tylko ich kostiumy mogą ją uratować.

W załamaniu korytarza, we wnęce, która stanowi równocześnie rodzaj szatni oraz składzik na sprzęt sprzątaczek, siedzą trzy bliźniacze krawcowe. Na środku korytarza tkwi niebliźniaczy szewc. Jest mu zupełnie obojętne, że za chwilę ktoś rzuci mu w twarz butami. Nie pierwsza to premiera, w której rzuca się w niego butami. — Niechby któryś z nich, z tych

artystów, spróbował w ciągu dwóch tygodni zrobić dwadzieścia pięć par butów. Sam jeden! Zobaczyłoby się, jak by te buty wyglądały! — myśli. Garderobiane z damskiej garderoby wybiegają naprzeciw garderobianych z męskiej, aby wymienić poglądy na temat: kto z aktorów dostał już historii przedpremierowej i kto kogo prosił o pocałowanie w nos.

Brązowa pepitka, dominujący element stroju reżysera, migocze prawie równocześnie w obydwu garderobach, na korytarzu i na scenie. Nikt nigdy nie mógł zrozumieć, jak on to robi, że jest równocześnie wszędzie. Było to również powodem, dla którego robiono na jego temat najmniej złośliwych uwag, gdyż mogło się okazać, że stoi tuż za krzesłem właśnie wtedy, gdy wszyscy sądzili, że wyszedł.

Przed toaletą damską stoją dwie aktorki, wymalowane tak jakby scena odległa była od widowni o kilka kilometrów i one się bały, że ktoś mógłby nie zauważyć ich twarzy. Stoją więc tam, w szlafrokach, które pamiętają pierwszą wojnę światową. Egzotyczne i zapleśniałe. Jedynie ich słownik jest bardzo współczesny.

— Ciekawa jestem, czy ta stara kwoka ma bukłak wina zamiast pęcherza? Opróżnić taką rzecz, to może potrwać z dobrą godzinę — mówi jedna z urodą dawno upadłego anioła. Druga, bezceremonialnie poprawiając majtki sięgające swawolnie aż za kolana, śmieje się dobrodusznie:

— Wątpię, czy ona ma jeszcze pęcherz. Przecież sześćdziesiąt lat temu wszystko jej wycięli!

— Nie przesadzaj! - odpowiada Anioł. — Ona nie jest jeszcze taka stara... To było pięćdziesiąt dziewięć lat temu.

Wreszcie wychodzi osoba, na temat pęcherza której zaistniały te nieścistości.

— Już jest wolne — mówi uprzejmie i pozwala zderzyć się w drzwiach dwóm damom. Anioł wywalcza pierwszeństwo. Kiedy zamykają się za nią drzwi, druga dama, kończąc zawiązywać na węzeł oblużowaną gumę majtek, mówi do bliźniaczych krawcowych:

— Niech tam, ja mogę poczekać. Ostatecznie jej się należy pierwszeństwo, jest przecież dużo starsza ode mnie.

Bliźniacze krawcowe śmieją się cichutko i odsuwają odrobinę kolana, aby dać przejść kobiecie z kawą. Jest to zresztą gest niepotrzebny, bo rozlana kawa kapie już z wyszczerbionych spodków. Kiedy kobieta z kawą zamyka za sobą drzwi damskiej garderoby, rozlegają się stamtąd krzyki:

— No! Co z tą kawą!

— Ja zamawiałam wcześniej!

— Cholera! Kawy się napić nie można!

— Dawać tutaj kawę!

— Pani wychodzi i tak w ostatnim akcie!

— No to co?

— No to to, że po diabła pani ta kawa? Na taką rolę wystarczyłoby pani zsiadłe mleko!

— Bezczelność!

— Spokój! Uspokójcie się na miłość boską! Powtarzam rolę!

— No to co? Nie tylko pani ma prawo do nerwów!

Bliźniacze krawcowe zmów się uśmiechają, tym razem z zadowoleniem: — Tak, tak, będzie dobra premiera. Bez awantury nie ma dobrej premiery — i anielsko uśmiechnięte pociągają noskami, wdychając z rozkoszą delikatny swąd przypalonych włosów: — To pewnie panią Jadzię znów przypalili. Ona ma takie delikatne włoski...

Widok garderoby w dniu premiery nie jest taki jak każdego innego dnia; nerwowość jest w

kolorowych łańkach, w rupieciarni kostiumów, w rękach garderobianych, które niewybrednie klną, dopinając przyciasne suknie. I kwiaty! Kwiaty są wszędzie! W jednej i drugiej umywalce, w słojach po ogórkach konserwowych, w starych flaszki od śmietany, nawet w czajniku będącym rekwizytem. Wszyscy walczą o miejsce na kwiaty. Walczą w amoku jak na pierwszej linii frontu. Przecież te kwiaty będą — po ostatnim podniesieniu kurtyny — świadczyć o popularności aktora.

Julia Szechter, szerokobiodra gwiazda teatru, z melancholijnym uśmiechem zachwytu pięści pędzelkiem swoje maleńkie oczka. Czarna linia leci od kącika oka, rozszerza się, zwęza ku końcowi, a potem wystrzela w górę jak mała kometa.

— Oko jest przesłiczne! — stwierdza głośno Julia, potem pożyczka zapalke, podpala nią koniec korka tak, aby się trochę zwęglił i tą czernią przeciąga po powiece. Spalony korek nadaje powiece ładny odcień.

— Cudownie dzisiaj wyglądasz! — mówi jej przyjaciółka, Asia. — Tylko zrób coś z nosem. Wiesz, że nos nie jest mocną częścią twojej twarzy.

— Teraz dobrze? — sepleni czule Julia i przymknawszy oczy podstawia twarz przyjaciółce do oceny. Tamta mruży jedno oko — widocznie tak lepiej widzi — potem dla odmiany marszczy nos przyglądając się sobie w lustrze. Nie obwieszcza jednak wyniku porównania, gdyż Julia przerywa trwającą zbyt długo ciszę:

— Wiesz — mówi — czasem mnie już denerwuje ta moja uroda. Zawsze się o mnie pisze: „piękna Julia”, „Julia o twarzy anioła”, „boska Julia”... Chcę, żeby oni choć raz zapomnieli o mojej urodzie. To takie krępujące!

W jednym z luster zwężone oczy zbliżają się całkiem blisko do odbicia, tkwią tak nieruchomo chwilę, potem twarz ze zwężonymi oczami zwraca się do Julii:

— Powiedz mi, jak to jest, kiedy się jest piękną kobietą? Jak to się czuje?

— Och! Zwyczajnie. Tylko odrobinę męczy. Wiesz, mężczyźni nigdy nie dawali mi żyć spokojnie. Ale, mój Boże, do tylu rzeczy można się przyzwyczać...

Roztrącając ,dwie fryzjerki wpada reżyser. Wczepia się rękami we włosy Julii, przekręca lok w drugą stronę, klnąc przy tym na fryzjerki, na recenzentów i cały świat. Wydaje się, że od tego loka zależeć będzie los premiery. W końcu doprowadziwszy nieszczęsny kosmyk włosów do właściwego stanu, czyli tam gdzie był pierwotnie, szturcha Julię w plecy, z szorstkimi słowami „ostatniego namaszczenia”:

— Pamiętaj, mała, tak jak mówiłem. I nic się nie pesz! Robisz to genialnie. A w trzecim akcie, po słowach: „Robercie, pamiętaj”, najpierw oddech, potem zatrzymać powietrze, długa pauza i dopiero szloch. Sala musi razem z tobą płakać. Spróbuj tylko nie zrobić mi płaczu w tym miejscu!

— Och! Mistrzu! Może pan na mnie liczyć! Czy już się kiedy zawiódł na mnie mistrzunio? — Julia obejmuje w pół reżysera, a on, chociaż zadowolony, odtrąca ją szorstko i już go nie ma.

— Kocham go. On jest taki dobry! — I Julia, kochając jeszcze na dodatek cały świat, wychodzi. Nie! Julia płynie ze swoją urodą, płynie wprost na scenę. Po drodze rozsiewa dobrotliwe uśmiechy dla pocziwego świata.

Bliźniaczy krawcy uśmiechają się, wzdychając równocześnie z bliźniaczym zachwytem: — To jest kobieta! Człowiek! Ona potrafi tym swoim uśmiechem wziąć za serce!

Jeden spośród bliźniaków natychmiast gotuje się oddać życie za człowieka, który mieszka w Julii, ale nikt tego życia od niego nie żąda, więc ze spokojem opiera się znowu o ścianę, oddając się kontemplacji na temat śledzika w śmietanie. Coś mu się wydaje, że chyba był

odrobinę nieświeży; w każdym razie zaczyna odczuwać, że ma go w żołądku.

— Nie będę więcej jadł śledzia! — stwierdza nagle i nim ktokolwiek zdążył przetrawić w sobie sens tego zdania, już jest pod męską toaletą, na szczęście nie zajęta.

Julia unosi tren sukni i stąpa po drewnianych schodach, które wiodą na scenę. Idzie naprawdę szykownie. Za wszelką cenę. Patrzą na nią oczy krawców, maszynistów i strażaka. Boli ją trochę w krzyżu, zawsze od tego prostego trzymania się cierpnie jej krzyż. Nawet już kiedyś zamierzała z tym pójść do lekarza. Taki ból to nie jest sprawa wieku. Nonsens. Po prostu coś tam jest w środku i lekarz powinien to wyjaśnić

U szczytu schodów znajdują się żelazne drzwi, przez które przerzucono kawał jakiejś szmaty, żeby zamykały się cicho. Julia wdzięcznie uchyla drzwi i wchodzi w mrok za kulisami.

— Panowie! Przecież tu można sobie nogi połamać. Czy nie znajdzie się trochę światła?

— JUŻ się cholera zwlokła! Jeszcze czas, ale ona już musi tu łązić! — mruczą z niezadowolaniem dwaj elektrycy, a potem już głośno odkrzykują:

— Oczywiście! Dla pani wszystko! — i Julia znów się uśmiecha do swoich myśli, że świat jest taki dobry i kochany.

Inspicjent wciśnięty między dekorację a schodki prowadzące do kabiny elektryków tłumaczy cierpliwie kurtyniarzowi, trzymając go za klapy marynarki:

— Alusiu! Niech pan pamięta! Tylko na mój znak! Nie wolno panu podnosić kurtyny inaczej, jak na znak ręką. Pan zawsze wyrывa się, żeby to robić, ile razy się panu podoba. Będzie pan pamiętał?

Kurtyniarz jest zniecierpliwiony, zwłaszcza tym tarposzeniem jego marynarki. Stale mówi się do niego jak do muła. Tłumaczą i tłumaczą, tak jakby on sam nie wiedział, co robić. Jak biją brawo, to trzeba przecież podnosić. Nigdy nie dadzą mu spokoju! A człowiek ma prawo myśleć! Jeżeli ktoś sądzi, że przy kurtynie wystarczy tylko pociągnąć ręką, to się grubo myli! Tu też trzeba myśleć i on już sam lepiej wie, ile razy należy podnieść kurtynę.

Inspicjent rzuca ostatnie, podejrzliwe spojrzenie na kurtyniarza: — Z tym chłopcem zawsze są jakieś kłopoty. Na pewno znów podniesie kurtynę o jeden raz za dużo.

Podczas gdy inspicjent tarposił już rekwizytora, żądając od niego tak zabawnych rzeczy jak czyste filiżanki (podobno ktoś z aktorów nie chciał pić z filiżanki, w której przypadkiem znalazł się włos, martwy i nic nikomu nie szkodzący), Julia trzyma za klapy kurtyniarza i wymusza na nim dodatkową kurtynę, kiedy ona ostatni raz podejdzie do rampy i złoży głęboki ukłon. Kurtyniarz obiecuje, że to się załatwi, myśląc równocześnie o klapach swojej marynarki, którą stanowczo trzeba będzie odprasować. — Dobrze, że krawcy są na miejscu, oni to zrobią — pociesza się. Tylko dlaczego wszyscy dzisiaj czepiają się właśnie jego marynarki? Właśnie wtedy kiedy ją pierwszy raz nałożył? Jeżeli jeszcze ktoś będzie się tutaj pchał do niego, do kurtyny, to on od razu powie, że też jest człowiekiem i żeby mu dali spokój. No, proszę! Już nawet ma ślady szminki na kołnierzu. Czym to wywabić? Skoczy na chwilę do krawców i niech coś zrobią, na Boga, z tą marynarką!

Tymczasem były już trzy dzwonki ogłaszające rozpoczęcie przedstawienia. Inspicjent rzuca jeszcze raz czujnym i wystraszonym okiem na wszystkie meble na scenie i rekwizyty. Wszystko znajduje się na swoim miejscu, Julia na planie...

— Go-to-we! Można zaczynać! Uderza w gong; jedno krótkie i drugie dłuższe uderzenie, podnosi rękę w górę:

— Kurtyna!

— Zdaje się, że się zaczęło — mówi jeden z krawców i uważnie ogląda płamę na kołnierzu

marynarki kurtyniarza. Kurtyniarz rzuca się na schodki, a wraz rozlega się cichutki dźwięk prującego się materiału, wywołując zdziwione spojrzenie krawca.

Kurtyna idzie w górę. Z drugiej strony sceny inspicjent wygraża pięścią kurtyniarzowi.

Julia wkracza na scenę w rytmie dźwięków muzyki płynącej z magnetofonowej taśmy w czarne okotarczenia, w złote meble, w światła reflektorów. Na pomoście mały elektryk mocuje się z reflektorem, którego światło pada zamiast na środek, na bok sceny.

Julia obejmuje widownię uśmiechem ciepłym, wszechpotężnym, zespala swój uśmiech z wszystkimi i z każdym z osobna, oddaje się na łaskę tym ludziom siedzącym tam za rampą. Nie jest już sobą. Jest już tylko dawczynią tej wielkiej, iluzorycznej, tej jedynej w swoim rodzaju scenicznej rozkoszy. Równocześnie nie czując na sobie reflektora, zbliża się pomału do kulis sceny i wygłosiwszy płomienny monolog na temat miłości, daje widzom możliwość podziękowania jej oklaskami. Oparta o kulisę zastyga w geście. Wspaniała z tą odwróconą w bok głową. Wspaniała! Po stokroć wspaniała, jak zawsze! Brawa trwają i trwają, bez końca. Julia, ani na moment nie zmieniając pozy, szepcze w kulisę:

— Co ten idiota robi z reflektorem? Na środku sceny ciemno jak w norze! Zabiję durnia, jak zejść ze sceny!

Oderwanie się Julii od kulisy jest znakiem dla publiczności, że można przestać bić brawa, bo oto otrzymają nową porcję wzruszeń.

Głos Julii, przekazany na mikrofony wmontowane w scenę, płynie z głośników umieszczonych w garderobach. Tutaj cierpienia wrażliwej duszy Julii nie robią na nikim wrażenia. Są tylko sygnałem do kolejnego wejścia na scenę. Po słowach: „Czy tylko na pewno? Chcę wiedzieć, czy jego kocham i czy kocham go tak, jak kocha się tracąc do reszty zmysły i duszę” partner Julii wkłada spodnie, które do ostatniej chwili wisiały na wieszaku, by nie stracić nic ze swojego świeżego wyglądu, wychodzi z garderoby i kiedy jest już na schodach i nikt go nie słyszy, pozwala, aby mu się odbiło; stale ma coś z żołądkiem, teraz siedział godzinę przed lustrem, ze zgniecioną przeponą i trochę mu jest gorzko, ale zaraz jak zejdzie ze sceny, wypije vichy. Żeby mu się tylko na scenie nie odbiło...!

— Miiii, muuu, moo, maaa, meee — partner Julii rzuca głos na maskę. — Zupełnie dobrze dźwięczy, ale zawsze to zaflegmienie! Cholera, te papierosy! Przeszanę palić od pierwszego! — chrząka raz i drugi, przełyka ślinę, potem robi parę przysiadów, żeby rozładować treść, wyrywa z nosa włos: — Nie do wytrzymania z tym łaskotaniem, jak się ma taki włos w nosie. — I z prześlicznym okrągłym gestem dłoni, przesyłając Julii pocałunek, wychyla się zza kolumny.

Po każdym akcie Julia, na pół omdlała z męki twórczej, rzuca się za kulisami w objęcia garderobianej i w szlafrok, który ta dla niej trzyma, aby Julia, broń Boże, nie przeziębila się, wracając przez korytarz do garderoby. I Julia, uśmiechając się po drodze do dobrego świata krawców, strażaków i maszynistów, skarży się cichutko:

— Boże! Oni mnie zabijają tymi oklaskami! Stać tak z nogą na jednym stopniu, z przechylonym do tyłu ciałem i wytrzymać oklaski, to naprawdę zabójcze!

Kinga, wciśnięta w kąt garderoby między stolik fryzjerek i wieszak na kostiumy, poprawia już siódmy raz swoje oczy, potem przymyka je w rozmarzeniu, opiera się o krzesło i marzy, marzy, marzy:

Oto Julia idzie na scenę, jest już na ostatnim stopniu na górze, nagle potyka się, leci w dół i łamie kręgosłup... Nie, może nie kręgosłup, wystarczy, jak złamie nogę. Ale tak, że z parę miesięcy będzie jej się to gnoilo. Będą oczywiście trudności ze zrośnięciem. W ogóle okropność! Jest wieczór, ona, Kinga, leży sobie w domu... Zresztą może nie leżeć, może

sprzątać — aż tu nagle telefon. Dzwoni dyrektor:

— Droga pani Kingo. Zawsze wiedzieliśmy tym, że jest pani człowiekiem całym sercem oddanym teatrowi. Na pani nie można się zawieść. Po prostu niepodobieństwo. Niech nas pani ratuje!

— Dobrze, ale o co chodzi? — mówi spokojnie Kinga, a on ani przez moment nie domyśla się, że Kinga wie.

— pani Kingo! Wczoraj stało się nieszczęście. Julia spadła ze schodów i złamała sobie kręgosłup... Nie! Prawda, przecież to miała być noga. — I złamała sobie nogę. Droga pani Kingo, tylko pani może nas uratować. Dwie sztuki leżą, jeżeli pani nam nie pomoże. Tylko pani może zagrać te role. Pani! Pani wie, że jest jedyną, jeżeli chodzi o ten rodzaj ról. Błagam, proszę nie odmawiać!

— Dobrze. Pomyślę. Może będę mogła to dla pana zrobić. Co prawda nigdy nie chciałam grać tego rodzaju ról, ale kiedy trzeba ratować teatr... Tylko co będzie z kostiumem? Julia jest taka szeroka w... No... w biodrach... Wie pan, to ostatecznie nie jest znów taki feler. Zwłaszcza jak się go już ma, to nie ma o czym mówić, ale ja po prostu mam chłopcę figurę młodej dziewczyny, tu by trzeba bioder starzejącej się kobiety. Julia była w tym niezastąpiona... Oczywiście, mówię ciągle o biodrach... No, ale jeżeli nie ma innego wyjścia... zgadzam się.

— Wiedziałem, wiedziałem, że pani nas uratuje. Nigdy pani tego nie zapomnimy. A propos, pragnę zakomunikować, że jest pani przewidziana do podwyżki. Od przyszłego sezonu. Rączki całuję, tymczasem. Zaraz przyślemy gońca z egzemplarzem sztuki. I niech pani, na miłość boską, dba o siebie! Nie przemęczać się! Wypoczywać! Czeka panią kawał roboty!

— Kinga, czy nie byłabyś taka dobra, żeby mi przynieść kawę? — Głos Julii, żywej Julii, z całym kręgosłupem i nogami, wyrывa Kingę z marzeń, z krzesła, z garderoby.

Milcząc, stawia przed nią kawę. Jedna kropla z rozbitego spodka swawolnie stacza się na białą suknię.

— Mogłabyś uważać! Jezu! Jaka ty jesteś...! Garderobianaaaa!

Garderobiana, też człowiek, zakrztusiła się dymem z papierosa wypalanego po cichu w toalecie i wrzucając prawie całego jeszcze do muszli, pędzi w ślad za wzywającym ją głosem. Wywabia teraz ciepłą wodą płamę na sukni i wścieka się w myślach na tę głupią, ślamazarną Kingę: — Niezdolne to, a na dodatek jeszcze takie nierozgarnięte.

Trzy stare damy, z rękami spokojnie założonymi na wydatnych brzuchach, śledzą uważnie każdy ruch garderobianej.

— Wie pani — mówi dama podobna do dawno upadłego anioła do tej, która przed chwilą znów miała perypetie z gumką w majtkach — kiedyś grałam Ofelię i mój mąż, który wtedy zaczynał się dopiero koło mnie kręcić, zdobył dla mnie jakieś stare wino, już nie pamiętam, z którego roku, z piwnic ojców jezuitów. Oni tam mieli wina. Dzisiaj nawet nie stać nas na tyle wyobraźni, żeby to sobie uzmysłowić... Przyszedł do mojej garderoby... Młoda byłam i piekielnie piękna... To był cudowny człowiek!

Z fantazją! Butelkę miał ukrytą w bukietcie róż. Czterdzieści dziewięć sztuk! Rubinowe! Łał w kieliszki wprost z tego bukietu, no i oczywiście kapnął mi, idiota, na suknię! To było ogromnie drażniące. Kazałam mu natychmiast wyjść z garderoby. Być takim osłem i ciamajdą... Oczywiście nie chciałam pani urazić, panno Kingo...!

— Pani grała Ofelię? Z pani wzrostem? — odezwała się ta, którą posądzano, że ma bukłak wina zamiast pęcherza. — Myślałam, że pani grywała tylko dzieci i krasnoludki...

— O tym, co ja grywałam, pani nie może mieć pojęcia. W tym czasie, o którym mówię, pani nawet nie wiedziała, że istnieje coś takiego jak teatr. Mówiono mi, że przez całe życie hodowała pani zwierzęta tuczne na folwarku. Do dziś nikt nie może pojąć, skąd się pani nagle wzięła w teatrze.

Coś na kształt przedbitewnego przygotowania zawisa na chwilę w powietrzu. Do bitwy jednak nie dopuszcza Julia, która w dniu premier stanowczo nie życzy sobie awantur w garderobie.

Damy zastygają w milczeniu, tylko oczy ich wyrażają przysięgę podjęcia solidnej walki, gdy tylko nadarzy się sposobność. Tymczasem Julia czule obejmuje przyjaciółkę, poleca jej trzymać kciuki na szczęście i rusza do swej grand sceny w ostatnim akcie.

Damy jeszcze raz chlastają błękitem po zwiotczonych powiekach, wiruje w powietrzu pudrzany pył, stukają łapki zajęcze na biustach, potem te same łapki przenoszą się na policzki, na najróżowszy róż; sprawdzają linię ust, akceptują, chociaż linia czarnego ołówka, którym rysuje się obwódkę nad czerwienią szminki, pozostała krzywa, asymetryczna. Wreszcie gotowe, kołysząc się z nogi na nogę z lekkim stęknięciem i kurczowo trzymając się bariery, jedna po drugiej majestatycznie wytaczają się z garderoby, wypełniają schody prowadzące na scenę.

W pustej garderobie, w której już teraz nie ma ani przyjaciółki Julii, ani osoby o skośnych oczach, tej co nie wiedziała, jak to jest być piękną, siedzi przed lustrem Kinga. Wywija bezmyślnie dolną wargę, potem ni z tego, ni z owego pokazuje swemu odbiciu w lustrze język i zgasiwszy światło przy swoim stoliku, wychodzi na korytarz. Idzie z rękami założonymi, do tyłu, fajtając na boki nogami i nucąc sobie jakieś tam pi pi pi, czy pa pa pa.

Bliźniaczy krawcy jednocześnie odwracają za nią głowy:

— Ta to ma wszystko gdzieś — mówi jeden z nich, a drugi się zgadza, dodając:

— Po co się takie to-to trzyma w teatrze? Szkoda materiału na kostiumy.

I nic już więcej nie mówią, być może znów myślą o tym, że krawiec w teatrze jest najważniejszy, ale kto ich tam wie...

Kinga wchodzi na palcach w ciemność kulis. Cały dzień bolał ją brzuch ze strachu, a teraz jeszcze dochodzi łomotanie serca. I te nogi. Jak z waty. Dobrze, że ma buty na płaskim obcasie, wtedy nie widać drżenia nóg. Można rozstawić nogi, stanąć na nich mocno i nie latają.

— Pani to nigdy nie ma tremy — zwraca się do Kingi Anioł.

— Nie, nie mam. A bo co?

— Nic. Tak sobie. Pamiętam, kiedy grałam Tytanię... Ale to inna sprawa. Czy pani grała już kiedyś odpowiedzialną rolę?

— Nie, nie grałam. A o co chodzi?

— Pani jest drażniąca z tym „bo co” i „o co chodzi”. Pani nie umie rozmawiać. Czego was uczą w tych szkołach? No, może pani już zapomniała... Skończyła pani szkołę chyba już dosyć dawno?

— Proszę! Panie się przygotowują do wejścia! — to głos inspicjenta. Trzy damy przygotowują się i wchodzi. W ciasnocie kulis zostaje po nich zapaszek perfum i starości.

Pięć minut przed zakończeniem sztuki Kinga ma swoje wejście. Im mniejsze role gra, tym bardziej się boi. Pokazać w niczym, że się jest na scenie, żeby to wszyscy mogli zauważyć... Co pokazać? W trzecim planie, w tłumie, tworzyć postać, przeżywać swoje fikcyjne życie.

Wszystko wie. Obmyśliła już dawno swoje sceniczne życie. Jest guwernantką. Każdy jej ruch, ten kiedy odwraca głowę, aby się przyjrzeć Sabinie, czyli Julii, albo gdy patrzy pod

swoje stopy, wiedząc, że Sabina kłamie, wszystko to jest zgodne z postacią, z jej postacią guwernantki.

Julia omdlałym gestem zasłania sobie oczy. publiczność bije brawo. Julia zrywa się i chce biegnąć. Szmer zachwytów na widowni. Julia unosi ręce w górę i krzyczy. Widownia wali brawa długo, długo, długo.

Reżyser daje Kindze znak zza kulis:

— Mówić, do cholery! Mówić! — przynagła. Kinga mówi więc swoją kwestię: „Przywieźli dziecko, proszę pani”. Kurtyna. Jedna. Druga. Szósta.

— Znów ten drań, kurtyniarz, dał o jedną kurtynę za dużo! — pięść inspicjenta unosi się ponad kwiatami i oklaskami, ponad głowami aktorów, zapachem pudru i potu, pięść chociaż niewielka, ale straszna. Kurtyniarz nie widzi jej, ale ją czuje — czy to jednak jego wina, kurtyniarza, że pani Julia kazała podnieść kurtynę jeszcze raz, wtedy kiedy stanie przed rampą i złoży głęboki ukłon. Och, ci artyści — rozmyśla kurtyniarz — co to za ludzie! Tylko kwiaty brać, kłaniać się i uśmiechać! Zabawa, nie życie! Darmozjady! A żeby tak po prawdzie powiedzieć, to jedyny człowiek, który naprawdę coś znaczy w teatrze, to właśnie kurtyniarz! No bo niech mi kto powie, co oni by zrobili z całym tym swoim kramem, gdyby nie miał kto podnieść kurtyny?

Kurtyniarz ucieka zaraz po ostatnim opuszczeniu kurtyny. Ucieka szybko, by nie zdążył go dopaść inspicjent. W ten sposób oszczędzi swoje uszy i klapy odprasowanej marynarki. A inspicjent długo go szuka, nawet wtedy, kiedy tamten już od dawna pije piwo w piwiarni naprzeciw teatru.

Na scenie ciągle jeszcze rozgardiasz popremierowy: uściski, pocałunki, składanie sobie gratulacji, łzy wzruszenia i słowa, słowa, słowa. Egzaltowane, podniecone:

— Ach! Jaka cudowna byłaś dzisiaj, Julio.

— Ależ pani stworzyła w drugim akcie wspaniałą scenę przy stole.

— Co ty powiesz? Trzęśłaś się? A myślałby kto — Mikado spokoju.

— Nie, naprawdę, to nie komplement! Byłaś taka jak nigdy!

— Pani jest niezastąpiona! W czym panią znowu ujrzymy?

— Och! Pozwól mi tutaj umrzeć. Byłaś taka, że nic tylko wyc i całować cię!

— Można panią pożreć na żywo, kiedy tak pani milczy i patrzy spod zmrużonych powiek.

— Nie! Naprawdę? Bez bujdy! Powiedzcie, czy byłam chociaż znośna?

Rozróżnić słowa i zdecydować, co jest pytaniem, co wykrzyknikiem, co prawdą, a co zbyt oczywistą kpina, byłoby trudne nawet dla człowieka wyrażającego właśnie któreś z całego natłoku uczuć. Aktorzy i premierowi widzowie, tłoczący się za kulisami, są w tej chwili tak samo egzaltowani, oszołomieni chwilą, momentem ekstazy, który przenika wszystko: smugę światła zostawionego przez nieuwagę na scenie i bliźniaczych krawców, wytrwale, do końca opartych o ścianę korytarza, którym płynie do garderoby tłum widzów.

Kinga idzie na końcu tłumy, nie tylko za aktorami, ale i za tymi, którzy przybiegli aż na scenę gratulować swoim bliskim. Idzie z rękami założonymi do tyłu, majtając na boki nogami i nucąc nijaką melodię.

Przed schodami prowadzącymi na scenę stoi dyrektor, odbierając defiladę gwiazd. Przed każdą nowo pojawiającą się postacią składa ukłon; podaje rękę, jeżeli jest to mężczyzna, całuje dłonie kobiet. Przy starych damach ogranicza się do dotknięcia dłoni nosem, ale one i tak o tym nie wiedzą. Dyrektor wymawia również dwa słowa. „Gratuluję” albo: „Dziękuję”.

Stare damy całą szerokością swoich sztucznych szczęk przyjmują słowa podziękowania, dzielą się spostrzeżeniami na temat uroków pana dyrektora, lecz czynią to tylko do momentu

zderzenia się w drzwiach toalety; odtąd ich inteligencję zajmuje wyłącznie walka o pierwszeństwo.

Kinga schodzi po schodach ostatnia. Nie czeka już na nią wyciągnięta dłoń pana dyrektora. Pan dyrektor już odszedł. Nie mógł przecież wiedzieć, że będzie się wlokła ze sceny całe wieki.

Kinga idzie nucać i majtając nogami, a za nią odwracają się bliźniacze głowy krawców:

— Niezła jest — mówi jeden z nich.

— Ba! Ale żadna aktorka — odpowiada drugi.

I skąd właściwie można mieć pewność? Może w teatrze liczy się jedynie zdanie krawców?

Dwaj mężczyźni przy barze stali w ciszy przemijającego popołudnia. Z syfonu z piwem w równych odstępach czasu skapywała kropla. Mały poruszył się niespokojnie i zatkał syfon palcem. Podeszedł barman:

— Niech pan tego nie robi. Przecież nie będzie pan tak cały czas trzymał tam palca. Musi kapać, na to nie ma rady.

Mały spojrzał na niego:

— Niech pan chociaż puści wentylator, nie mogę tego słuchać.

— Jak się rozmawia, to wcale nie słyhać. — Barman oparł się łokciami o ladę i spojrzał na Wysokiego: — Pan wie, że ja tego wszystkiego słuchołem? Nie mówił pan, żeby nie słuchoać, więc słuchoałem. Ludzka sprawa: jeżeli ktoś mówi coś, co drugiego może interesować, to się słuchoa. Chyba że ma pan coś przeciwko temu?

Wysoki odwrócił się do niego. Dopiero teraz przyjrzał mu się, właściwie dopiero teraz go zobaczył. Był to normalny mężczyzna, o otwartej twarzy, nie można było tak od razu wiele o nim powiedzieć, tyle że był jeszcze wyższy od niego. Duży, zwyczajny, spokojny.

— Proszę, możemy rozmawiać we trójkę. Z nas trzech i tak ja tylko jeden mogę coś powiedzieć o Kindze.

— No właśnie — nawiązał barman — czy ona, Kinga... czy ona była złą aktorką?

Mały poczuł się urażony. Nie chciał, aby ktoś trzeci wtrącał się w intymną rozmowę ich dwóch. W rozmowę dwóch mężczyzn, którzy mają ze sobą o czym mówić. Jeżeli ktoś tu miał prawo do zadawania pytań, to tylko on. Naburmuszył się więc i odparł ostro:

— Co za pytanie? Nikt tego nie mógł wiedzieć! Przecież ona nigdy nie grała, nie zagrała czegoś takiego, co mogło się liczyć. Co na przykład mógłby pan powiedzieć o tej roli guwernantki w trzecim planie? Na pewno jej nie było dobrze widać! Nawet z pierwszych rzędów, a cóż dopiero mówić o balkonie i bocznych łóżach?

— O co panu chodzi? — zapytał spokojnie barman. — Pan nawet nie wie, czy w tym teatrze był balkon i boczne łóże. Stawiam koniak i usiądźmy. Wywieszę tylko kartkę „Zamknięte z powodu choroby”. I tak dzisiaj nie będzie żadnego ruchu. Poniedziałek; wiadomo. Wywieszę kartkę i zapraszam na koniak.

Barman zasunął kratę, zamknął drzwi od wewnątrz, zasłonił je kotarą i wtedy w małym barze stało się mroczno, chociaż był nadal dzień, ciągle jeszcze było popołudnie. Potem zapalił jedną boczną lampkę w kształcie chińskiej dżonki, podniósł wieko lady, zamknął je z powrotem za sobą, zdjął z półki koniak, który następnie rozlał do trzech kieliszków.

Wysoki obserwował go. Podobały mu się jego ruchy, spokojne, ale nie leniwe, trochę jak taniec w zwolnionym tempie. Zapytał:

— Co pan robił dawniej? Przedtem. Czy zawsze prowadził pan bar?

— Nie. Pływałem. Byłem co prawda kucharzem na statku, trochę zbliżone zajęcie do obecnego, ale to zupełnie coś innego. Rozbiliśmy się kiedyś, sześćdziesiąt osiem godzin

byłem na fali... Rozumie pan? Taki olbrzymi blat od stołu... jako tratwa. Nie wierzyłem, że się utrzyma i nie zatonie. Coś mi się stało z nogami. Nie mogę już pracować na morzu. Mówią, że to reumatyzm. Nie znam się na tym, ale z morzem już koniec.

Mały był coraz bardziej wściekły. Ten barman wyraźnie chce zainteresować sobą jego towarzysza. Co kogo obchodzi jego nogi? Niejeden facet ma reumatyzm. I nikt nie robi z tego powodu wielkiego ho-ho! Postanowił aktywnie włączyć się do rozmowy i przypomnieć sprawę Kingi Kidney. Przerwał więc brutalnie barmanowi i zwrócił się do swego towarzysza:

— Niech mi pan powie, dlaczego ona siedziała w teatrze? Dlaczego nie znalazła sobie innego zajęcia?

Odpowiedź padła jednak z innej strony — zza baru:

— Ci ludzie, aktorzy, czepiają się teatru jak ziemi obiecanej. Można ich bić, kopać, pluć im w twarz, a oni beznadziejnie, uparcie, jakby nic nie czuli i nic nie rozumieli, idą do tej swojej ziemi obiecanej. Czytał pan może „Niepokonane” Faulknera? To tak jak z tymi Murzynami, którzy dobrowolnie pozwolili się tratować końmi i topić w drodze do ich wymyślonej rzeki Jordan. Mały tego już nie wytrzymał:

— Do diabła! Skąd pan to może wiedzieć! Skąd pan coś w ogóle może wiedzieć o aktorach?

— Żyję trochę lat na świecie. Wiem, tak jak się wie niejedno, chociaż się tego samemu nie przeżyło. — Nalał jeszcze po kieliszku koniaku i poradził, żeby usiedli wygodnie na krzeselkach barowych: — Szkoda nóg.

Siedzieli więc teraz we trójkę, oni z jednej, a on z drugiej strony baru.

— A teraz niech pan mówi dalej — zwrócił się barman do Wysokiego.

Jest jeden ze zwykłych dni pracy w teatrze. Godzina siedemnasta. W pustej jeszcze garderobie damskiej garderobiana robi na drutach sweter. Bawełniane pończochy suszą się na żelazku, którym przed chwilą skończyła prasować kostiumy. Na przybycie aktorów czekają otwarte lustra i poustawiane przed nimi szminki, białe serwetki, na których leżą te szminki, oraz drobiazgi przyniesione kiedyś z domu: maskotki, fotografie, nawet kawałek zardzewiałej podkowy. W ciszy sennej i leniwej mucha zostawia czarne kropki na przybitym przed jednym z lusterek kawałku kartonu z umieszczonym napisem:

„Nie przyjmuję żadnych uwag: ani złych, ani dobrych”. Napis ten był już wiele razy powodem kpin różnych osób. Kinga umieściła go przy swoim stoliku, tak jakby na jej temat można było robić jakiegokolwiek uwagi. Dokładniej na temat jej grania, bo do tego właśnie odnosił się napis. Zabawna dziewczyna, ale ostatecznie nikomu nie szkodzi, więc niech sobie żyje. Najgorsze są takie osoby, które mają pretensje. Taka wyobraża sobie nie wiadomo co i na siłę chce grać, a przecież każdy wie, że w teatrze muszą być ludzie do grania i do trzymania tacy. Kinga miała jednak czelność umieścić sobie ten głupi napis przed lustrem, jak gdyby kiedyś ktoś mógł wpaść na pomysł, aby przyjść po premierze do niej i powiedzieć: — Świetnie pani trzymała tę tacę, zwłaszcza w trzecim akcie.

Godzina siedemnasta czterdzieści pięć. Julia wraz z przyjaciółką zatrzymuje się przed wejściem do teatru. Jej małe oczka z niezadowoleniem przyglądają się zdjęciom w oszklonej gablocie.

— Daję słowo! — Julia obrażona wydyma usta. — Tylko cztery moje zdjęcia. Przecież ostatecznie gram główną rolę. Powinnam być na każdym!

— No, ja tutaj gram też coś więcej niż „ogon” — skarciła ją słodkim głosem przyjaciółka.

— Publiczność także przepada za mną, więc może chce zobaczyć również i moje zdjęcia...

— Moja maleńka! — Julia całuje przyjaciółkę w policzek. — Przecież ja nie o tobie

mówię. Ty jesteś najśłodsza mordecka i mozesz sobie wisieć psy mnie, ale te babsztylę...! No, sama powiedz, po co oni wywiesili zdjęcia tych zabytków?

— Och, jakżeż jesteś znakomicie złośliwa — zachwyca się przyjaciółka Julii. — Ale chodź już, trzeba się spokojnie napić kawy, potem znów wszyscy naraz będą chcieli pić. — I znikają w bramie teatru.

Kinga wolno przechodzi przez jezdnię, nawet nie zatrzymuje się przed gablotą; wie, że jej zdjęcia na pewno tam nie ma.

W garderobie Julia i jej przyjaciółka siedzą już przy swoich stolikach i Julia przymierza właśnie nowy kapelusz przyjaciółki.

— Wiesz, że mnie w tym kapeluszu jest o wiele lepiej niż tobie. Ja w ogóle mam twarz do kapeluszy. Ile cię kosztował? Pięćset złotych? To drogo. Ja bym nie dała tyle za kapelusz. Mam modystkę, bardzo tanią, a robi tak samo, jak te, co biorą Bóg wie ile. Co ci strzeliło do głowy z tym kapeluszem? Nosi się jeden sezon i już diabli wzięli pięćset złotych. Ja nawet nie mam czasu, żeby wkładać kapelusz. Ach, Boże! Czy oni dadzą kiedyś człowiekowi odpocząć? Czy już naprawdę nikt nie może grać w tym teatrze, tylko my? Inne biorą gażę i nic nie robią. Wiesz, czasem to już marzę o tym, żeby nie mieć talentu. Ach, szkoda słów — i Julia pogrąża się w rozmyślaniach nad smutnym losem, który obdarzył ją bezmiarem talentu.

Przyjaciółka Julii delikatnie układa kapelusz na półce, potem niezdecydowanie rozgląda się po garderobie, szukając innego miejsca, wreszcie znajduje jakiś gwóźdź w ścianie obok swojego stolika i tam go zawiesza. Za drogi, aby go narażać na zgniecenie. Przyjdą te baby i będą się rozpierać ze swoimi czapami. Och, po co te stare baby trzyma się w teatrze?

— Taka jestem nieszczęśliwa — nie przerywa swoich narzekań Julia. — Dzisiaj wywieszają nową obsadę, pewnie znów będę musiała grać i znów jakąś „kobyłę”. Już bym wołała zagrać byle co, żeby się nie męczyć. Ale czy pozwolą człowiekowi? Dyrektor znowu powie: „Nie po to zaangażowaliśmy panią do głównych ról, żeby teraz zajmować jej czas byle rolą”. Och!

— A ja bym chciała zagrać choć raz dużą rolę — mówi Kinga, stojąc w drzwiach garderoby, i patrzy zaczepnie na Julię.

— Och, kiedyś na pewno doczekasz się tego — Julia wznosi oczy do nieba, jakby tam szukała protekcji dla Kingi. — Każdy z nas zaczynał od niczego. Jeszcze nie jesteś taka stara. Na pewno kiedyś znajdzie się rola dla ciebie. Nie mówię, że w tym teatrze, tu i tak jest za dużo aktorek, ale czy to jeden tylko teatr jest w naszym kraju?

— Tak, Kinga się tu marnuje — wtrąca przyjaciółka Julii. — Szkoda cię, może rzeczywiście gdybyś poszła do innego teatru, byłabyś tam pierwszą gwiazdą.

— Ja niekoniecznie chcę być pierwszą gwiazdą. Chciałabym tylko coś czasem zagrać.

— Przy okazji pomówimy o tobie z dyrektorem — obiecuje bardzo serio przyjaciółka Julii.

— To bardzo ładnie, że tak kochasz swój zawód i że zawsze pragniesz grać. Wstyd wyznać, ale ja czasem mam tego wszystkiego dosyć. Chciałabym po prostu być zwyczajną dziewczyną, wyjść za mąż, mieć dzieci... To takie urocze... No cóż, dano mi talent, muszę się z nim męczyć.

— Bardzo łatwo mogłabyś zrezygnować z zawodu — Kinga mówiąc to wiesza beret na wieszaku — wyjść za mąż i mieć dzieci.

Przyjaciółka Julii czuje, że popada w zniecierpliwienie:

— Jaka ty jesteś dziecinna; ja sobie na to nie mogę pozwolić! Rozumiesz? Zdolności człowieka do czegoś zobowiązują. Nie mam prawa ich marnować!

Kinga schyla się do lustra i oglądając w nim swoje zęby równocześnie mówi, trochę przez to zniekształcając słowa:

— Zdolnych aktorów mamy bardzo dużo, tylko nie każdy uległ przypadkowi, który robi z niego wziętego aktora. To, że się takim zostaje, zależy czasem od drobnego przypadku. Tylko oczywiście nie każdemu może się ten przypadek zdarzyć.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że ja i moja przyjaciółka przez przypadek mamy talent?

— Julia z godnością przerzuca ciężar ciała w stronę Kingi i z uwagą patrzy jej w oczy.

Kinga odpowiada nie zwracając uwagi na ironiczny ton pytania:

— Nie, ale przypadek mógł zrządzić, że mogłaś ten talent rozwinąć. Jeżeli się bez przerwy nic nie gra, czyli gra się role, które są niczym, to jak można siebie rozhuścić, rozjarzyć, czy jak to się tam nazywa?

— No cóż, moja droga, nic ci na to nie poradzimy. Możemy ci tylko współczuć. — Julia przenosi teraz ciężar ciała w stronę krzesła swojej przyjaciółki. — Zapnij twojej Julisi stanicek, bo nie może rąków zgiąć do tyłu.

Kinga skończywszy przegląd zębów wychodzi z garderoby, w drzwiach zatrzymuje się i uśmiechając się do obydwóch, oznajmia:

— Wychodzę, żebyście sobie mogły swobodnie pogadać na mój temat.

— Ależ moja droga, nie fatyguj się, nie mamy sobie nic na twój temat do powiedzenia! — krzyczy za nią Julia i natychmiast, gdy tylko zamknęły się drzwi, robi szeptem uwagę: — Ta Kinga staje się coraz bardziej denerwująca. Gorzknieje z dnia na dzień i tę gorycz na nas wylewa, a cóż ktoś jest temu winien, że ona nie ma talentu? Miałyby chociaż na tyle taktu, żeby cicho siedzieć. Właściwie, to ona bierze gażę za darmo!

— Trzeba będzie o tym pomówić z dyrektorem — decyduje, kończąc zapinanie stanika, przyjaciółka Julii.

Kinga stoi przed tablicą, na której właśnie przybito maszynopis z obsadą nowej sztuki. Za jej plecami zatrzymuje się dwóch mężczyzn, aktorów, którzy właśnie nadeszli od strony wejścia. — Czołem, Kinga! — mówi jeden z nich — w czym cię obsadzili? — Och, jak zwykle, będę grać kobietę szóstą, ale to i dobrze. Nie lubię się przemęczać, a gażę i tak muszą mi płacić.

Po jej odejściu mężczyźni stwierdzają, że Kinga jest niemożliwie leniwa i cyniczna.

Kinga wchodzi do toalety, odkręca kurek w umywalce, a szum płynącej wody zagłusza jej ryk. Bo Kinga ryczy, a nie płacze. Wie, że jest to histeria, ale nie może jej opanować. Stoi nad umywalką i trzyma się za przepoń, jest jej niedobrze, ale nie może zwymiotować. Upadły Anioł oszalały bombarduje do drzwi, więc zmywa twarz i rzucając wściekle pytanie: — Co się dzieje z pani pęcherzem? — idzie do garderoby robić charakteryzację.

Wzburzony Anioł zamykając zasuwkę drzwi, obmyśla jadowitą odpowiedź. Wszystko, co nasuwa się na poczekaniu, jest zbyt łagodne dla tej bezczelnej dziewczyny.

Wieczór toczy się normalnym trybem: dzwonki na zaczęcie, gong, aktorzy w garderobach, aktorzy na planie, kawa, znużone twarze przed lustrami i leciutki swąd przypalanych włosów Jagi.

Potem, po przedstawieniu, kiedy gaśnie ostatnie światło przy ostatnim lustrze w garderobie, Kinga Kidney zamyka za sobą drzwi, na korytarzu dopina płaszcz, nie śpiesząc się przechodzi korytarz, mijając tablicę z ogłoszeniami jeszcze raz rzuca okiem na spis obsady nowej sztuki, wzrusza ramionami i schodzi po ciemnych już schodach. Przed wejściem do teatru spogląda w niebo, podnosi kołnierz płaszcza i rusza opustoszałą ulicą w kierunku domu.

W świetle ulicznej lampy, przeciekającym przez liście wysokiego drzewa, jej twarz ze źle zmazaną szminką jest żółta i stara — za stara jak na jej wiek. Kątem oka widzi w lustrze na wystawie jubilera tę swoją twarz, zatrzymuje się, podnosi do niej dłoń chcąc wytrzeć

szminkę, potem jednak macha ręką i idzie dalej. Znowu mija drzewo, a nad nim latarnię i znowu światło sączy się przez liście. Kinga staje, unosi głowę w górę, zrywa jeden liść, wsadza go do ust, przesuwa językiem trochę na bok, rusza jeszcze krok do przodu, a potem flegmatycznie, jakby wcale nie powzięła żadnej myśli, żadnego postanowienia, zawraca i przeszedłszy całą, dosyć długą ulicę, skręca w zaułek, gdzie w kępie krzaków jaśnieje okno trzeciorzędnej knajpy. Kinga puka w szybę zasłoniętych kotarą drzwi. Jakaś ręka uchyla odrobinę kotary, jakieś oczy, które przyłgnęły do szyby, wpatrują się w nią, wreszcie zgrzyta klucz w zamku i Kinga wchodzi do środka.

— Wie pani — szepce portier, garderobiarz oraz wykidajło zarazem — przed chwilą była tu milicja. Nikogo już nie wpuszczamy, ale swoich, artystów, zawsze. Pani dzisiaj sama? Proszę dać płaszczyk. Numerka nie trzeba.

Kinga kupuje paczkę papierosów, przechodzi salę, w której zajęte jest tylko kilka stolików. Nikt nie tańczy, bo orkiestra ma przerwę na kolację. Podchodzi do baru, wita się z barmanką i prosi o setkę wódki i wodę sodową. Barmanka napelnia kieliszek i siada naprzeciw Kingi, za barem.

— Nie będzie dzisiaj żadnej zabawy — mówi — znowu się bili i uciekło całe lepsze towarzystwo. Przyjdzie jeszcze ktoś z teatru?

— Chyba nie. W każdym razie ja się z nikim nie umawiałam. Chcę wypić jedną wódkę i idę do domu. — Kinga opiera się łokciem o bufet, drugą ręką unosi kieliszek do ust, wypija całą zawartość i krzywiąc się rzuca się natychmiast na wodę. Potem oddycha z ulgą, uśmiecha się do barmanki i prosi o jeszcze jeden kieliszek.

Za plecami Kingi staje Miła, prostytutka. Znają się już od dawna: jest to bowiem lokal prostytutek i aktorów. Aktorzy zaczęli tu chodzić ze snobizmu, bo tak ekscentrycznie bawić się „u kurwów”. W końcu jednak polubili i lokal, i te dziewczyny. Coś w każdym razie mają ze sobą wspólnego: dziewczyny również pracują o zmroku, czekają codziennie na godzinę zmierzchu. Wtedy zaczynają się stroić i pędzą do świateł lamp, zaścielanych obrusami stołów, do taniej muzyki, codziennego przetargu na najładniejszą, do panującej w knajpie atmosfery podniecenia.

— Pani sama? To smutno — odzywa się Miła.

— Zechce się pani przysiąść do mojego stolika? Siedzę tam z Murzynem.

— Dziękuję. Wypijam tylko wódkę i uciekam.

— W każdym razie bardzo się cieszę, że panią widziałam. Nie przeszkadzam. — I Miła odchodzi, nienatrzętna, zawsze taktowna i miła.

Nazajutrz Kinga budzi się w domu ze spuchniętą twarzą, obolałym i sinym nosem, i przekrwionymi od płaczu oczami. Nie może sobie przypomnieć. Nic. Tylko jedno zdanie. Krzyczała je, stojąc na podium dla orkiestry. Nawet nie pamięta, czy ktoś tego słuchał, pamięta tylko to zdanie, ten krzyk: Ja mogę tak samo dobrze grać, jak Julia! Wierzcie mi, że jestem dobrą aktorką! — Do diabła! Nie może sobie teraz przypomnieć, kto miał w to wierzyć. Może ona sama...?

Leży teraz na żelaznym łóżku, nie śmiejąc nawet jęknąć, żeby nie drażnić jeszcze bardziej Freda, który siedzi w jedynym fotelu, z zaplecionymi rękami i przygląda się jej uparcie, jakby chciał tym spojrzeniem wycisnąć resztę życia, która jeszcze w niej przez przypadek została.

Kinga marzy tylko o jednym, żeby Fred nie zaczął mówić. Najgorsze są te tortury z przypominaniem człowiekowi wszystkiego. Ale Fred lubi tortury. Uważa, że należy się to Kindze, że powinna wiedzieć. Bierze więc oddech, a potem zaczyna cedzić, słowo po słowie:

— Nie dosyć, że spiłaś się jak świnia, to jeszcze pod drzwiami mieszkania walisz się na

kolana i bijesz głową w kamienne schody. Własną głową. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że na samym przedzie brakuje ci zęba? I chyba nosa swojego też nie widziałaś? Ciekaw jestem, co powiedzą w teatrze? Pewnie, że to ja rozbiłem ci gębę?

— Och, Fred, daj mi dzisiaj spokój! — błaga Kinga. — Nic nie powiedzą.

Jednak powiedzieli, że to Fred wybił jej ząb. Srebrnym lichtarzem. Zabawne! Oni nawet nie mają blaszanego lichtarza.

Próba nowej sztuki. Na pierwszym piętrze, w foyer teatru, tam skąd wchodzi się do łóż i na balkon, zestawiono stoliki, jeden obok drugiego, tak że powstał jeden podłużny stół. Na szklanych blatach popielniczki, obok stolików krzesła, za stołami rząd okotarczonych, wysokich okien. Zimny, mokry, nieprzytulny półmrok i rząd kolumn podtrzymujących sklepienie. Kolumny z jednej i drugiej strony, a w środku ten stół, jak katafalk, teraz jeszcze pusty i oczekujący na ciało. Właśnie zbliża się pierwszy i najważniejszy kawałek ciała — reżyser. Rzuci egzemplarz sztuki na stół i z lekkim zmarszczeniem brwi (a ci co znają tę zmarszczkę wiedzą, iż wyraża ona głębokie niezadowolenie) ocenia czas na swoim zegarku: — No, to za dziesięć minut dziesiąta... Przyjdą na ostatnią chwilę, jak zwykle. Tym ludziom wydaje się, że pracują w PDT albo w gazowni miejskiej. Na to, żeby wejść w sztukę, trzeba się przygotować. Trzeba zrzucić z siebie balast codzienności i wsiąknąć w atmosferę teatru, ale dla nich to zawsze będzie gazownia miejska. Czy można stworzyć prawdziwy teatr z takimi ludźmi?

Na schodach jeszcze nikogo nie widać, ale słychać już głosy dam. Wreszcie wtaczają się z wdziękiem na salę prób, a za chwilę gwar kilkunastu męsko-damskich głosów wypełnia najpierw schody, potem całe foyer. Czym prędzej zaczęto zajmować miejsca, rozkładać egzemplarze, szurać popielniczkami i wreszcie nastaje zupełna cisza.

Reżyser wstaje, odsuwa krzesło, staje za nim opierając ręce na poręczy i wznosi oczy w sufit nie zatrzymując wcale uwagi na zwisającym z sufitu pająku. W kwadratowej, prawdziwie męskiej szczęce rozwierają się usta i padają słowa, którym już nic nie przeszkadza płynąć i zapładniać umysłów wizją nowej sztuki, która zaczęła się rodzić tego oto dnia i tej oto chwili.

Po dwóch godzinach Kinga czuje, że ma drąg zamiast kręgosłupa. Bolą ją także nogi, które już sto razy przełożyła z jednego kolana na drugie, i oczy stają się niemożliwie ociężałe od tego uporczywego wpatrywania się w twarz reżysera. Żeby nie zasnąć, podpira się na łokciach i rozszerza palcami oczy. (Manewr ten wykonał już wcześniej kilka osób przy stole). Wszyscy jak przez lunetę wpatrują się w mówiącego reżysera. A on mówi: o każdej postaci z osobna, o każdej scenie, o zdaniach, które mogą to czy tamto znaczyć, a według niego znaczą właśnie coś zupełnie różnego. Słuchają tych słów z modlitewną powagą, chociaż każdy wie, że i tak, kiedy przyjdzie do sytuacji na scenie, wszystko będzie co innego znaczyło, prawie nic się nie zgodzi z tym, o czym się tutaj mówi, ale w tym celu są próby przy stoliku, aby reżyser mógł objawić swoją mądrość, a scena jest po to, żeby aktor mógł pokazać swoje umiejętności. Nikt nigdy nie próbował walczyć z bezsensiem prób przy stoliku. To tak jakby powiedzieć gospodyni, w której domu jemy obiad: — Niechżeż pani już przestanie mówić, jak pani przyrządzała tę rakową zupę. Proszę dać jedzenie na stół i nie zawracać nam głowy.

Zegar w kościele naprzeciw okien teatru wskazuje godzinę dwunastą piętnaście. Upadły Anioł odsuwa hałaśliwie krzesło i schyla się po torebkę, która zsunęła się mu z kolan. Ręka zatrzymuje się w geście, a oczy spotykają się z oczami reżysera. Teraz Anioł podnosi ją po omacku. Ponieważ jednak złośliwość przedmiotów martwych jest dowiedziona, torba otwiera

się, pozwalając wysypać się całej zawartości na podłogę. Mężczyźni, w liczbie dwóch, rzucają się do zbierania, jednak Anioł kategorycznie protestuje: zawartość damskich torebek nie jest dla męskich oczu! Powstaje małe zamieszanie. Reżyser, nie zdradzając swoich myśli na temat dyscypliny i umiłowania zawodu, zarządza piętnastominutową przerwę. Schodzi szybko ze schodów, za nim biegną Julia i jej przyjaciółka. Na półpiętrze dopędzają go, otaczają i wszeptują w ucho jakieś słowa, podkreślając je gestykulacją i bardzo żywą mimiką. — Mówią mu, jakie są zachwycone jego koncepcją — myśli Kinga. — Że też człowiek nie pozbawiony inteligencji może tego słuchać. Dziwi mnie, że on nigdy nie zwymiotuje od tych pochlebstw. Ciągłe słyszeć, że się jest genialnym... Powinien się zorientować, że w tym musi być coś więcej niż tylko jego genialność. A może on lubi tego słuchać? Fred też lubi słuchać, kiedy mu mówię, że jest piękny; i ja, i Fred wiemy, że on nie jest piękny, a jednak ja to mówię, a on lubi tego słuchać.

W trzy tygodnie później.

Scena z zamarkowanymi dekoracjami, odarta z uroków świetności, jaką ma przedstawienie oglądane przez publiczność. Puste rzędy krzeseł na widowni, tylko między trzeci a czwarty rząd wciśnięty stolik reżysera; rozlana kawa, sterty niedopałków na popielniczce i sam reżyser z ramionami rozkrzyżowanymi na oparciach krzeseł i z wyrazem bezgranicznego cierpienia na umęczonej twarzy.

Na scenie mężczyzna, wzrostu metr osiemdziesiąt pięć, ogrywa swoje bicepsy i uda, starając się równocześnie uściskiem wprawić w euforię miłosną przylgniętą do niego Julię. Nachyla się nad nią i w momencie kiedy można by oczekiwać słów, które miłością spłyną z jego ust, odpycha nagle Julię i zaczyna walić pięściami w stół:

— Ja tak nie mogę! — krzyczy. — Stale ktoś łązi za kulisami! Nie mogę pracować, kiedy mi tam skrzypią deskami i tupią jak stado słoni! Nie mogę!

— Kto tam łązi za kulisami? — ryczy teraz reżyser. Zrywa się od stolika, przy okazji wywraca popielniczkę z całą zawartością na egzemplarz i swoje notatki, co wprowadza go w taką wściekłość, że już nie ryczy, a pieje. — Do cholery! Mówiłem tyle razy, że ma być absolutna cisza podczas prób! Tu wszyscy mają w dupie moje zarządzenia!

Inspicjent wychyla się ostrożnie zza kulis i z miną skazańca wyjaśnia, że absolutnie nikt nie chodził za kulisami, że on cały czas pilnuje.

— Niech się pan wynosi, bo pana zastrzele! — krzyczy reżyser i choć inspicjent wie, że strzały się nie rozlegną, znika. Wtedy reżyser, tonem najmniej oczekiwanym, bo bardzo łagodnie, mówi:

— Proszę, zaczynamy od początku sceny. Amant znów ustawia swoje bicepsy i uda korzystną stroną do widowni, obejmuje Julię i próbuje nachylić się nad nią.

— Niech pan tak nie gra ciałem, panie Krzyśku — głos reżysera jest dobrotliwy i wszechwybaczalny dla słabości człowieczej. — I tak wszyscy zobaczą pana piękne ciało. Nie trzeba tego demonstrować. Niech pan będzie trochę niedbały w pozie, bezradny... Tym lepiej wyjdzie pana męskość i siła.

Aktor ze siedem razy pod rząd próbuje być bezradny i niedbały i gdy już prawie bliski jest tej doskonałej bezradności, Julia buntuje się, twierdząc, że według niej nie ma sensu to tarmoszenie jej we wszystkich kierunkach. Lepiej niech on już będzie sztywny jak kołek, byleby dał spokój jej sukni.

Tu następuje krótka wymiana zdań między Julią i amantem na temat, co kto o kim myśli.

Kończy amant, wyjaśniając wzgardliwie, że już pracował nie w takich teatrach i nie z takimi gwiazdami, więc jeżeli ktoś myśli, że będzie znosił fochy i głupie uwagi osób, na temat których talentu niejeden mógłby mieć grube wątpliwości — to się myli. I przeprasząc reżysera za zamieszanie nie z jego winy, prosi o krótką przerwę na papierosa.

Reżyser zarządza przerwę, prosi aktora na bok, siadają w pustych rzędach krzeseł, reżyser częstuje aktora papierosem, sam także zapala, obleka twarz w niepokój, kiedy mówi:

— Co się z panem dzieje, panie Krzysztofie? Nerwy, nerwy? Trzeba leczyć nerwy. Zgadza się z panem, miał pan absolutną rację, że z Julią trudno jest grać; mało kontaktowna, nie odbiera od partnera i sama nie potrafi nic dać.

Mój Boże, cóż robić? Tak niewielu mamy zdolnych aktorów! Niech pan postara się przełamać i nie widzieć w niej tej antypatyczności, która pana drażni. Cóż, ostatecznie jesteśmy aktorami i osobiste anse musimy odsuwać od siebie, kiedy wchodzimy na scenę...

Potem przeprasza aktora, zostawia go samego na sali i idzie do damskiej garderoby, gdzie właśnie Julia piekli się, przysięgając wszystkim, że nie wyjdzie „z tym kolkiem” więcej na scenę. Niech ją zwolnią z teatru, nawet natychmiast, ale to jest ostatni dzień, kiedy ona pozwoliła sobą poniewierać!

Wszyscy milczą, rozbrzmiewa tylko głos Julii, wysoki, coraz cieńszy, świdrujący w uszach i doprowadza w końcu jej nos do zwilgotnienia, a po wilgoci nosa zaraz pojawiają się łzy. W atmosferę niezłomnych przysięg przypieczętowanych łzami wkrada się ciche stuknięcie do drzwi i głos reżysera proszący Julię na moment rozmowy.

W załamaniu korytarza, w mroku rozbieralni, Julia strząsa ostatnią łzę w kłapy jakiegoś płaszcza i ułagodzona słowami reżysera, który zobrazował amanta jako ostatniego hochsztaplera, megalomana i matoła, z którym tylko dlatego trzeba się liczyć, że przyszedł tu „z nazwiskiem”, Julia obiecuje, że się przełamie i wyjdzie na scenę. Ale zaznacza, że robi to tylko dla reżysera, bo go kocha i szanuje, a właśnie on ją o to prosi.

Po przerwie próba leci już do końca w atmosferze słonecznego dnia lata, kiedy nikt nie pamięta o tym, że wczoraj padał deszcz i że jutro może się zdarzyć to samo.

Kinga siedzi za kulisami na jakiejś becce, rekwizycie z poprzedniej sztuki. Przez szparę między kotarami obserwuje akcję na scenie. Podoba jej się to amancisko.

— Za mądry to on nie jest — дума sobie Kinga — ale kawał chłopca. Zawsze się jej podobali mężczyźni-byki. Przecież i tak z żadnym nie można się dogadać, więc żeby chociaż było na co popatrzeć. Ten Krzysztof na pewno nie jest piękny, ale nogi... nogi ma świetne, nie to co Fred. Fred od tych koni ma już zupełne bieguny i zrobił się nudny. Nigdy nie był mądry, a teraz zaczyna być nieznośny. Ciągłe wścieka się o coś... Właściwie najwyższy czas, żeby z tym już skończyć. Ciekawe, czy to amancisko ma jaką żonę albo coś takiego? To by komplikowało sprawę... Zęby ma fajne! Fred za dużo pali papierosów i ma osad z nikotyny.

Amant przeży się na scenie w poczuciu własnej wspaniałości. Kinga nie wie, że kątem oka zauważył, jak ona na niego patrzy. To mu dodaje jeszcze więcej zadowolenia z siebie. Jest swobodny, zwycięski, samczy. Gra teraz nie tylko dla reżysera, ale i dla Kingi. Pochyla się nad Julią, mówi tekst, równocześnie myśląc o Kingie: Niezła ta mała, trzeba by się nią właściwie zająć. Ostatecznie jest człowiek w tym nowym teatrze sam... Na początek mogłaby ująć, potem można się dokładniej rozejrzeć.

Julia topi swoje oczy w oczach amanta, podoba się jej, jest taki brutalny... Nie każdy zdobyłby się na to, żeby się tak wobec niej zachować. Ten ma jakąś rasę. Drań. Ale uroczy...

Koniec próby. Kinga nie rusza się ze swojej beczki. Nie weszła dzisiaj na scenę, zresztą to nie pierwszy wypadek, że siedzi cztery godziny i czeka na swoje wejście, a potem jest już

koniec próby i następny dzień czekania. Nic nie zrobiła, ale jest zmęczona. Przestała nawet myśleć o amancie. Siedzi, a oni przechodzą obok niej.

— Nie idzie pani do domu? Już koniec próby — budzi ją głos amanta.

Ależ oczywiście, idę. Zagapiłam się bezmyślnie. — Wstaje i idzie przed nim, a on wyszukanie i elegancko otwiera przed nią drzwi. Małe zderzenie; właśnie Julia wraca po coś na scenę. Zastyga na moment z uśmiechem na ustach i spojrzawszy ponad głową Kingi w oczy amanta, trzepocząc rzęsami mówi:

— Ach! Nie, nie, już nic — i zbiega wdzięcznie ze schodów.

Po drodze zaczepia kieszeń sukni o barierę i urywa tę kieszeń. Wściekła, z wiszącą łąką kieszeni, wzywa garderobianą i żąda nici, igły i nie wiadomo czego jeszcze.

Amant z Kingą zatrzymują się przed teatrem.

— Dokąd idziemy? — pyta amant.

— Jak to „idziemy”? — dziwi się Kinga.

— Nie chce pani ze mną iść?

— Aaa, czemu nie? Mogę iść. Nie wiedziałam, że pan się będzie ze mną gdzieś wybierał. Pierwszy amant teatru i kobieta szósta, to jakoś nie bardzo pasuje. Julia by tu była bardziej na swoim miejscu. — Kinga mówi to nawet bez specjalnej złośliwości, prawie stwierdza fakt.

Amant śmieje się:

— Och, Julia! Lubię spędzać miło czas, z miłymi kobietami. Co mnie obchodzi Julia. Pani mi się podoba!

— To tak, jak by mnie już pan zaskoczył — mówi Kinga. — Myślałam, że takie amancisko najpierw zacznie coś o pogodzie, o motylach, a nie od razu: „pani mi się podoba”... Ale tak jest lepiej, pan mi się też podoba.

— Wiem o tym. Widziałem, jak mi się pani przyglądała. Znam się na tym. Ostatecznie jestem amantem, no nie?

— Boże! Znowu kobieciarz w moim życiu. — Kinga odgrywa przerażenie i wtedy właśnie wychodzą z teatru Julia z przyjaciółką. Obydwie słyszą słowa Kingi i są oburzone, że ta Kinga do tego wszystkiego jeszcze jest „chłopiara”. Julia na przykład nigdy, ale to nigdy, nie zwróciłaby uwagi na takiego mężczyznę, jak Krzysztof. Ona po prostu brzydzi się takimi mężczyznami, co to nie wiadomo z kim się zadają. Prócz tego dobrze by było, żeby koniarz Kingi dowiedział się o tym. On sobie tam spokojnie ujeżdża szkapy, gdy tymczasem jego dziewczyna przyprawia mu rogi. Przy tych krzywych nogach z rogami nie będzie mu specjalnie do twarzy.

W jakiś czas potem.

Zgrzytnął klucz w zamku, Kinga otwiera drzwi i za nią wchodzi Krzysztof, rozgląda się po mieszkaniu i pyta:

— Mieszkaś tutaj sama?

— Nie, mieszkam z jednym mężczyzną, ale skrzętnie ukryłam przed twoim okiem wszystkie spodnie, żeby cię nie denerwować. A żebyś nie musiał zadawać dalszych pytań, to ten człowiek walczy teraz o możliwość rozwalenia sobie głowy w biegu z przeszkodami. To jest dżokej i ma na imię Fred. A teraz siadaj albo rób, co chcesz, a ja tymczasem zaparzę herbatę.

Kinga zabiera się do parzenia herbaty, co już jest pierwszym krokiem do domowej intymności, przytulnej atmosfery, a w każdym razie dobrze zapełnia pierwsze momenty, które zawsze bywają niezręczne. Krzysztof siada w jedynym fotelu i skubiąc zwisające kawałki skóry, nadmienia coś o konieczności reperacji tego sprzętu. Przygląda się Kindze i po raz

drugi dochodzi do wniosku, że jak na pierwszą znajomość w tym obcym jeszcze dla niego teatrze, to ta dziewczyna jest całkiem niezła. Po prostu zrobił dobry wybór. Dobrze, że wybrał Kingę, a nie jakąś tam idiotkę, która by zatruwała mu życie fochami i może w dodatku recytowała wiersze w łóżku. Znał już takie! Kinga jest normalną dziewczyną, nie mówi o teatrze poza teatrem, nie zgrywa się na niewinną ani na zepsutą, jest taka sobie. On sam ma wystarczającą pozycję i stać go na to, aby mieć dziewczynę właśnie taką sobie. Nie potrzebuje podpierać swego nazwiska filarem z gwiazd. Przy takiej dziewczynie, jak Kinga można przynajmniej być sobą, nie trzeba się zgrywać na coś, bo i tak jest się dla niej „kims”, a człowiek to lubi, kiedy jest „kims” i kiedy się go podziwia.

— Kinga... Czy to jest twoje imię?

— Które?

— No, Kinga.

— Nie, nie moje, ale ładne, no nie?

— Pewnie że ładne. W ogóle jesteś fajna dziewczyna.

— No chyba. Inaczej nie odważyłabym się zarzucać na ciebie sieci. Wiesz, okropnie się cieszę z ciebie. Po pierwsze, że mi się podobasz, a potem dlatego, że wszystkie baby diabli biorą. One za tobą wariują. Nie wiem, czy Julia nie dostanie żółtaczki. Widziałeś, jaką miała chrapkę na ciebie? To duża nierozwaga, że odrzuciłeś względy pierwszej gwiazdy. Ona ci tego nie daruje. Och! Tam się aż trzęsie w teatrze, że się ciebie ze mną widuje! Bardzo dobrze to zrobiłeś, dzięki temu zakotłowało się w ich światku. Dotychczas pozwalały mi żyć, bo im nie zawadzałam, teraz mnie nienawidzą. Nareszcie ja stałam się problemem w teatrze...! Co prawda największym problemem dla Julii, ale to już wystarczy. Nie cierpię tej baby! Wiesz, czasem to się zastanawiam i myślę sobie, że jestem jednak małym człowiekiem, że się poddaję takim nienawiściom, ale co ja mam zrobić, jak mi ta cholera tak działa na nerwy?

— Jesteś po prostu małą jędzą, ale to też jest zabawne w tobie.

— No widzisz? Ile to się ma rzeczy w sobie, które się mogą mężczyźnie podobać. — Kinga przysuwa stolik do fotela, na którym siedzi Krzysztof. Ostrożnie stawia na stoliku herbatę i sama siada na niskim krzeselku obok fotela. — A teraz pijmy, na pohybel wrogom i na nasze szczęście.

Wielki chłop Krzysztof, amant, pije herbatę i rozmyśla, jak tu zacząć tę miłosną scenę, której ona z pewnością oczekuje, a do której jemu osobiście się nie śpieszy. Owszem, Kinga mu się podoba, ale jakoś nastrój jest zbyt herbaciany, zbyt przyjacielski, żeby zaraz wkraczać w akcję.

Kinga utkwiała oczy w szklance z herbatą i ze skupieniem przygląda się jej pod światło, wyrażając niezadowolenie z powodu niedostatecznej mocy płynu, równocześnie zastanawia się, co zrobi, jeżeli amancisko rzuci się na nią. Sprawa jest jasna: przyszedł do niej, zdecydowała się go wreszcie zaprosić i jest na tyle dorosła, aby wiedzieć, po co mężczyznę się zaprasza. On tam pewnie już się gotuje do czynu, a ona jakoś nie ma ochoty. Nie dlatego, żeby jej się nie podobał, ale jakoś... Jak już się wie, o co chodzi, to się wcale nie chce.

— Niezła ta herbata — mówią równocześnie i wybuchają śmiechem. Potem przez dłuższą chwilę nie ma o czym mówić. Kinga z pośpiechem wymyśla tematy, którymi można by wypełnić milczenie. Ale każdy wydaje jej się za głupi, w końcu decyduje się na najgorszy.

— Wiesz co, Krzysztof? Zwariuję, jeżeli nie wymyślimy jakiegoś tematu do rozmowy. Moment jest denerwujący: chwila poprzedzająca wielkie wydarzenie spotkania się dwóch ciał, bo dusze już się znalazły. Czym poprzedzić tę chwilę?

— W takim razie nie poprzedzajmy niczym — decyduje Krzysztof i z rezygnacją pochyla

się nad Kingą, aby ją pocałować. Myśli równocześnie, że dziewczyna trochę przesadza z tempem, no ale ostatecznie trudno jej się dziwić.

Kinga przymyka oczy. — Nie daj Boże, mógłby wyczytać w nich chwilową niechęć i jej niezadowolenie, że może trochę pośpieszył się z tym wszystkim. Zdecydowała się na spędzenie z nim tego wieczoru, więc ostatecznie wszystko jedno, kiedy to się zacznie.

Krzysztof całując Kingę oblicza w myśli godziny: jak by nie było, zbierze się ich kilka, w których będzie musiał się z nią kochać. — Spodziewałam się, że mi to będzie lepiej smakowało... Jak to zawsze wyobrażenia idą obok rzeczywistości — myśli Kinga jednocześnie starając się oddawać pocałunki, a Krzysztof, z całą odpowiedzialnością prawdziwego amanta, próbuje nie zawieść jej nadziei. W końcu jednak wszystko staje się jakoś znośne, a potem mile.

Co robią ludzie między godziną siedemnastą a dwudziestą drugą wieczorem? Kochają się, a potem mówią sobie różne rzeczy.

Kinga trzyma twarz Krzysztofa, który siedzi na podłodze, trzyma tę twarz w dłoniach opartych na zgiętych kolanach i mówi słowa powtarzane, dawno znane. (Ale skąd wymyślać ciągle inne słowa?) Mówi:

— Cóż za przepiękny mężczyzna leży tu, na moich kolanach! Jesteś wspaniale piękny. Cudownie piękny mężczyzna, ten Krzysztof!

Krzysztof pozwala tak mówić do siebie. Nawet mu się to bardzo podoba... Coraz bardziej podoba mu się ta dziewczyna, która potrafi tak ładnie mówić. Ta dziewczyna chyba się w nim zakochała? Naprawdę urocza, tylko po co od razu miłość? Jasna sprawa: mając takiego chabeciarza musiała się zorientować, co znaczy prawdziwy mężczyzna. Postanawia zrewanżować się za tę czułość.

— Wiesz, tak mi z tobą dobrze... — To są właśnie słowa rewanżu.

— Tak się cieszę — szepce Kinga z oczami pełnymi jego oczu, równocześnie myśląc, dlaczego to mężczyźni nie potrafią nigdy wymyśleć nic nowego, tylko że im dobrze? — Ale może jemu rzeczywiście jest dobrze? Może nie było mu nigdy dobrze? Jakie on mógł mieć kobiety, taki amant? Same idiotki, które leciały na jego bicepsy. Może jemu potrzeba dziewczyny takiej jak ja? Zwykłej, takiej sobie dziewczyny, ale czulej, miłej i dobrej... no, może z tą dobrocią to trochę przesadzam, ale ostatecznie, czy ucięłam komu głowę? Albo choćby nogę?... Chociaż chciałam, żeby Julia spadła ze schodów, ale kto by nie chciał na moim miejscu? Jemu życzę jak najlepiej i to jest ważne. Śmieszny chłopak. Chyba się zakochał czy co? Ma taki głupi wyraz twarzy... Oni zawsze są tacy, kiedy się zakochają i to jest u nich wzruszające... Fred też z początku był tak idiotycznie wzruszający... Och, ten Fred...! Co ja z nim zrobię? Najlepiej by było, żeby sobie znalazł jakąś inną dziewczynę. Nie miałabym serca powiedzieć mu, że mam go już dosyć. On w gruncie rzeczy jest szalenie do mnie przywiązany Biedne, stare konisko! Ale nic nie może trwać całe życie.

— Wiesz, Krzysztof, byłoby dobrze, gdyby dzień dzisiejszy nie musiał się skończyć.

Słowa te na moment przerażają Krzysztofa, ale szybko pokrywa to najczulszym uśmiechem, zapewniając, że i on niczego więcej nie pragnie.

W miesiąc później Kinga i Fred siedzą w domu. Kinga suszy włosy suszarką, a Fred jak zwykle leży i przegląda czasopisma sportowe. Kinga kilka razy odkłada suszarkę, spogląda na niego, namyśla się nad czymś i znów suszy włosy. Wreszcie kładzie suszarkę na kolanach, nie wyłączając jej jednak i podnosząc trochę głos, aby przekrzywić szum suszarki, zwraca się do Freda:

— Fred, chcę ci coś powiedzieć... Fred nie podnosząc głowy znad gazet odkrzykuje:

— Może innym razem. Widzisz, że jestem teraz zajęty, i na miłość boską wyłącz już tę suszarkę, bo myśleć nie można!

— A o czym ty takim znów myślisz?

— Tylko bez tej głupiej ironii! — Przy tych słowach Fred przestaje na chwilę przeglądać czasopisma, ale tylko na tyle, aby przesytytować Kingę spojrzeniem, a kiedy uznaje, że powinna czuć się zabita, zajmuje się z powrotem wertowaniem kartek.

— Kiedy to naprawdę ważne... To co ci chcę powiedzieć. — Kinga wyłącza suszarkę i w zupełną ciszę padają słowa: — Fred. Zdradziłam cię.

Fred nawet nie odrywa oczu od gazety.

— Przestań się wygłupiać. Nie myśl, że w ten sposób rozbudzisz we mnie nowe i nagłe zainteresowanie swoją osobą. To jest po prostu niesmaczne. Nie wymyślaj takich błażeństw. Wcale ci z tym nie do twarzy. Nie myśl, że uwierzę w coś podobnie głupiego. Nie chcę ani słowa więcej słyszeć!

— Jak sobie życzysz. Nie, to nie. Nie usłyszysz więcej ani słowa.

Kinga zabiera się znów do suszenia włosów, myśląc o tym, jak ciężko jest coś powiedzieć komuś wtedy, gdy ów ktoś absolutnie nie chce w to uwierzyć. Nie jest w stanie dobijać tego człowieka. W gruncie rzeczy to jest dobry chłopiec. Nie składa się z samych zalet, ale jednak ją kocha. Woli być z nią, choć oszukiwany. Niech więc zostanie tak, jak jest.

W małym barze, w którym siedzieli trzej mężczyźni, dwóch z jednej, a trzeci z drugiej strony baru, zgasło światło.

— Do licha — powiedział barman — albo przepaliła się żarówka, albo wyłączyli prąd. — Włączył kontakt innej lampki i światła nie było. — Wyłączyli, ale mam świece. To potrwa jeden moment. — Rozpoczął poszukiwania paczki ze świecami, podczas gdy dwaj mężczyźni za ladą zapalali jedną zapałkę po drugiej, aby mu łatwiej było znaleźć.

Wreszcie postawił dwie szklanki dnem do góry, nakapał na nie trochę stearyny i przymocował odszukane świece. Stało się nawet jaśniej niż wtedy, gdy świeciła lampka, tyle że trochę inaczej: prócz nich były teraz jeszcze w małym barze ich wydłużone cienie na ścianach. Barman zaśmiał się, wskazując na cienie:

— Jest nas teraz więcej. Bar się zaludnił. Czy to panu nie będzie przeszkadzać? — zwrócił się do Wysokiego.

— Nie. — Wysoki odpalił papierosa od świecy, tamci dwaj wpatrzyli się w niego.

Przyjeżdża przyjaciel Freda. To znaczy ten mężczyzna, którego Fred z uporem nazywa swoim przyjacielem, a którego jednak w głębi duszy nienawidzi, gdyż zawsze czuje się przy nim trochę jak koń przy człowieku, oczywiście jeżeli przyjmie możliwość posiadania kompleksów przez konia. Więc ten mężczyzna najpierw dzwoni do teatru, słyszy głos Kingi, tej Kingi, która tam jest i którą za chwilę zobaczy. Umawiają się: — Za dwie godziny na rogu za teatrem. — Dwie godziny to długo, kiedy się czeka!

Mały hotel w prowincjonalnym miasteczku. Mężczyzna siedzi na łóżku i patrzy na zegarek.

Dwie godziny muszą jednak też kiedyś minąć. Mężczyzna wybiega z hotelu. Ma jeszcze dużo czasu, ale idzie tak szybko, jakby się bał gdzieś spóźnić. Przydeptuje niedopałek papierosa i zaraz zapala drugiego.

— Kinga!!!

— Świetnie, że cię widzę — mówi Kinga spotkawszy przyjaciela Freda — może ty mi pomożesz w pewnej sprawie. W żaden sposób nie wiem, jak wyjaśnić Fredowi, że odchodzę od niego. I nie wiem, jak to zrobić, aby bardzo nie cierpiał. Może ty mu to jakoś wyjaśnisz? Jesteś mężczyzną i jego przyjacielem.

— Z tego wynika, że masz już kogoś innego i że tym kimś nie jestem ja. Daruj, ale nie czuję się na tyle przyjacielem Freda, aby mu wyświadczać łaskę i pomóc mu zrozumieć, że jest nic nie wartym durniem, którego najwyższy czas jest rzucić. Owszem, niech sobie będzie oszukiwany. Bardzo ładne jest połączenie konia z osłem. Takie zwierzę nazywa się, zdaje się, mułem, tak? Niech się pomęczy jeszcze trochę z tobą, domyślam się, że nie musisz być teraz dla niego specjalnie miły. To mi sprawia przyjemność i osładza moment rozczarowania, że jeszcze nie nadeszła chwila, kiedy do mnie będziesz należeć. Poczekam. Nie śpieszy mi się. Myślę że jeszcze trochę pożyję i ty też. Nieważne kiedy to nastąpi, ale i tak wiem, że w końcu zdecydujesz się na mnie. A teraz taki drobiazg: Kto to jest ten nowy?

Kinga uśmiecha się i całuje go w policzek.

— Nie jest ani w połowie tak mądry, jak ty, ale my wybieramy sobie mężczyzn właśnie tych niegodnych i wcale nie trudzę się zrozumieć, dlaczego tak właśnie jest.

Po jakimś czasie.

Oto dzień późnej wiosny. Nic słońca, deszcz ze śniegiem i rozmokłe, szaro błotniste ulice.

Kinga człapie po błocie w gumowych do pół łydek sięgających buciskach. Przytrzymuje rękami klapy płaszcz pod szyją i klnie w duchu wiatr, psią pogodę i ten dzień, taki ohydny, dzień, który właśnie jej się musiał trafić na rozmowę w dyrekcji.

Zawsze pod koniec wiosny odbywają się rozmowy z aktorami; targi o wyższą gażę i lepsze role w nowym sezonie teatralnym. Kinga zna te rozmowy na pamięć: zawsze były takie same. W każdym razie dla niej. Jej nigdy nic nie mogli obiecać, po prostu tak się już utarło i dzisiaj również nie obiecuje sobie żadnych rewelacji po tej rozmowie, ale wołałaby, żeby chociaż dzień był jakiś możliwszy. Chociaż cień słońca — zawsze inaczej wtedy człowiek znosi klęski.

Przy budce z papierosami czeka na nią Krzysztof. Wyskakuje w charakterze niespodzianki i krzyczy „kuku”. Kinga odkukuje, żeby mu nie było przykro i żeby nie myślał, że ona się nie cieszy z tego spotkania, ale jest posępna, zupełnie nie w „kukającym” nastroju.

— Uśmiechnij się, jędz! — Krzysztof trzyma jej twarz i wymusza uśmiech, więc się uśmiecha na odczepne, ale dalej jest tylko zła i nic więcej.

Idą razem. Krzysztof bardzo dumny z siebie, wyjaśnia, że czekał tu na nią, bo wie, że idzie na rozmowę i czekał właśnie dlatego, aby szli razem i żeby jej było milej. Więc teraz niech nie robi min tylko się cieszy, że sobie tak razem idą.

— No, cieszę się. Cieszę się, mogę się przecież cieszyć z ciebie, ale nie z tego, że zaraz stanę przed obliczem potężnej dyrekcji — mówi zniecierpliwiona, uwalniając swoją rękę spod ramienia Krzysztofa, który absolutnie nie może zrozumieć, co ma jedno z drugim wspólnego.

Czuje się teraz urażony na dłuższy czas, wyrażając to tonem głosu:

— Straszne rzeczy! Ja też idę pojutrze na rozmowę, no i co? Każdy musi iść na rozmowę i nie ma co z tego robić wielkiej afery.

— Och, jest pewna różnica między twoją i moją rozmową! Ciebie będą pytać, ile chcesz więcej, a nade mną będą rozmyślać, ile by można dać mniej.

— Przecież nie istnieje nic takiego jak obniżanie gaży — sprostował Krzysztof.

— Och! Nie bądź dzieckiem! Nie o to chodzi, wiesz dobrze. Wiesz tak samo dobrze, jak i ja, że mają mnie za nic, i po prostu człowiek czuje się podle, kiedy tak idzie do nich po to tylko, żeby jeszcze raz przypieczętować tę pewność. Zresztą nie mówmy już o tym. Nic na to nie pomożesz i to nie twoja wina, zresztą moja też nie. Chyba tyle tylko jest w tym mojej winy, że w ogóle żyję. Nieważne. Rzeczywiście nie ma o czym mówić. Przepraszam cię.

Zawsze muszę się zachować jak idiotka.

Krzysztof jednak nie czuje się dostatecznie przeproszony i idą teraz milcząc, oboje źli na siebie. W końcu jednak Krzysztofowi robi się żal tej biednej Kingi (— Ona w grucie rzeczy naprawdę nie ma łatwego życia.) i wyraża nadzieję, że może tym razem wszystko będzie wyglądało inaczej. Kinga nawet nie próbuje zdradzić swoich wątpliwości, zabiera zły nastrój, który przecież w niczym nie dotyczy Krzysztofa, i wchodzi w bramę teatru, potem na schody. A potem? Czeka chwilę na swoją kolejkę przed drzwiami dyrektorskiego gabinetu, podczas gdy Krzysztof pije kawę w kawiarni obok teatru i wypatruje jej powrotu.

Nigdy nie wiadomo, co może wpłynąć na zmianę nastroju wszechpotężnego dyrektora, w każdym razie Kinga te przyczyny są nie znane. Rozmowa odbywa się inaczej niż zwykle. Nie tak jak poprzedniego roku i jeszcze minionych lat. Dyrektor — olbrzymia figura, łysa i bystrooka, bystrość swych oczu ukrywająca jednak za lustrzanymi okularami (co pozwala widzieć czyjeś oczy, a nie pokazywać własnych!) — siedzi w całej glorii swojej dyrektorskiej wspaniałości i, o dziwo, uśmiecha się.

Kinga po miłym zaskoczeniu wpada w panikę. Może to znaczy, że on jej wymówi pracę? Może właśnie dlatego się uśmiecha, aby osłodzić tę nieprzyjemną chwilę, kiedy się powie: — Bardzo nam przykro, ale niestety nie widzimy możliwości dalszej współpracy z panią. Może w innym teatrze będzie pani mogła znaleźć lepsze warunki do wykorzystania swoich umiejętności, w które ani przez chwilę nie wątpiliśmy, jednak z przyczyn od nas niezależnych nie mogliśmy ich wykorzystać w naszym teatrze—i tak dalej, i tak dalej.

Jednak nie padają takie słowa. Dyrektor w dalszym ciągu uśmiecha się, kiedy mówi:

— Pani Kingo. Niezmiernie panią cenię, w to pani chyba nie wątpi. Jest pani bardzo użyteczną jednostką, aktorką niewątpliwie potrzebną, jednak nie wykorzystaną na tyle, na ile by pani zasługiwała. Są powody, których nie jestem w stanie tutaj tak od razu wyjaśnić. Czujemy się winni, chcielibyśmy dać pani jakąś satysfakcję artystyczną. Niestety, nic na pewno nie mogę obiecać. Nie mogę powiedzieć, że będzie pani grała takie a takie role. Jednak myślimy o tym. Będziemy się starali, aby ten sezon mógł być dla pani pomyślniejszy. Jednym słowem proponuję pani współpracę na nowy sezon teatralny. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby pani nie zechciała z naszej propozycji skorzystać.

Kinga siedzi oszołomiona. Nawet nie zwraca tym razem uwagi na tę drobną śmieszność mówienia chwilami „my”. Kto to ma być, ci „my”, kiedy wiadomo, że jest on jeden, tylko on władca życia, losu i powodzenia wszystkich aktorów. On, dyrektor i kierownik artystyczny w jednej osobie. Wszystko nieważne, tylko skąd ta nagła zmiana? Nic wprawdzie nie obiecał, ale to co mówi, jest takie miłe... Co to może znaczyć?

Dyrektor skierowuje reflektory lustrzanych szkielek na rozszerzone zdziwieniem oczy Kingi.

— Pani ma taki zbawienny wpływ na pana Krzysztofa... Niech pani nie zaprzecza, w teatrze wie się wszystko. To wspaniały aktor, tylko bardzo nierówny i kapryśny. Kobiety sobie najlepiej radzą z takimi mężczyznami. Cieszę się, że to pani właśnie zainteresowała się panem Krzysztofem. Pani, którą tak bardzo cenimy. Myślę, że niedługo będziemy mieli okazję spotkać się i zapoznać ze sobą bliżej, a teraz proszę podpisać umowę i jeszcze raz serdecznie dziękuję.

Kinga podpisuje umowę, wiedząc już, skąd te przyjazne uśmiechy, te obiecujące słowa, ta dobroć. Powinna być wdzięczna za takie niezwykłe przyjęcie, a jest wściekła. Więc ona sama nic nie znaczy. W dalszym ciągu nic. Liczy się tylko mężczyzna, który dla nich jest kimś i dla tego mężczyzny kupili ją jeszcze na ten rok. A co będzie w przyszłym sezonie? Może ten mężczyzna runie z wyżyn swojej doskonałości aktorskiej, a wtedy stracą ją razem z

nim. I znów Kinga Kidney, aktorka „bez nazwiska”, przyjdzie podpisywać umowę podaną jej z łaski, będzie się śpieszyć, żeby to zrobić szybko, niedostrzegalnie i czym prędzej zejść z oczu zniecierpliwionego pana dyrektora, który przecież ma tyle ważnych spraw na głowie, całą olbrzymią machinę teatru, gdzie człowiek liczy się tylko na tyle, na ile ocenią go recenzje albo na ile posiada sprytu i przebiegłości, aby dopchnąć się do ołtarza w tej świątyni SZTUKI.

Kinga, zapominając odpowiedzieć na pozdrowienia innych czekających w kolejce do dyrektora, zbiega po schodach, w bramie zderza się z kimś, nie przepaszając wybiega z teatru i już jest w kawiarni. Krzysztof siedzi przy stoliku razem z dyrektorem teatru z W. Piją kawę i rozmawiają bardzo poufnie i gorąco.

— Siadaj, Kinga — zaprasza Krzysztof. — Zamów sobie kawę i nie przeszkadzaj nam chwilę. To jest pan dyrektor Ż. Może znasz pana? Panna Kinga Kidney. Przepraszam cię, to potrwa jeszcze tylko moment.

Kinga siedzi pijąc kawę i słuchając krótkiej, męskiej wymiany zdań na temat: role, mieszkanie, gaża. Krzysztof angażuje się od nowego sezonu do dyrektora Ż. Lepsza gaża. Lepsze role. Lepsze mieszkanie. No i jaki teatr. Teraz podpisuje umowę. Nie pójdzie już na rozmowę do dyrektora Kingi. Rozmowę odbył już ze swoim nowym dyrektorem.

Odprowadzając Kingę do domu, Krzysztof mówi, jak mu jest bardzo przykro, że odchodzi. Było mu naprawdę dobrze z Kingą, no ale cóż — życie jest życiem, nie można gardzić szansą, która się może raz tylko zdarza. Otrzymać tak znakomitą propozycję i w takim świetnym teatrze. Taką szansę trzeba chwycić za nogi, może się już nigdy nie powtórzyć. I pomyśleć, jakie przypadki zdarzają się w życiu. Gdyby dzisiaj nie czekał tam na Kingę, nie spotkałby tego dyrektora, który szukając kogoś w typie Krzysztofa, wstąpił do kawiarni teatralnej, żeby „poniuchać”...

— Wiesz, on ma taki swobodny styl, to jest miłe... Nie puszy się, nie wymądrza, mówi żargonem tak jak my. Uroczy facet i wie czego chce. Och! Jakże mi będzie ciebie brak, mała! Nie zapomnę nigdy tego, co mi dałaś. Ach? Byłbym zupełnie zapomniał... Jak twoja rozmowa? Podpisałaś umowę?

— Wszystko w porządku. Podpisałam. — Kinga uśmiecha się i podaje Krzysztofowi rękę na pożegnanie, a on chwilę jeszcze stoi, kiedy ona już zniknęła w bramie swojego domu i dziwi się, czemu Kinga jest taka oziębła. Doprawdy, kobiety potrafią być egoistkami. Kiedy spotyka go takie szczęście, nie może nawet liczyć na to, aby podzieliła je z nim bliska mu osoba. Człowiek jest zawsze samotny, smutna to prawda. I z poczuciem niezasłużonej krzywdy odchodzi przeżywać swoje szczęście samotnie.

Mały mężczyzna przy barze zaczął cichutko skomleć:

— Do cholery, po co mi pan to wszystko opowiada? Ja nie mam zdrowia do takich rzeczy. Mówiłem panu, że nie lubię słuchać takich historii. Człowiek ma prawo być słaby, no nie? Jeden jest mocny, a drugi słaby. Ja jestem słaby! No jestem! I co komu do tego?! Mogę dziennie przenieść dwadzieścia pięćdziesięciokilogramowych worków żytniej mąki, ale nie mogę słuchać takich rzeczy.

— Niech się pan uspokoi — powiedział barman. — Niech pan wypije jeszcze jeden koniak, to powinno dobrze zrobić.

Mały nie chciał pić koniaku. Odsunął kieliszek brutalnie ręką, pochylił się cały nad barem i piszczał dalej:

— Dlaczego ten Krzysztof odszedł? Czy nie mógł odejść chociaż o rok później? Może

wtedy Kinga by już coś znaczyła w teatrze? I wtedy już nie potrzebowałaby Krzysztofa. Zgoda, ona nie dlatego go sobie wybrała, aby mieć przez niego poparcie, nawet nie wiedziała, że coś takiego może zaistnieć, ale skoro już się trafił ten szczęśliwy przypadek, że ją zauważono dzięki Krzysztofowi, mogło to przecież potrwać chociaż jakiś czas. Chociaż tyle, aby jej dali zagrać jakąś rolę.

— Może wtedy okazałoby się, że nie potrafi tego dobrze zrobić — powiedział spokojnie barman.

— Skąd pan to może wiedzieć, że ona by nie potrafiła?! — Mały poderwał się, oparty na sztywnych, wyciągniętych rękach, wpatrywał się wściekły w oczy barmana.

— Powiedziałem „może”.

— A może i nie! Pan by chciał, żeby dalej ciągnęła ten swój kulawy los? Parszywy los człowieka nie zauważonego! Czy pan wie, co czuje taki człowiek?

Mały nagle załamał się. Tamten człowiek za barem nie chciał z nim walczyć. Był tak samo bezradny, jak on. Zwalił się więc głową na bufet i przysłonił twarz brudnymi rękami.

— Wszyscy! Wszyscy bezradni! Jak zmienić świat? Jak zmienić świat Kingi Kidney? Kingi niepotrzebnej nikomu, prowincjonalnej aktorki? — leżał z twarzą w rozlanym piwie i płakał. Było mu wszystko jedno, że oni to widzą. Mówił wyraźnie, że nie znosi takich historii. Nie trzeba mu było o tym mówić. Może przenosić cały dzień worki z żytnią mąką, ale nie będzie słuchał takich rzeczy. Nie będzie i już!

Wysoki odwrócił trochę głowę Małego i wcisnął mu papierosa do ust.

— Niech go pan zostawi — powiedział barman. — Każdy taką sprawę musi załatwić sam z sobą. Niech mu pan da spokój. Proszę mówić dalej.

Fred już od miesiąca odszedł do swojej długonogiej tancerki. Kinga jest sama. Wysłała mu pakunek z dwoma swetrami, zimowym paltem i nadjedzoną przez mole futrzaną czapkę. Wyszukuje wszystkie spinki ozdobione głowami koni lub podkowami, dwie pary sznurowadeł i stare tenisówki. Nie chce, aby cokolwiek po nim zostało.

Chodzi na próby, potem gra służącą. Sprząta stół pod baczynym spojrzeniem Julii, która mówi:

Agnieszko, niech Agnisia uważa, żeby czegoś nie potłuc, to porcelana po nieboszczce babci”. Kinga wynosi ze sceny porcelanę po nieboszczce babci i składa ją w dłonie rekwizytora, który rzuca się, aby dopić resztkę kawy pozostawionej przez aktorów. Wreszcie schodzi ze sceny i dowiaduje się, że był do niej telefon, dzwonił jakiś pan i prosił, żeby tam a tam zadzwoniła, jak tylko będzie miała trochę czasu. Ma trochę czasu, więc dzwoni. Przyjechał przyjaciel Freda, ten, co pisywał marne sprawozdania sportowe.

Spotykają się w knajpie na końcu ulicy, tam gdzie jaśnieje szyba okna za gęstymi krzakami, tym razem już tylko patykami krzaków, bo zbliża się zima i krzaki obdarły się z liści.

Siadają przy stoliku. prostytutka Miła mruga porozumiewawczo, że świetny chłopak. Zamawiają kawę, wódkę i wodę sodową, bo Kinga nie jada kolacji, a alkohol ma już i tak tyle kalorii. Przyjaciel Freda wobec tego również postanawia nie jeść. Piją wódkę i on kładzie rękę na jej ręce.

— Kinga, zeszczupłałaś. Jesteś mała, chuda i wystraszona. Okropnie bym chciał, aby ktoś mały, chudy i wystraszony potrzebował mojej opieki. Tylko mi nie mów, że mnie nigdy nie będziesz chciała. Ja jeszcze mogę poczekać. A teraz mówiąc poważnie: nigdy nie uważałem siebie za potęgę pióra, ale diabli wiedzą, co ludzie w człowieku zobaczą... Uparli się, żebyśmy był kierownikiem literackim w teatrze w P.

Oczywiście nie jestem ignorantem, teatr był zawsze moją pasją, mam jakieś takie uniwersyteckie wykształcenie... O koniach pisałem dla rozrywki, człowiek musi mieć jakieś hobby, a teraz trzeba poważnie pomyśleć o życiu. Muszę jechać do P. Ty wiesz, jak to daleko stąd... Nie będę cię mógł często widywać... Nie jestem sentymentalny, ale jeżeli mam zacząć nowe życie poważnego człowieka, nie chcę go zaczynać bez ciebie. Czy to by było bardzo głupie, gdybym cię poprosił, żebyś została moją żoną? Wiem, że mnie lubisz, to mi wystarczy, nie wymagam takich wspaniałości, jak miłość. Nie jestem wiele wart i pewnie mi się to nie należy. Kinga, powinno nam być ze sobą dobrze, przecież zawsze potrafiliśmy się dogadać. Właściwie to tylko my potrafiliśmy się dogadać... Powiedz coś... Czuję, jak coraz bardziej staję się idiotą w tym monologu.

Kinga opiera obydwie ręce na stole, przechyla się trochę do tyłu i wpatruje się w przeciwległą ścianę, nabiera powietrza, jakby gotując się do dłuższego przemówienia, potem śmieje się krótko, opuszcza głowę i spogląda bokiem na mężczyznę. Mówi:

— Aleś mnie urządził! Coś ty najlepszego wymyślił z tym małżeństwem? I co jest z tą powagą? Nigdy nie byłeś taki dostoyny. Przecież to niemożliwe, to małżeństwo. Daj spokój.

— Dlaczego niemożliwe? Będziesz moją żoną i będziesz sobie grać w teatrze w P. Razem do pracy, razem do domu. Pojmujesz co za idylla?

— No, nareszcie mówisz jakimś ludzkim językiem. Przedtem myślałam, że masz zostać kaznodzieją, a nie kierownikiem literackim w P.

— No więc, zgadzasz się? Kinga?

— Och, to nie! Teraz będę musiała być brutalna... No więc, nie. Bo po prostu ja ciebie nie kocham.

— Tak... Wiem, że masz decyzje błyskawiczne i nieodwołalne, więc już nie będę podejmował tematu. Jutro już jadę, będę jeszcze długo zabliźniał swoje rany, a teraz ani słowa więcej na ten temat, bawimy się. Piję zdrowie morderczynie mego szczęścia!

Kinga czuje się jednak trochę nieswojo na tej stypie. Przyjaciel Freda wpada z uroczego nastroju w drugą ostateczność: pije, żartuje, kipi humorem, w końcu dochodzi do szczytu takiego upojenia, w którym prawdziwy Polak musi śpiewać. Po improwizowanej balladzie, pełnej zaklętych koni, księżniczek i królewiczów, którzy nie wiadomo dlaczego chodzili w dziurawych kaloszach, zaintonował „Salve Regina”, wtedy Kinga stwierdza, że musi już wracać do domu. Jest noc, a ona musi jeszcze usmażyć gołąbki, bo jutro nie będzie miała na to czasu, a jeść coś trzeba. Mężczyzna zgadza się, że trzeba coś jeść, nawet koniecznie. Kinga naprawdę zmizerniała i powinna dbać o siebie i jeść. Jeść i jeszcze raz jeść. Potem odprowadza Kingę do domu, sam idzie na dworzec. Zdecydował, że jednak od razu pojedzie. Złapie jakikolwiek pociąg, może być nawet z przesiadką, a Kinga życzy wszystkiego dobrego, może to głupio życzyć wszystkiego dobrego, ale język ludzki jest ubogi i w takich okolicznościach nie ma nic innego do powiedzenia. — A więc bądź zdrowa — mówi i zatacza się lekko drogą wiodącą do dworca.

Kinga zabiera się do smażenia gołąbków. Parzy liście kapusty, przygotowuje farsz, napycha nim liście, porządnie, bo lubi, żeby było dużo farszu, zawija wszystko i wsadza do piekarnika. Gaz jest wspaniały, bo to noc, gołąbki w piecu skwierczą, a ona się uczy nowej roli. Są to dwa zdania na krzyż, nudne jak diabli, ale lubi sumiennie wszystko zrobić. Kazali na jutro umieć tekst, to ona go będzie umiała. Nie jest aktorką, jest po prostu śmieciem, który, chwala Bogu, nikomu nie zawadza, ale płaca za to, żeby na pamięć mówić, to ona mówić będzie. Julia oczywiście zacznie dukać albo gonić z egzemplarzem. Ale Julii wolno, Julia jest gwiazdą, w dodatku przemęczoną... Tyle musi grać i grać... Nie sposób od razu wszystko

umieć na pamięć. Nudne to, że rany... Co za idiota to napisał?

— Auuuu... ziewa Kinga — czy ten biedny człowiek złapał aby jakiś pociąg? Będzie się wlec godzinami na kacu... Nie chciałabym być w jego skórze. Co mu właściwie wpadło do głowy z tym małżeństwem? Litość? Czy on myśli, że nie poznam się na takich sztuczkach? Niech się nikt nade mną nie lituje. On będzie kierownikiem literackim i ja dlatego będę aktorką przy jego boku. Nareszcie będą musieli mnie uznać. Mam dosyć takich hec, żeby swoje życie ustawiać przez chłopów. Albo sama się do czegoś dopcham, albo niech mnie diabli wezmą! Przecież, do cholery, muszę się doczekać, żeby mi wreszcie dali jakąś ludzką rolę! I taki idiota chce się żenić z litości! To nie ze mną, panowie! Nie wstawiać mi numerów z opiekuństwem czy innymi duperelami! Wyrzygać się można! Nie naplułam mu w gębę, bo w gruncie rzeczy to dobry chłop. Teraz jedzie tam, wlecze się i głowa mu się kiwa nad kolanami. Kiedy on się dowlecze? Pusty pociąg, niebieskie światło w żarówce... pociąg monotonnie stuka, stuka... głowa się kiwa... leci... zamknął oczy... jakie on ma właściwie oczy... zielone... zielone... zielono-brązowe... zie... zie... nie pamięć...

Nagle przerywa się dopływ gazu i przestają skwierczeć gołąbki w piekarniku. Kindze śni się, że milkną świerszcze, skaczące dotąd za oknami pociągu, w którym on jedzie. Olbrzymia łąka pełna wysokich rumianków sięgających aż ponad okna pociągu i w trawie zaplątane wąsami o jej źdźbła zielone, grube świerszcze. Najpierw ćwierkają, ćwierkają, ćwierkają, skaczą, a potem milkną, przestają skakać i ruszają się powoli, ociężale, coraz wolniej. Długie ich wąsy zsuwają się ze źdźbeł trawy i leżą grube i napeężniałe, ciche świerszcze w wysokiej trawie sięgającej aż ponad okna pociągu, którym jedzie, kołysząc się nad zgiętymi kolanami, przyjacieli Freda.

Kiedy rano znaleziono Kingę otrutą gazem, w teatrze wybucha panika. Julia płacze, gdyż jest to dziewczyna nader wrażliwa na ludzką niedolę i nawet głośno przypuszcza, że Kinga dlatego odebrała sobie życie, gdyż działa jej się krzywda w teatrze. Nikt nigdy nie pomyślał o tym, aby jej dać satysfakcję artystyczną, i ona, Julia, wiedziała, że to kiedyś tak musi się skończyć.

Za chwilę okazuje się, że prawie wszyscy wiedzieli, że to kiedyś tak musiało się skończyć.

Dwie stare damy drepczą szybko do toalety, każda z prawem absolutnego pierwszeństwa, zatrzymują się zderzwszy się najpierw w drzwiach urządzenia sanitarnego i zapominając o celu wyprawy wiodą zaczetą dysputę.

— Wiesz — mówi Upadły Anioł — ona mi od początku wyglądała na samobójczynię. Zawsze taka była nie z tego świata... To było niesłychanie drażniące, przyznasz.

— Ona po prostu patrzyła jak zza grobu — dodaje druga — i taka była ostatnio nieznośna. Moja matka przed śmiercią to samo miała... Oj! Znowu mi gumka pękła w majtkach!

— Wiesz, to już się staje u ciebie obsesją! Przestań wreszcie chodzić w majtkach, jeżeli nie możesz znaleźć sposobu na gumkę! Mnie tam jeszcze nigdy w życiu gumka nie pękła! Jeżeli jeszcze raz usłyszę o gumce, to przestanę z tobą rozmawiać. To się robi niesłychanie drażniące! — I dama bardzo godnie wkracza do toalety, zostawiając przyjaciółkę w towarzystwie złośliwej gumki oraz okrutnej groźby zerwania przyjaźni.

Dyrektor, powiadomiony o tragicznej śmierci Kingi, zjawia się natychmiast. Zarządza przerwę w próbie, gromadzi zespół i otoczony tym żałobnym tłumem, odzywa się w te słowa:

— Koledzy! Dzisiaj ponieśliśmy wielką stratę! Odeszła od nas koleżanka, która była przykładem pracowitości, sumienności, koleżeństwa i prawdziwego ukochania zawodu. Nieczęsto w tych zepsutych czasach mamy możliwość zetknąć się z podobnie szlachetną postacią. Niefortunne koleje losu nie pozwoliły jej dokonać do końca szlachetnego dzieła,

jakim jest praca w teatrze. Dzisiaj właśnie chciałem jej donieść radosną wiadomość, iż postanowiliśmy obdarzyć ją znakomitą rolą, rolą o jakiej zawsze marzyła, jakiej pragnęła. Niestety. Cześć jej pamięci! — Tu załamał się głos tego szlachetnego człowieka.

Julia, z uperfumowaną chusteczką przy ustach, szeptem przerywanym łkaniem pyta:

— Przepraszam, panie dyrektorze, a jaką rolę miała dostać nieboszczka?

— Główną rolę, proszę pani, w „Romeo i Julii”. Miała grać właśnie Julię. W związku z tym tragicznym wypadkiem pani obejmie rolę po świętej pamięci koleżance Kindze Kidney. — Z tymi słowami dyrektor skierowuje swe kroki do domu żałoby, aby złożyć ostatnią cześć tej biednej aktorce.

— To jest ostatnie draństwo — powiedział bardzo spokojnie Mały przy barze i podniósł twarz umoczoną w piwie. Patrzył zgasłymi, obłąkanymi oczami w twarz Wysokiego. — Pan nie miał prawa tego wszystkiego mówić. Nie chcę, aby mi opowiadano, że na wsiach zabija się psy uderzeniem sztachety w głowę, bo ja nie mogę chodzić po wsiach i zabierać wszystkie psy, żeby ich nie zabijano. Chcę nosić worki z żytnią mąką, mogę nawet trzydzieści worków przenieść dziennie, a potem wieczorem wypić kieliszek czegoś mocnego w małym barze i żeby mi nikt nie opowiadał takich rzeczy! Nie chcę, żeby mi ktoś stawiał! Ma pan tu moją marynarkę! Za to co wypilem! Nie chcę nic od pana!

Mały oderwał się od baru, stał na środku zadymionego lokalu, po twarzy ciekły mu strużki piwa i krzyczał:

— Otworzyć! Otworzyć mi zaraz te przekłete drzwi! Otworzyć, do jasnej cholery! Chcę wyjść!!!

Barman flegmatycznie podniósł wieko baru, potem je znów opuścił, przeszedł przez salkę, rozsunął story, otworzył kratę i zrobił przejście Małemu.

Szary i mokry świt. I mgła.

Mały przecisnął się przez uchyloną kratę, zatoczył się, oparł głowę o framugę okna i zwymiotował.

Barman zaciągnął kotarę na drzwi, nie zamykał już ich i wrócił na swoje miejsce.

— Chłodno. I mgła. Ale powinna być pogoda. Właśnie dlatego że mgła jest rano. Może pan wypije kawę?

— Chyba nie. Już pójdę.

— Niech pan jednak wypije. To potrwa chwilę. Zaraz zaparzę. Ekspres syczał, barman zaparzył kawę i mówił:

— Proszę, niech pan pije. Gorąca kawa rano, przy takim chłodnym poranku — jedyna rzecz!

Zawsze rano najpierw piję kawę, inaczej cały dzień jestem do niczego.

Wysoki wyciągnął dłoń po kawę, podniósł wzrok na barmana, zetknął się z jego uważnym spojrzeniem, opuścił niezgrabnie rękę i strącił z baru filiżankę z kawą. Wtedy w drzwiach stanął Mały. Stał naprzeciw Wysokiego i patrzył w jego oczy, potem zaczął się powoli zbliżać i wymierzył mu cios w szczękę.

Wysoki uderzył głową o ścianę, ale natychmiast się wyprostował, gotów do przyjęcia drugiego ciosu.

— To nie ma sensu — powiedział barman — przecież Kinga Kidney już nie żyje. — Potem zwrócił się do Wysokiego:

— Niech pan już idzie. Idźcie już obydwaj. To jest historia, którą pan chciał opowiedzieć temu gościowi, ja się tylko przysłuchiwałem, a teraz chcę posprzątać, bo trzeba będzie za

chwilę otworzyć bar.

Wysoki wyszedł pierwszy. Za nim szedł Mały, niosąc swoją marynarkę i płaszcz Wysokiego, który ten zostawił na krześle przy barze.

Barman sprzątnął stłuczoną filiżankę, otworzył szeroko drzwi, żeby wywietrzyć zadymiony lokal, i stojąc w drzwiach, patrzył w ulicę, na której coraz bardziej mały sylwetki dwóch mężczyzn. Na chwilę przystanęli, a potem rozeszli się. Każdy w swoją stronę.

W środku nocy

— Małpa! Wstrętna małpa z tego palacza! Nie palić o tej porze roku! Z administracji też jest małpa i z całej naszej władzy miejskiej i wojewódzkiej. Oni sobie i tak podgrzewają. Na pewno tam gdzie oni mieszkają jest ciepło, o to niech nikogo głowa nie boli. To jest draństwo, żeby nie kazać palić dlatego że na dworze jest powyżej dziesięciu stopni. A tu jest zimno! Powiem im parę słów, niech przynajmniej wiedzą.

Nora wygrzebała się z łóżka wściekła i stękająca. Chociaż już prawie południe, leżała dotąd w łóżku, bo zimno.

We wgłębieniu poduszki zostały resztki papieru toaletowego, z którego Nora zakręca papiloty, został zapach perfum i starego ciała, zostały zgniecione koronki pościeli, bo Nora lubi pościel z koronkami.

Nakręciła numer administracji budynków mieszkalnych. Nie potrzebowała szukać tego numeru w książce telefonicznej, miała go przed sobą, przybity szpilką do ściany — taki numer trzeba mieć zawsze pod ręką, bo z administracją nigdy nie kończą się kłopoty.

— Halo! Administracja? Niech no mi pan powie, kiedy się wreszcie zdecydujecie i kiedy tu będzie ciepło?

— Nie wiem, łaskawa pani. Nie wiem. Znam tylko jedno miejsce, gdzie jest ciepło.

— Świnia! — Nora napluła w słuchawkę i rzuciła ją na widełki, potem jednak zdecydowała się wytrzeć ślinę, bo nuż telefon się przez to zepsuje... Jeszcze tego jej trzeba, żeby sobie odcięła kontakt ze światem. A dzwonić do służby łączności? Nonsens. Na pewno znalazłby się ktoś dowcipny, kto by ją poinformował, gdzie najlepiej słyhać... Świnie. Wszyscy są świnie. Ohydne świńskie świnie.

Nora ma lat... nie ważne ile. Nie znosi, kiedy się komuś liczy lata. To jest mieszczańskie i głupie. Jakie znaczenie mogą mieć lata? Nawet takie określenia, jak: „Człowiek ma tyle lat, na ile się czuje” albo „Człowiek ma tyle lat, na ile wygląda” też uważa za głupie. Po co w ogóle mówić o latach? Mało jest na świecie interesujących problemów? Ale oczywiście głupi ludzie uwzięli się, żeby grzebać w sprawie lat.

Nora zrobiła rożek z końca szlafroka i tym rożkiem dokładnie wytarła w środku słuchawkę. Na czole rozluźnił się blond loczek, wyłuskał się z niego rulonik papieru toaletowego i zsuwając się po czole spadł na widełki. Z wściekłością rzuciła go na podłogę. Jest dzisiaj rozdrażniona. Wysupłała resztki papilotów i rzuciła gdziekolwiek. Potem potoczyła się w stronę szafy i znów wpadła we wściekłość:

— Jak można szafę ustawiać tyłem do światła? Nic nie widać! Aby móc tam coś dojrzeć, musiałabym sobie zainstalować światło elektryczne w samym środku szafy. Świństwo, żeby szafa stała w takim idiotycznym miejscu!

Brała, co wpadło pod rękę, a więc czarną koszulę, liliowy sweter ze złotymi guzikami, zieloną spódnicę, bluzkę z czerwonego nylonu i wypłowiałą apaszkę, która kiedyś była błękitna. Nie zamknęła drzwi szafy, bo po co? Przeklinając znów zimno, zrzuciła szlafrok i

szttywnymi rękami zaczęła wkładać wszystko na siebie. Kiedy się szamotała z zamkiem przy spódnicy, przypomniała sobie, że nie włożyła stanika.

— Cóż za głupia oślica! — skarciła siebie, znajdując jednak natychmiast usprawiedliwienie. Winna oczywiście jest szafa, stoi tyłem do światła i nic w niej znaleźć nie można. Gdyby stała tam, gdzie normalnie stoją szafy, wszystko byłoby widać, a więc i stanik, który gdzieś w niej musi leżeć.

Wyciągnęła wreszcie z ciemnej szafy stanik i znów przeklinając zimno i administrację, rozebrała się, rozpięła guziki bluzki, przy czym oczywiście okazało się, że kawałek bluzki wszedł w zamek od spódnicy i ten nie chciał teraz ruszyć ani w tę, ani w tamtą stronę.

— To już jest ostatnie draństwo — pomyślała Nora i zemściła się na spódnicy, przecinając ją z całą bezwzględnością w miejscu, gdzie wcisnęła się w zamek bluzka.

Zapaliła papierosa, mimo iż nie jadła jeszcze śniadania, i zwała się w koronki, w rozrzucone na łóżku części garderoby, przykryła się po brodę i wysunawszy tylko końce palców z papierosem, zaciągała się łapczywie, czekając na ukojenie, które na nią sprowadzi parę zaciągnięć się dymem.

— Ja na nich napiszę zażalenie. Niech nie myślą, że są bogami i że mogą odmrozić tyłek, komu im się podoba. Napiszę do radia w Warszawie. Zobaczymy, komu wtedy będzie ciepło i gdzie?

Kim jest Nora? Jest aktorką. Na drzwiach wisi wizytówka: „Nora Ebe — artystka dramatyczna”.

Mówią, że Nora nie nadaje się do współżycia. Nic podobnego, to ludzie są zbyt niemożliwi, aby z nimi żyć; takie jest zdanie Nory o ludziach.

Przez ścianę sąsiaduje z jakimiś młodymi chuliganami. Czyż można inaczej nazwać ludzi, u których już od wczesnego popołudnia rozlegają się szurania krzesłami, głośnie rozmowy, śmiechy, ryki z radia i nie kończące się kroki po schodach? Po co ktoś stale do nich chodzi? Czy to jest muzeum albo fotoplastikon? Do prywatnego domu nie powinny stale pchać się tłumy ludzi. Być może, że mają tam dom schadzek albo szulernię. Zresztą nie „być może”, na pewno tak jest. Nie do pomyślenia, aby normalni ludzie mogli znosić każdego dnia taką ilość gości. Ale dostaną po nosie. Dzisiaj nie u nich będą śmiechy i rozmowy. Dzisiaj kroki skierują się do innych drzwi. Zobaczy się, jak wygląda prawdziwe przyjęcie i prawdziwa zabawa. Nora obchodzi dzisiaj urodziny!

— Rany boskie! — aż przygryzła ustnik papierosa. — Ja tu jeszcze ciągle leżę, a tam bałagan... Jak można sobie leżeć, kiedy wszystko jest niegotowe? Śledzie moczą się jeszcze w miednicy... „I przyszedł Pan i rozmnożył śledzie...” Nic podobnego, nikt nie rozmnażał śledzi, tylko chleb i wino. Rozmnożyć wino! Ha! Przydałoby się.

Nora zarzuciła łowicki kilim na pościel i zabrała się do pracy. — Więc najpierw śledzie; nie ma co rozmyślać, tu nie brydź, ani krzyżówka, trzeba po prostu oporządzić śledzie i mieć to nareszcie z głowy. Paskudna robota. Żeby one chociaż miały inny zapach, nie taki śledziowy, potem wszystko w domu jest „zaśledzione”: miska, talerze, zlew, klamka od drzwi i ręce. Wszystko! Dawniej takie rzeczy robił Lonio. Pocziwy Lonio, świeć panie nad jego duszą...

Nora stała oparta o stół ze śledziem w ręce jak ze srebrnym sztyletem, z którego zamiast krwi spływała na podłogę posoka śledziowa.

Nawet nie spostrzegła, że parę kropel wsączyło się jej już w pantofel. Stała z tym śledziem i myślała o Loniu, swoim mężu. Przed wojną już od rana Lonio pił w takim dniu wprost z jej pantofla. Szampana! Biedny Lonio, dobrze, że nie dożył tej chwili; dzisiaj musiałby pić ruskiego szampana. To po prostu woda sodowa, a nie szampan. No i pantofle... Na Boga!

Nosiła pantofle od Kapery, z tego można było pić, a nie z tych wykrzywionych czółen, które stoją pod łóżkiem. Swoją drogą trzeba je będzie kiedyś dać do zacerowania, pół szampana by wyciekło przez tę dziurę z boku. I to są buty artystki dramatycznej. To są buty Ofelii! Desdemony! Lady Makbet! To są buty pierwszej gwiazdy? Przecież o niej pisał Boy! I jak pisał! Ma się wszystkie recenzje. Ma się wszystko czarno na białym! Jakie oni dzisiaj mają aktorki? Kto to są te wszystkie panny Zosie i Bzdosie? Czy o nich pisał Boy, że były królowymi sceny? Wchodzi taka na scenę, nie ruszy ręką ani nogą, stoi jak kołek i to się nazywa nowoczesna gra? Ha! Śmiechu warte! Co to jest ta gra nowoczesna? Która z nich potrafi tak rozrzucić ramiona w gościu rozpaczy?

Śledź poszybował w przestrzeń i lekko opadł w miskę z majonezem. Równocześnie dał się słyszeć dźwięk stłuczonego szkła. Nora stała z rozrzuconymi ramionami, a obok leżał prześliczny chiński wazon w drobniuteńkich kawałkach.

— A niech to diabli wezmą!—krzyknęła głośno Nora. — No tak... I już po wazonie... A tak go lubiłam. Nawet się już skleić nie da. To już czwarty raz, teraz zostały z niego same okruchy. Tu szkło, tu bałagan, ja nie ubrana, nic nie zrobione, a goście za drzwiami!

Zebrała skorupy na szufłę, rozejrzała się, jeszcze jeden kawałek tkwił pośród ciastek z bitą śmietaną, wyjęła go delikatnie, oblizała z niego śmietaną i wrzuciła do kubła. Stojąc przy kubie patrzyła na spustoszenie na stole. Nagle zmrużyła oczy, spostrzegła tego nikczemnego śledzia, o którym już całkiem zapomniała. — Co on tu robi w tym majonezie? — Podeszła czając się, jakby miała zamiar zaskoczyć tę bestię, nim zdąży umknąć przed nią i schować się w odmętach majonezu. Cap! Złapała go pełną garścią za ogon, mściwa i okrutna taszczyła go pod zlew i lała na niego wodę, aż śledź przybrał z powrotem swoją śledziową postać.

Wszystkie śledzie po kolei Nora wywlekała z miski, potem przecinała je wzdłuż, wyszarpywała z nich wnętrzości, nurzała w zlewie w czystej wodzie, aż pokrajane w kawałki, nie przypominając już w niczym poprzedniego kształtu, spoczęły jeden obok drugiego na szklanej tacy, specjalnie do śledzi przeznaczonej. Jeszcze tylko cebulka. Nora siekała drobno cebulę i znów przypomniał się jej Lonio — Lonio filozof, Lonio myśliciel, Lonio, który wierzył w reinkarnację duszy. „A kiedy umrę, wrócę do ciebie na przykład w pęczku cebuli...” — Więc może w tej chwili siekam na kawałki całego Lonio — pomyślała Nora — i układam go w krążkach wokół śledzia? Bzdura! W każdym razie, na wszelki wypadek śledzia nie tknę, zresztą i tak śledź mi szkodzi.

Nóż opadł z powrotem na głowę cebuli, cień Lonio oddalił się, być może, aby zamieszkać w rzodkiewce.

Nora krzątała się energicznie od stołu do zlewu, od zlewu do stołu. Mokra ślady znały wyraźnie tę drogę, gdzieniegdzie jeszcze jak pobielony słupek przy szosie tkwiła kępka majonezu.

Było już dobrze po południu, coraz mniej słońca i coraz ostrzejsze wiraje brane przez Norę: od stołu do zlewu, od zlewu do stołu. W pantoflach chlupała już woda, ale Nora nawet nie zwróciła na to uwagi, tkwiąc po uszy w temacie przyjęcia urodzinowego. — Żeby tylko Emilia mi się nie zwała — rozmyślała Nora, wycierając ścierką owoce. — Niech przyjdzie, kto chce, ale Emilii dam delikatnie do zrozumienia, że jest niepotrzebna. Ona mi działa na nerwy z tym wiecznym gadaniem o teatrze, tak jakby już o niczym innym mówić nie było można. I z tymi pretensjami do grania. Trzeba się umieć wycofać w odpowiednim czasie. Przecież ona ma już swój wiek. Zaraz... Zaraz... Ja zaczęłam grać, jak miałam siedemnaście lat, a ona już dwa lata przede mną była na scenie... Czyli Emilia ma teraz... No, w każdym razie to są zupełnie nieuzasadnione pretensje. Ja mam prawo żądać, żeby mi wreszcie dali

zagrać coś porządnego. Udowodnię Emilii, że mam prawo tego żądać. Czy Boy kiedykolwiek pisał o Emilii? Ani słowa! Kim ona była, ta prowincjonalna aktoreczka? I po co jej dzisiaj wlec się tu do mnie taki kawał drogi? Cóż ona myśli znaleźć pośród tych młodych ludzi? Swoją drogą, muszę się przyznać, że też nie przepadam za tymi smarkaczami, ale co z nimi robić? Zwałą się tu, zakrzyczą wszystkich i wszystko. Denerwuje mnie ten nowoczesny styl życia, ale na jeden dzień jakoś to wytrzymam. Oczywiście nie jestem stara i nie jest mi obce, co młode, ale ta dzisiejsza młodzież jest jednak zanadto atomowa. Są raczej mało zdolni, a bardzo pewni siebie. Człowiek powinien z pokorą podchodzić do sztuki. I te ich smaki! Wóda! To najbardziej lubią. Nie mają pojęcia o trunkach. No więc, niech mają tę swoją wódę i te kanapki. Zdrowe, proste jedzenie dla atomowej młodzieży. Och! Fantazjo szalona! Wydało się prawie całą gażę na to przyjęcie, a do końca miesiąca jeszcze dwadzieścia siedem dni! Ha! Tak się kiedyś żyło i nie myślę z tego rezygnować. Trzeba mieć gest, ot co! Żyłam zbyt na uboczu, ale niesłusznie. Jeżeli nie będziesz się ludziom pchać w oczy, zapomną, że w ogóle istniejesz. Nie mam prawa się wycofywać. Wszystko jest jeszcze przede mną. Moje pierwsze przyjęcie urodzinowe, od ilu lat?... Zdębię ci smarkacze, jak zobaczą przyjęcie u Nory. Będę pić! Jasne, że będę pić. Dlaczego nie miałabym pić z nimi? Emilii dostarczę tym samym tematu do rozmyślań przynajmniej na parę miesięcy. Gdyby była dosyć mądra, to by raczej nie przyszła. Można przecież złożyć życzenia telefonicznie. Po to ostatecznie człowiek opłaca abonament co miesiąc, żeby ktoś mógł z telefonu korzystać, niekoniecznie trzeba się tu wlec, aby mi osobiście powiedzieć, że mi się czegoś tam życzy. Już ja wiem zresztą, czego mi Emilia może życzyć. Kwiatów nie kupowałam, bo smarkacze mi tego naniosą. I tak nie ma gdzie stawiać, a jeszcze ten wazon musiał się stłuc... To pewnie na szczęście. Ba! Być może, że mnie jakieś szczęście spotka w to podwójne święto: urodzinowo-imieninowe. Lonio co prawda obchodził tylko moje urodziny, mówił, że to jest dzień, w którym zawsze dziękuję Bogu, że przyszłam na świat, aby go uszczęśliwić. Biedny Lonio...

Nora zatrzymała się na środku kuchni. Wszystko było już gotowe. Teraz tylko nakryć w pokoju stół i przenieść wszystkie potrawy. Schyliła się, aby sprawdzić, co się dzieje z jej pantoflami; były wyraźnie całe mokre. — No tak, filc przemókł, pantofle nasączone wodą jak gąbka, tylko tego trzeba, żebym dostała kataru!

Znów rozwarły się wrota szafy i w ciemności, wściekając się, że szafa idiotycznie stoi tyłem do światła, Nora grzebała w niej i wyszukiwała odpowiedni strój na dzisiejszą uroczystość. Wyleciał jeden i drugi mól, Nora nawet nie zadała sobie trudu, żeby je ścigać, nie było już na nic czasu.

Za oknem ostatnia kropla światła i mrok. Nora zapaliła wszystkie lampy, potem znów zginęła w szafie, by wyrzucić stamtąd na łóżko części garderoby. Nie mogła znaleźć pończoch, ale zakławszy mocno, już je miała. Rozłożyła na łóżku welurową suknię. Welur spływał, welur mienił się, był rubinowy. Nora obejrzała suknię z uwagą. — Trochę się sypie pod pachami — pomyślała. — No cóż, ma swoje lata. Lady Makbet grałam w tym, lat temu będzie... No i ta przeróbka... Zawsze po przeróbce już nie jest jak nowa, ale to nic, można będzie narzucić szal i tak jest dosyć chłodno. Emilia na pewno przyjdzie w koronkach. To już przesada z tymi koronkami, zwłaszcza kiedy są tak pozszywane, że nie wiadomo gdzie cera, a gdzie koronka.

Nora oblekła się w rubinowy welur. W ciemnym pokoju, pośród starych mebli rubin był mocnym akcentem.

Krwawa plama Nory miotała się znowu między pokojem a kuchnią. Znosiła na stół pomordowane kiedyś zwierzęta, teraz zgrabnie ułożone w roladki, krążki, płatki i filety.

Wszystko było gotowe. Nora rozejrzała się po pokoju, potem rubinowy kształt zwałił się w trzcinowy fotel i trzask, trzask, rozchybotały się drewniane bieguny i w blasku lamp przesuwiał się rubin w tę i w tamtą stronę, w tę i w tamtą stronę, w tę i w tamtą stronę...

— Któraż to godzina? — Nora spojrzała na zegarek. — Hm... Powinni już być... Nie prosiłam nikogo, ale wyraźnie powiedziałam, że będę dzisiaj w domu. Nie proszę, ale nie wyrzucę za drzwi, jeżeli ktoś przyjdzie. Wyraźnie powiedziałam, że bardzo mi będzie miło, jeżeli ktoś przyjdzie. Ostatecznie o ile ktoś nie jest idiotą to wie, co przez to rozumieć. Jasne, tym młodym nigdy się nie spieszy, woła szaleć po nocy. To nawet trochę chamstwo przychodzić do kogoś o tak późnej godzinie.

Ktoś otworzył bramę. Ktoś wchodził na schody. Z daleka słychać było szuranie butów, śmiech i młode głosy. Nora zerwała się, za nią został fotel, który bujał się jeszcze, kiedy ona stała pod drzwiami z uchem czujnym i wyczekującym.

Kroki minęły drzwi Nory i za chwilę zadźwięczał dzwonek obok. Nora wróciła do swojego fotela. Bujając się patrzyła w drzwi i rozmyślała ze złością: — Tam całymi dniami łążą jak z pielgrzymką. Oni na pewno mają jakąś szulernię!

Spojrzeła na budzik i na zegarek na ręce. — Żeby tylko Emilia nie przyszła pierwsza — pomyślała. — Nie lubię, jak pierwsza przychodzi baba. Jak już przyjdzie, to niech ostatecznie zostanie, ale nie musi być pierwsza... W pół do ósmej... Hm... Chyba wyraźnie powiedziałam, że to właśnie dzisiaj będę w domu i że dzisiaj są moje urodziny, bo o imieninach to każdy sam wie z kalendarza. Myślę, że umiem czytać. Dzisiaj jest wolny dzień w teatrze, więc mogą przyjść wszyscy. Och! Znam ja ich! Jak tylko jest okazja do wypicia, to jej nie ominą! Ładnie ta moja noc będzie wyglądała... Jasne, że to się przeciągnie do późnych godzin, jeżeli ich do tej pory nie ma. Ale że też Emilia tak się lubi włóczyć po nocy... W jej wieku wychodzi się wcześniej z domu, kiedy jest jeszcze dosyć widno. Później może ją ktoś odprowadzić, ale przyjść musi sama. Wątpię, żeby wydawała na taksówkę... Przy jej pensji? Nie wiem, czy jej na baraninę starczy? Swoją drogą ja powinnam mieć wyższą pensję od Emilii. Należałoby rozróżnić tę sprawę, że ja jeszcze mogę grać, podczas kiedy Emilia jest już prawie nieprzydatna. Ale liczyć na sprawiedliwość... Boże święty! Idą! Nora zerwała się z fotela, ale zanim dobiegła do drzwi, już dźwięczał dzwonek obok. Stojąc na środku pokoju powiedziała głośno:

— Milicja powinna się tym zająć! Tam musi być szulernia!

Potem z powrotem ułożyła swoje kształty w fotelu.

Rubinowa plama kołysała się coraz wolniej, coraz wolniej, aż wreszcie ostatni skrzyp drewnianych biegunów i bezruch plamy rubinu. Głowa Nory zsunęła się z oparcia fotela na ramię. Bezbronna i bezwolna głowa w złotych loczkach, głowa, z której uleciały myśli o Emilii, o zaniżonej gaży, atomowej młodzieży, szulerni, Loni w krążkach cebuli, ludzkiej niewyrozumiałości i boskiej niesprawiedliwości. Nora spała.

Zegar gdzieś w głębi miasta, na jakiejś wieży kościoła wybił godzinę dziewiątą. Budzik monotonnie tykał, monotonnie sączyło się światło lamp, rozświetlając rubin welurowej sukni.

Zadzwonił telefon. Ostry dźwięk telefonu w ciszy uspiętego wieczoru. Nora zerwała się z fotela. Zadźwięczało szkło na potrąconym ręką stole. Nora biegła do drzwi, upuszczając szal, który jej się zsunął z ramion i legł na podłodze. Otworzyła drzwi na całą szerokość i wołała radośnie w ciemność korytarza:

— No, wchodźcie! Wchodźcie! Czemu nie zapaliliście światła na schodach?

Znowu zadźwięczał telefon. Nora stała zdezorientowana między drzwiami a tym dźwiękiem telefonu. Za chwilę wiedziała już, że to telefon, że za drzwiami nikogo nie ma, że

zdrzemnęła się i że w ogóle niech to wszyscy diabli. Podeszła do telefonu.

— Halo! Słucham? Aaa, to ty, Emilio... A któraż to godzina? Dziewiąta? Nie mogłaś poczekać do dwunastej w nocy, żeby zadzwonić, wtedy jest taniej. Nie zwracaj głowy! Nie zbudziłaś mnie. Kto śpi w swoje własne urodziny? Chyba że już nie żyje, a ja jeszcze, dzięki Bogu, żyję. Nie, nie jestem wcale rozdrażniona, nie mam powodu, tylko po diabła zadajesz mi takie pytania? I w ogóle nie rozumiem, dlaczego dzwonisz, zamiast przyjść po prostu? Ach! Moja droga, co to znaczy, że nie chciałaś mi przeszkadzać? Nie! Nie przyjmuję takich życzeń przez telefon! Musisz przyjść i na tym koniec. Jaka noc? Dla ciebie dziewiąta godzina to noc? Starzejesz się, moja droga, tak, tak... Nie gadaj, tylko natychmiast ubieraj się i przychodź... No to weź taksówkę... Doprawdy, Emilio, że jesteś nieprzyjemna... No to ci zapłacę. Och! Nie obrażaj się o byle głupstwo. Oczywiście wiem, że cię stać na taksówkę, więc po co te ceregiele? Nie chcę słyszeć ani jednego słowa więcej, przychodź zaraz i na tym koniec!

Nora rzuciła słuchawkę na widelki, kopnęła szal, w który zaplątała się jej noga, potem jednak podniosła go, strzepnęła, zarzuciła z powrotem na ramiona i pofrunęła w stronę lustra, uważając, aby nie zaczepić biodrem o kant stołu.

Warstwa karminu na usta, warstwa różu na policzki, obłok pudru, prawy loczek trochę do tyłu, aby odsłonił czoło i wszystko gotowe: teraz może już przyjść Emilia.

Emilia jechała rozparta na popękanych poduszkach starego samochodu. Czowała się cudownie. Oto jedzie na przyjęcie do przyjaciółki. Jedzie samochodem jak za dawnych dobrych czasów. Cudowne jest życie. Pochyliła się do przodu i oparła stare ręce z fałszywym kamieniem na serdecznym palcu na oparciu przedniego siedzenia.

Kierowca spojrział w lusterko nad głową, zobaczył w nim głowę starej kobiety i ten tani pierścionek blisko twarzy.

Emilia wyprostowała rękę i delikatnie dotknęła kierowcy.

— Wie pan, jadę na przyjęcie do przyjaciółki. Takie tam urodziny razem z imieninami. Ale nie musi pan się śpieszyć. Broń Boże! O wypadek nie trudno. Ja tam wolę zajechać nawet z opóźnieniem, ale cało. Wyobrażam sobie, jak ona się musiała postawić! Po prostu na siłę mnie ściągnęła. Pewnie chce mnie oszołomić tym przyjęciem. Od lat nie robiła czegoś takiego. Olśnić kogoś. Ha! Ja tam nigdy nikogo nie chciałam olśnić, a mimo to cała Polska mówiła w swoim czasie o mnie. Ona, Nora, wie pan, była po prostu jedną z wielu. Takich jak Nora nikt dzisiaj nie pamięta, ale jest miła, naprawdę miła, lubię ją mimo tych jej śmieszności. O! Dziękuję panu! To już tutaj. Ile tam wybiło na zegarze? Sześć pięćdziesiąt. Mam w sam raz! Nie musi się pan trudzić z wydawaniem. Do widzenia panu i życzę panu powodzenia. Może znów kiedyś będę miała przyjemność podróżować z panem... Naprawdę było mi bardzo miło.

Wysuływała się pomału z samochodu, najpierw jedna noga, potem druga, potem głowa. Zawadziła kapeluszem, który spadł jej na oczy, zaśmiała się z wdziękiem, wsunęła się z powrotem do samochodu i poprawiła ten kapelusz, przeglądając się, przechylona do przodu, w lusterku kierowcy wreszcie powoli, uważając na kapelusz wysunęła do przodu obie nogi, potem resztę ciała, zapomniała jeszcze zabrać rękawiczki. Zaczęły się energiczne poszukiwania, kierowca milcząc tkwił na swoim miejscu, rękawiczek nigdzie nie było, wreszcie krzyknęła:

— O Boże! Dzięki ci! Znalazły się w torebce. Samochód ruszył, Emilia machała za nim odnalezionymi cudem rękawiczkami. Stała na chodniku i patrzyła za tym odjeżdżającym

samochodem, za tym luksusem, który na chwilę przeżyła, za człowiekiem, który prowadził ten samochód, z którym tak miło było podróżować.

— Nie był specjalnie rozmowny — pomyślała.

— Ale, mój Boże, może ma chorą żonę albo jakieś inne zmartwienie... Nie można żądać od ludzi zbyt wiele.

Potem Emilia weszła w mroczną sień, oświetloną maleńką żarówką i trzymając się kurczowo poręczy wdrapywała się po drewnianych schodach. — Dobrze, że Nora nie mieszka w drapaczu chmur — pomyślała. — Chyba bym się nie wybrała wtedy do niej. Boże! Co tam się musi teraz dzieć... Ciekawa jestem, kto przyszedł. Pewnie pół teatru zważyło się do tej klatki. Nora już od miesiąca chodziła napuszona i krzyczała o tych swoich urodzinach. Nawet jeżeli ktoś byłby głuchy, to ona miała te swoje urodziny wypisane na twarzy.

Nim nacisnęła dzwonek, oparła się o framugę drzwi i oddychała głośno, łapiąc z trudem powietrze. Zadzwoiła. I oto już w otwartych drzwiach witała ją Nora, szczęśliwa, roześmiana, rubinowa. — O, znam tę suknię! — zdążyła pomyśleć Emilia, zanim jeszcze odezwał się radosny krzyk Nory:

— No! Jesteś nareszcie! Wchodźże, moja droga!

Emilia trzymała w wyciągniętej dłoni doniczkę z azalią. Nora zanurzyła twarz w pachnących kwiatach i zahuczała:

— Nie! No po co to było! Ty to zawsze masz pomysły! Dziękuję ci! Cóż za prześliczny kwiat... Ale po co to było? Jesteś wzruszająca, Emilio. Taki cudowny! I tak pachnie! Stanowczo jesteś zbyt rozrzutna, Emilko.

Postawiła kwiat na stoliku i zabrała się do ściągania płaszcza z Emilii. Od razu zauważyła, że Emilia jest w tych ohydnych koronkach, tak jak zresztą przypuszczała. Objęła ją czule i wprowadziła do pokoju.

Emilia rozejrzała się zdziwiona.

— Co? Już wszyscy poszli? — zapytała. Nora zignorowała pytanie i już sadzała Emilię przy stole.

— Siadaj, Emilio! Siadajże, mówię! Cóż za cudowne koronki! Jesteś wspaniała!

Emilia speszona założyła ręce na piersi, tam gdzie koronka była najbardziej wycerowana. Spojrzała niepewnie na Norę.

— Zdawało mi się, że znasz tę suknię...? Nora zatrzymała się z wyrazem absolutnego zdumienia. Schwyciła Emilię za rękę, odchyliła ją trochę do tyłu, przymrużyła oczy, żeby lepiej widzieć i powiedziała:

— Tę? Wydaje mi się, że cię pierwszy raz w niej widzę. Chyba szylaś dopiero w tym roku, co?

Emilia spuściła oczy i siadając przy stole położyła dłonie na bieli serwety. Opanowując lekkie drżenie rąk, bawiła się pierścionkiem. Nie patrzyła na Norę, tylko na ten pierścionek kiedy powiedziała:

— Nie, skądże, nawet już trochę musiałam pocerować koronkę.

— No, no, co ty powiadasz? — zdziwiła się Nora. — W koronce tych rzeczy nigdy nie widać; wygląda jak nowa. A teraz mów, co sobie życzysz. Może kawy?

— Och! O tej porze! — krzyknęła przerażona Emilia. — Dziękuję ci. Posiedzę moment i pójdę. Chyba już jesteś zmęczona, goście to zawsze szalenie męcząca sprawa.

Nora głucha na wszystkie napomnienia o gościach rzuciła się do szampana. Stała z flaszką w wyciągniętej dłoni i krzyczała przez stół do Emilii:

— Emilio! Musisz ze mną wypić szampana! Tego mi nie możesz odmówić. Znakomity! Wiesz, mówią, że ruski szampan jest najlepszy. Pytałam w Delikatesach i ten mi właśnie polecili. No cóż, ostatecznie raz w roku obchodzi się urodziny, więc się bierze to co najlepsze. Uwaga! Nie przeraż się, jak strzeli.

I Nora wyciągnęła korek, który z hukiem wystrzelił i potoczył się po podłodze.

— Ty widzisz, jak cudownie się perli? — krzyczała Nora. — Szampan! Napój młodości! Twoje zdrowie, Emilio!

Emilia zatrzymała ją gestem dłoni.

— O nie! To twoje zdrowie! I żebyś jeszcze długo była tak urocza, jak dzisiaj! — powiedziawszy to upiła trochę z kieliszka.

Nora zmarszczyła się.

— Co masz na myśli? — zapytała podejrzliwie. Emilia spojrzała na nią zdumiona.

— Nic. Po prostu wznoszę toast. Zdaje się, że kiedyś takie właśnie toasty się wznosiło?

— Być może — odpowiedziała Nora, ponieważ jednak podejrzewała w tym toaście jakąś złośliwość, postanowiła się zemścić, spojrzała uważnie na suknię Emilii, właśnie w to miejsce, gdzie koronki były najbardziej wycerowane i z wielkim niepokojem zawołała:

— Uwważaj! Bo ci kropla kapnęła na suknię! Szkoda by było tej pięknej koronki.

Emilia znów poczuła się nieswojo, machnęła ręką i powiedziała, że to drobiazg, przy czym cały czas myślała o tym, czy aby Nora nie spostrzegła tych gęstych cer na sukni. Najlepszym wyjściem było zmienić temat, więc Emilia zapytała Nory:

— Czy tobie jeszcze nie kręci się w głowie, Noro?

Nora zachnęła się.

— Oszalałaś? Po jednym kieliszku? Zresztą nawet jeszcze nie dopiłam do końca.

— Jak to po jednym? — zdziwiła się Emilia. — Przecież chyba piliście już twoje zdrowie?

— Jakaż drażniąca jest ta Emilia! — pomyślała Nora i zaraz skarciła ją ostro:

— Nie mów tyle, moja droga, tylko bierz się do uczyty. Proszę cię, bierz na co masz ochotę, nie każ się namawiać.

Nagle podniosła dłoń do ust i przygryzła palec w zaaferowaniu.

— A wzięłaś ty krople na wątrobę, bo ja nie mam nic w domu?

Emilia wyciągnęła krople z torebki i podsunęła Norze.

— Noszę je zawsze przy sobie. Masz, Noro. Ty chyba weźmiesz od razu?

Nora spojrzała na nią, wzruszyła ramionami i wzniosła w górę oczy.

— Co też ty mówisz, Emilko? Przed jedzeniem? Cholesol bierze się zawsze po jedzeniu.

Emilia patrzyła zdumiona i nie mogła nic zrozumieć, zapytała więc:

— Jak to przed jedzeniem? Przecież chyba już jedliście?

Tego już Nora miała dosyć. Uderzyła ręką w stół, aż podskoczyły kieliszki.

— Emilko! Na miłość boską! Nie sonduj mnie jak przed operacją ślepej kiszki! Jedz! Po prostu jedz i baw się, i mówmy o czymś. Po to jest bal, aby ludzie mogli się spotkać i porozmawiać sobie. Ty tylko „jedliście, piliście?...” Co to jest za rozmowa?

Skarcona Emilia wyszeptwała: przepraszani — i zajęła się okręcaniem pierścionka na palcu. Potem podniosła oczy na Norę, uśmiechnęła się przepraszająco i zagała rozmowę.

— Cudownie ci w tej sukni! Tak samo cudownie wyglądałaś, jak grałaś w niej Lady Makbet.

— Emilko! Co ty pleciesz? — Nora znów przesłała ironiczne spojrzenie w stronę sufitu. — Kiedy to było? Po prostu lubię ten kolor i udało mi się kupić coś zupełnie podobnego. Szyłam ją nie dalej jak dwa miesiące temu.

Emilia przerażona, aby nie powiedzieć znów czegoś nieodpowiedniego, uczepliła się z radością tematu szycia.

— U kogo szylaś?

— U kogo! U kogo! No chyba że u krawcowej, a nie u szewca!

Tym razem spojrzenie Nory powędrowało już nie pod sufit, a w głąb jej własnej duszy, która rwała się na strzępy z rozdrażnienia na tę idiotkę Emilię.

Emilia za wszelką cenę postanowiła kontynuować rozmowę i to tak, aby Norze sprawić przyjemność. Nie chciała wcale powiedzieć jej czegoś przykrego, przeciwnie, chciała jej mówić miłe rzeczy, zawsze lubiła każdemu sprawiać przyjemności, a już szczególnie Norze i to w dzień jej urodzin, toteż odezwała się:

— Bardzo szykowna suknia. Tobie w ogóle świetnie jest w karminie.

— Nie przeczę — odpowiedziała Nora. — Zresztą wiesz, że ja zawsze umiałam się ubrać.

Nora wzięła butelkę szampana i znów napełniła kieliszki.

— No to jeszcze po kieliszku! Szampan nigdy nie szkodzi. Tym razem twoje zdrowie, Emilio! Wypiły i odstawiły kieliszki. Emilia trzymała palce na podstawce szkła i delikatnie uderzała paznokciem w nóżkę kieliszka.

Nora spojrzała lekko zirytowana na ten gest. Irytowało ją zawsze wszystko, co nie wynikało z konieczności, a było tylko wyłącznie odruchem. Nie powiedziała jednak nic, tylko prostując jakiś fałd serwety na stole, zapytała mimochodem:

— Nie wiesz przypadkiem, jakie nowe sztuki są w planie? Chciałabym trochę wyjechać, ale pewnie każą coś grać...

— Och! Myślę, że dla nas nic nie będzie — odpowiedziała Emilia — jak zwykle. Chyba z tym trzeba się już pogodzić.

Nora uniosła brwi, wpatrzyła się chwilę w Emilię z uwagą, potem powiedziała dumnie:

— Moja droga, mów raczej tylko za siebie. Mnie dosyć często chcieliby w tym i owym obsadzić, ale im nie wypada proponować mi jakiejś bzdury, rozumiesz? Ostatecznie grało się role! Kobyły! Tworzyło się kreacje! Nie wypada teraz komuś takiemu proponować byle „ogona”.

— Ja chętnie grałabym cokolwiek — odezwała się ze smutkiem Emilia — żeby tylko grać.

— Cokolwiek! — zachnęła się Nora. — Ja grałam Lady Makbet i Desdemonę!

— Ja też grałam Lady Makbet, Nora, i Desdemonę także.

— Grałaś? A... Być może... U Millera, w objazdowym.

— Nie tylko, nie tylko... Pamiętasz, jak o mnie pisał...

— Emilio, nie rozczulaj się nad przeszłością i w ogóle przestańmy mówić o teatrze. Chcesz karpia w galarecie? — i Nora podsunęła Emilii karpia.

— Nie, bo zimny — powiedziała i delikatnie palcem odepchnęła półmisek.

— Przecież nie będę ci podgrzewać karpia w galarecie — oburzyła się Nora.

— Oczywiście że nie — zgodziła się Emilia — tylko po prostu nie chciałabym go jeść, bo zimny.

Zostawiono temat karpia w galarecie. Nora zapatrzyła się w okno przed sobą.

— Więc mówisz, że nie ma jeszcze obsady nowych sztuk. Hm... No, ostatecznie mogłabym zagrać nawet coś mniejszego, byle to było coś. Coś do grania, rozumiesz, Emilio? A nie stać jak kolek na scenie.

Temat sceny i grania był dosyć niebezpieczny, ponieważ jednak Nora go zaczęła, można go było kontynuować, wobec tego Emilia zapytała:

— Czy... Czy ty odrzuciłaś już kiedyś jakąś rolę, taką małą?

— Nie, skądże znowu! Znam, co to dyscyplina. Gdybym dostała jakieś takie małe świństwo do grania, to bym grała. Czy ty myślisz, że w małej roli człowiek nie może się pokazać, że jest aktorem z krwi i kości?

— Bo mówiłaś, że oni by ci chcieli coś takiego dać...

— A skąd ja mogę wiedzieć, czyby nie chcieli? Czy ja siedzę w czyichś myślach? Naprawdę jesteś zabawna... Na pewno by chcieli, ale im nie wypada.

— A ja myślę, że po prostu nie jesteśmy już potrzebne nikomu.

— Emilio! Na Boga! Skończ z tą ohydną manią mówienia w moim imieniu! Jeżeli ty uważasz, że jesteś już nikomu niepotrzebna, to twoja sprawa, ale nie mów za mnie. Dlaczego ja miałabym być niepotrzebna? Dlaczego? Ty wiesz, co o mnie pisał Boy? Czy mam ci tutaj dać wszystkie jego krytyki do przejrzania?

— Ależ nie, czytałam je wszystkie więcej niż dwadzieścia razy.

— No więc o czym ty mówisz? Ja jeszcze teraz mogłabym zagrać Lady Makbet! Jeszcze teraz! Słyszysz?

— Słyszę Noro, ale nie powinnaś się tak podniecać, to ci może zaszkodzić.

— Ja bym tych wszystkich pętałów zapędziła w kozi róg! — krzyczała Nora. — Pamiętasz mnie w „Dziewczynie z dzbanem” Lope de Vegi?

Nora zerwała się, stanęła na środku pokoju, podała ciało do przodu, a głowę odrzuciła lekko w tył i zaczęła recytować tekst:

Zdawało się, że dosyć nieszczęść,
a miłość trzeba przeżyć jeszcze —
daremna, beznadziejna miłość,
jak by za mało smutków było.
Przy ciężkiej pracy ginę cała,
w ubóstwo losy mnie wpędziły.
Nie, kochać jego nie mam siły,
bo go już inna pokochała!
Rywalizować — nie ma mowy.
Biedna służąca, w takich szatach,
a ona w złocie i w szkarłatach,
nieziemski anioł kryształowy.
Trzeba zapomnieć wszystkie straty,
jestem już Marią ze wspomnienia.
„Ode mnie się nauczcie, kwiaty —
szybko przemija czas kwitnienia...”

Cisza. Emilia siedziała przy stole z dłonią na tanim pierścionku i szeroko rozwarła oczy, które były dziwnie szkliste. Tracona łokciem torebka spadła na podłogę. Emilia pochyliła się szybko i długo jej szukała, wreszcie położyła ją z powrotem na stole, unikając wzroku Nory, która przyglądała się jej z uwagą.

— Czemu płaczesz, Emilio? — zapytała Nora.

— Och, nic — odpowiedziała speszona Emilia.

— Po prostu ładnie to powiedziałaś. Naprawdę, bardzo pięknie mówisz wiersz.

— Dziękuję ci, moja droga. — Nora nie kryła zadowolenia. — Rzeczywiście, mam jakieś takie pojęcie o wierszu. Może zjesz kanapkę, co? A może ciastko? Zupełnie świeże, z bita

śmietaną. Polecam, Emilio! Specjalnie zaznaczyłam, żeby były dzisiejsze, nie ma nic gorszego, jak stara śmietana.

— Dziękuję ci, ja naprawdę wpadłam tylko na chwilę, jesteś dostatecznie zmęczona, myślę, że lepiej będzie, jak sobie pójdę, a ty odpocznesz trochę.

Nora podeszła do Emilii i siłą przytrzymała ją w krześle. Mówiła prędko i apodyktycznie:

— W ogóle mowy nie ma, abys wychodziła! Rozumiesz? Ja jestem w stanie znieść dziesięć takich przyjęć. Zostajesz i już!

Potem tłumaczyła pojednawczo:

— Jeżeli nie masz ochoty nic jeść, to nie musisz, przecież cię nie zmuszam. Możesz nawet bez ceregieli zdrzemnąć się w fotelu. Ostatecznie masz prawo czuć się zmęczona. — I nagle zaczęła się śmiać. — Emilko! Pamiętam, jak kiedyś na bankiecie w ambasadzie zasnął po prostu na środku sali, w objęciach tego majora z wąsami. Och! To było zabawne...! Chodź, Emilko. Siadaj tu na bujaku, to jest najwygodniejszy fotel. Ja sobie usiądę przy tobie. Siadajże, moja droga!

I Nora pociągnęła za sobą Emilkę i posadziła ją w tym fotelu, sama zajęła miejsce obok na starym pufie. Zajrzała w oczy Emilii i spytała przekornie:

— Co to było z tym majorem, powiedz mi. On się potem, zdaje się, zastrzelił z miłości do ciebie, czy coś takiego? Pamiętam, miałaś cytrynową suknię obszywaną margerytkami. Bardzo ci było w niej do twarzy... Bardzo. To chyba w jakiś rok później on się zastrzelił? Właściwie dlaczego go nie chciałaś? Był szalenie przystojny i naprawdę cudowny miał wąs.

Spojrzała na Emilię, która patrzyła na nią wystraszona. Po chwili krzyknęła jakby w nagłym olśnieniu:

— Ach! Nie! Co ja mówię, przecież on się z tobą ożenił, a zastrzelił się dla Aśki, tej z operetki... Zapomniałam, tak krótko byliście małżeństwem... Potem zresztą zaraz wyszłaś za Adama. Mój Boże! Adam był przyjacielem Lonia i właściwie stąd się nasza przyjaźń zaczęła, przedtem raczej cię nie lubiłam. Nie gniewaj się, ostatecznie dzisiaj już mogę ci to powiedzieć... Podbierałaś mi zawsze rolę. Lady Makbet w końcu ja grałam, ale wiesz, jak to było... Ty zaczęłaś próbować, zupełnie bez sensu, wiadomo przecież było, że to dla mnie rola. Ty zawsze chciałaś wszystko grać, tak samo, jak i teraz. Ty byś grała nawet ogórki w occie albo grzebień, gdyby ci tylko dali. Trzeba mieć ambicję, rozumiesz? Wszystko co człowiek ma w sobie wartościowego, to ambicja. Nie można dać się zepchnąć na margines. Nie można sobie pozwolić na granie ogórków w occie, jeżeli się kiedyś grało Ofelię. Nie można!

Nora spojrzała na Emilię. Emilia spała, wydając cichutkie pyknięcia lekko rozchylonymi ustami. Nora, chociaż wiedziała, że Emilia śpi, zadała niepotrzebne pytanie:

— Ty śpisz, Emilko? Starzejesz się, moja droga. Śpij sobie, śpij. Nawet tak wolę, bo mogę do ciebie mówić i nie widzieć w twoich oczach „duszy, która ulatuje i serca, które pęka”. I mogę ci bez obawy powiedzieć...

Nora pochyliła się nad Emilią, aby dokładnie sprawdzić, czy ten sen nie jest kłamstwem, potem obejrzała się ostrożnie; choć przecież nikogo tu nie było, to jednak musiała jeszcze raz się o tym przekonać, żeby móc powiedzieć to, co chciała. Przysłoniła dłonią usta, bojąc się nawet własnego głosu i cicho wyszeptwała:

— Emilio, mogę ci teraz bez obawy powiedzieć, że... Że ja też zagrałabym chętnie ogórki w occie albo grzebień, gdyby mi tylko dali zagrać.

Schowała twarz w dłoniach, na które zsunęły się złote loczki. Przez rozchylone palce wydobywały się słowa:

— Niepotrzebne nikomu stare aktorki. Stare kobiety. Stare łachy. Oni nad nami zamknęli

już wieko trumny i możesz długo stukać w dębowe ściany, nikt cię nie usłyszy albo będzie z nabożnym skupieniem wsłuchiwał się w ten głos zza świata i dziwił się, ile to żywotności ma jeszcze ten nieboszczyk, że mówi. Nie! Nie zgadzam się, Emilio, żeby mnie zamknięto do trumny. Rozumiesz?!

Nagle wrzasnęła ile sił:

— Ja się na to nie zgadzam!!!

Emilia otworzyła szeroko oczy, wielkie i przerażone, i schwyciła się za serce. Patrzyły przez chwilę na siebie, wreszcie Emilia zdołała wyjąkać:

— Jezus Maria! Co się stało? Na co się nie zgadzasz?

Nora opanowała się już. Przez moment się zastanawiała, czy Emila mogła domyśleć się, o co chodzi, doszła jednak do wniosku, iż Emilia nie słyszała chyba nic prócz jej ostatnich słów, przybrała więc znów swój zły i pogardliwy wyraz twarzy i powiedziała:

— Na co? Żebyś spała! Nie zgadzam się, żebyś spała, teraz kiedy jest przyjęcie. Rusz się! Bawimy się! Kiedyś przecież byłaś niezłym biesiadnikiem!

Emilia obawiała się najgorszego: ta wariatka rzeczywiście gotowa zacząć się bawić i szaleć.

To do niej podobne. I jeszcze gotowa kazać jej pić. Postanowiła za wszelką cenę nie dopuścić do tego. Niech nawet Nora obrazi się na nią, ale ona pić nie będzie i w ogóle dosyć już tego. Noc się zbliża, a ona jeszcze tutaj. Wstała więc energicznie i powiedziała stanowczo:

— Daruj, Noro, ale ja już nie umiem i nie lubię się bawić. Ty gotowa byś dzisiaj nawet jeździć na nartach. Tak, Noro, ty jesteś po prostu niezwykła, a ja jestem już stara. Ja zaczynam już „odchodzić”, Noro. Tak, tak, to smutne, ale tobie życzę wszystkiego dobrego. Żyj! Żyj jak najdłużej i jak najmocniej! To był uroczy wieczór... Dziękuję ci. Długo będę go pamiętała. Cudownie ci w tej rubinowej sukni. Kiedy tak stoisz w blasku lampy, ciągle jeszcze wyglądasz jak Lady Makbet. Ile to lat minęło od tej pory... No, bądź zdrowa, Noro. Było naprawdę uroczo.

— Coraz większy chłód — stwierdziła Nora. — Jutro zadzwonię do administracji i powiem im, co o tym myślę. — Poczowała się nagle zziębnięta i zmęczona. — Właściwie czas skończyć to wszystko — pomyślała — dobrze, że Emilia się już wybiera.

Ujęła ją więc za ramiona i powiedziała:

— Poczekaj, zadzwonię na postój taksówek. I pamiętaj, nie mnie nie obchodzi, ja płacę! Nie ma mowy! Płacę przynajmniej w jedną stronę.

Emilia próbowała protestować:

— Moja droga, już i tak się wykosztowałaś na to przyjęcie... Nora zahuczała potężnym śmiechem.

— Ależ co ty mówisz? Czy myślisz, że jedno małe przyjęcie jest w stanie zrujnować mój budżet? To by dopiero była komedia...

Podeszła do telefonu, zajrzała do kartki na ścianie, przesuując po niej palcem i powtarzając na głos cyfry nakręciła numer postoju, potem ryczała głośno w słuchawkę:

— Halo! Postój taksówek? Proszę przyjechać na ulicę Lenartowicza numer dziesięć. A jaki pan ma numer? Trzyście? Nie, trzydzieści! Chwała Bogu! Nic, nic, w porządku!

Odłożyła słuchawkę i podeszła do Emilii.

— Możesz już pomału schodzić, on zaraz będzie. Tymczasem wyłóż na taksówkę, a ja ci jutro zwrócę.

Emilia spojrzała przerażona na Norę, potem na swoje ręce i na pierścionek; delikatnie zaczęła go okręcać na palcu.

Nora przyjrzała jej się z uwagą.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że nie masz przy sobie pieniędzy? Emilia ledwo dostłyszalnie wybąkała:

— Rzeczywiście, chyba nie mam, nie wzięłam ze sobą. Wiesz, jak jest? Taki taksówkarz może człowieka okraść, zresztą nie mówię, żeby ktoś to robił, ale zawsze można zgubić czy coś takiego... Okropnie mi przykro.

Nora lekceważąco machnęła ręką.

— Ach! Drobiazg! Nie ma o czym mówić. Żebym tylko miała drobne — powiedziała przetrząsając przedmioty w serwantce. — Wiesz, nie lubię trzymać drobiazgu, bo to człowiek gdzieś zawsze zawieruszy, a grubszą gotówkę się trzyma w jednym miejscu i jest spokój. Zaraz, zaraz... Gdzieś tu w talerzyku powinno coś być. O! Jest... Cztery dwadzieścia... Jeszcze siedemdziesiąt groszy, to jest cztery dziewięćdziesiąt... Ty chyba masz jakieś parę groszy? — zwróciła się groźnie do Emilii.

Emilia zanurzyła obie dłonie w kieszeniach płaszcza.

— Mam! Mam złoty pięćdziesiąt? Żebyś jeszcze gdzieś znalazła dziesięć groszy... Kurs kosztuje sześć pięćdziesiąt.

Nora stawiała się coraz bardziej groźna.

— Gdzie mam szukać? Przecież ja nie rozsypuję pieniędzy po całym domu! Nie ma dziesięciu groszy! Nic się nie stanie, jak mu się nie dopłaci tych dziesięciu groszy.

— Myślę, że nic — powiedziała szybko Emilia. — Och! Lecę już, żeby on na mnie nie czekał. Pa! Całuję cię! Naprawdę, było cudownie!

I Emilia wybiegła, odwracając się jeszcze dwa razy i jeszcze ze schodów przesyłając pocałunki.

Kiedy ucichły jej kroki, Nora zamknęła drzwi, stanęła na środku pokoju i zmęczonym ruchem zaczęła rozpinać suknię. Haftka zaczęła się o materiał, próbowała ją wysunąć, ale haftka tkwiła w materiale. Chwilę poruszała ją delikatnie, a potem nagłym ruchem i z całą energią szarpnęła. Materiał rozdarł się zygzakami. Teraz Nora darła go już do końca i bez opamiętania. Potem zebrała kupę rubinowych łachów i rzuciła w kąt szafy.

— I tak na nic się już nigdy nie przyda — powiedziała i zwała się w koronki pościeli.

Kiedy Emilia wyszła, przed dom nadjechał właśnie samochód. Sprawdziła numer, zgadzał się. — O! To znowu pan! Jak miło! — ucieszyła się poznawszy kierowcę, który ją przywiózł do Nory. — Już wracam z tego przyjęcia — szczebiotała. — Wie pan, od przyjaciółki. Zasiałam się trochę, ale było cudownie. Mnóstwo młodzieży, tańce, doskonały szampan. Panu się to może wydawać dziwne, że młodzież bawiła się z nami, ale nie można było odmówić... Oni nas po prostu uwielbiają. My jesteśmy dla nich śladem minionej, wspaniałej przeszłości teatralnej, bo ja jestem aktorką, zapomniałam panu powiedzieć, i moja przyjaciółka także. Oni, ci młodzi, teraz zaczynają, jak my kiedyś i tak samo, jak my teraz, oni znów kiedyś będą starzy... Normalna sprawa. Teatr jest miejscem zawsze tym samym, po prostu tylko zmieniają się ludzie, którzy grają zawsze te same role. Cudownie było! Naprawdę! Moja przyjaciółka była w pięknej rubinowej sukni, zupełnie nowej na tę okazję. Recytowała fragment swojej roli...

Trzeba zapomnieć wszystkie straty,

Jestem już Marią ze wspomnienia.

„Ode mnie się nauczcie, kwiaty —

szybko przemija czas kwitnienia...”

Nagle spojrzała na licznik i przeraziła się:

— Och! Co to? Już wybiło sześć pięćdziesiąt? A, prawda, bo pan po mnie przyjechał z postojem. No to ja sobie wysiadę. Wie pan, człowiek czasem chce się przejść po balu. Dziękuję panu. Proszę, oto należność. Och! Zdaje się, że zgubiłam gdzieś dziesięć groszy! Strasznie mi przykro... Piłam szampana... Człowiek jest taki roztargniony po tym szampanie. Dziękuję i życzę powodzenia. Może znów kiedyś będę miała przyjemność podróżować z panem...

Wysiadła z samochodu, ale już nie machała rękawiczkami za oddalającym się samochodem, wydawało się jej, że po tej historii z dziesięcioma groszami nie wypada, może on był niezadowolony... w takim razie jednak lepiej było pomachać... Nim się zdecydowała na cokolwiek, samochód już zniknął na zakręcie ulicy. Została sama. Noc. Światła latarni. Połyskujący asfalt. Pustka.

Na tej ulicy była tylko Emilia i tylko słychać było stukot jej obcasów, wszystko inne było ciszą.

„Jaka cudowna noc...” „Jaka cudowna noc...”

— Emilia zaczęła sobie przypominać fragment jakiejś roli: „Zdaje mi się, że końcami palców dotykam środka nocy...” — Z czego to jest? — pomyślała Emilia. — Nie mogę sobie przypomnieć.

Obcasy stuknęły na bruku. Emilia oddychała pomału i głęboko, wdychała noc i myślała: — Nasze życie zbliża się do środka nocy. Biedna Noro, gdybym ci mogła to wyjaśnić... Gdybyś mnie chciała posłuchać... Nie tylko wschody słońca są piękne. Noc ma w sobie mądrość całego minionego dnia. Noc także jest piękna, wierz mi, Noro, tylko nie trzeba krzykiem zagłuszać ciszy nocy... Nie wolno. Taki już jest ustalony porządek świata. Krzyku ptaków można słuchać tylko o brzasku... Wszystko ma swoją porę. Wszystko. Nie straciłyśmy życia, Noro, po prostu doszłyśmy do środka nocy i trzeba zachować ciszę...

Na godzinę przed przyjściem ptaków

Joanna B. jest aktorką pierwszej kategorii w teatrze drugiej kategorii.

Jest godzina ósma rano. Joanna B. wychodzi z domu. Jest zaspana i kwaśna. O dziesiątej ma próbę, ale najpierw musi zmierzyć kostiumy. Idzie krokiem ociężałym, przygarbiona i wściekła.

Jakiś młody mężczyzna z dziewczyną przyglądają się jej z boku. Joanna natychmiast prostuje się, przypomniawszy sobie, że idzie całkiem garbata, zmusza nogi do lekkiego kroku, unosi głowę tak, aby rondo kapelusza nie zasłaniało jej oczu, likwiduje jeszcze ściągnięcie brwi, które robi jej twarz złą i nieprzyjemną, idzie teraz lekko, z wdziękiem i z prostymi plecami. — Jesień. Już jest jesień, do licha — rozmyśla Joanna — jestem o jedną jesień starsza.

Joanna mierzy swoje lata jesieniami. Zima to oczekiwanie wiosny, wiosna wybucha tak po wariacku, taka jest zakwiecona, zielona; wiosna jest... Po prostu to nie jest pora do rozmyślań, a lato, no to lato: krótkie noce i dzień zaczyna się już przed trzecią rano; długi dzień, olbrzymie życie. Jesień nie jest dobra. Już prawie od południa zaczyna straszyć jesienny wieczór i jaki on jest nieznośnie długi, a potem noc... Noc, kiedy nie można się doczekać rana.

Joanna stoi w pracowni krawieckiej i przegląda się w trzech lustrach. Trzy lustra pokazują,

w którym miejscu trzeba kostium poprawić, gdzie podciąć, żeby coś pokazać, a coś zamaskować. — Ta jesień przysporzyła mi nowych mankamentów: łopatki sterczą bardziej niż dawniej — myśli Joanna — i z karkiem jest niedobrze. Co się, do licha, robi z tym karkiem? Gdyby posadzić na nim konopie, rosłyby sobie bliżej słońca, ale mnie nie jest potrzebny taki wystający kark... Jeżeli nie będę na nim sadzić konopi. Ach...!

— Co tak ciężko? — zapytuje krawcowa. — Czemu pani wzdycha? Coś nie podoba się W sukni?

— Ach, nie, wszystko jest w porządku. Wzdycham, bo tak wcześnie rano musiałam wstać. Pani wie, jak ja nie lubię tego rannego wstawania...

— Widzi pani, jak ślicznie? Może pokażemy trochę karczek, co?

— Nie. Myślę właśnie, żeby go nie pokazywać. Taki goły kark głupio wygląda.

— Dlaczego? Tak jest bardzo ładnie. Niech pani zobaczy. Podetnie się trochę i będzie bardzo ładnie.

— Owszem, ale ja osobiście wolę, jak kark jest zakryty. Nie lubię takich gołych karków.

— A co pan o tym myśli, panie Danielu? — zwraca się krawcowa do scenografa.

Daniel siedzi w skrzyni z odpadkami materiałów. Teraz, kiedy zwracają się do niego, odchyła się trochę do tyłu, przytrzymuje okulary dwoma rękami i przygląda się z uwagą sukni.

— Proszę wyciąć jeszcze jakieś dziesięć centymetrów. Teraz widzę, że tak będzie lepiej... To będzie dobre przedłużenie szyi.

— Nie chcę, żeby mi coś przedłużać. Czy mam szyję jak ścięty pień drzewa, żeby mi ją przedłużać?

— Masz cudowną szyję, Jo. Najładniejszą szyję, jaką widziałem w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, dlatego wytniemy jeszcze dziesięć centymetrów.

— Jesteś wstrętnym blagierem. — Joanna uśmiecha się do Daniela. Bo chociaż nie wierzy jego słowom, uważa, że należy mu się nagroda za to, że umiał się ładnie znaleźć.

— Tnijcie nawet do końca pleców! I tak zawsze postawicie na swoim, tylko po co mnie pytać o zdanie?

Ciach, ciach, ciach, nożyczki suną po zielonym jedwabiu.

Joanna przeglądała się w trzech lustrach. — A jednak lepiej było nie obnażać tego karku. Co tu ukrywać, on jest tłusty.

Przymiarka kostiumów skończona.

— Czy mam wyjść? — pyta Daniel, ponieważ Joanna zaczyna się rozbierać.

— Ach nie! Dopiero za dziesięć lat! Jeszcze teraz mogę się rozbierać przy mężczyźnie.

Daniel jednak odwraca się w skrzyni, kładzie się w niej jak w małej łodzi, wystają mu tylko ręce i nogi, leży tak sobie w tej niewygodnej pozycji i myśli o Joannie.

Jakaż ona była świetna jeszcze parę lat temu. Podobała mu się wtedy bardzo, ale nie miał nigdy odwagi zbliżyć się do niej, bo taka była świetna. Teraz Joanna ma odwagę się rozbierać, mimo że nie ma już dawnej Joanny. Dawna Joanna nie chciała się nigdy rozbierać przy nim.

Joanna stoi w bieliźnie i w kapeluszu. Zawsze najpierw wkłada kapelusz, a potem resztę, chyba że suknię trzeba wkładać przez głowę.

Krawcowe pękają ze śmiechu, tak zabawnie wygląda.

— Pani to zawsze musi nas rozbawić — mówi jedna z nich, a Joanna robi szelmowskie oko.

— Chcę podniecić tego „dziadka do orzechów”! Kobieta w bieliźnie i kapeluszu to istna

perwersja. Ale proszę spojrzeć na niego: siedzi w skrzyni i pali fajkę! Ma tu obok kobietę wulkan, kobietę szaleństwo, kobietę rozebraną, a on sobie spokojnie pali fajkę i siedzi w skrzyni ze szmatami. Starzejesz się, Danielu, to potworne!

Krawcowe już prawie płaczą ze śmiechu.

— Boże! Jakie to zabawne...

Joanna całkowicie ubrana pochyła się nad Danielem i szeptem mu w ucho, tak żeby nikt nie słyszał:

— Masz rację, mój drogi. Nie warto patrzeć. Ja już mam dwieście lat.

Potem wychodzi śmiejąc się hałaśliwie.

Krawcowe błagają, żeby powiedziała, co szepnęła w ucho Danielowi, ale Joanna mówi, że nie może, że to coś bardzo nieprzyzwoitego, więc chociaż nie zaspokajają swojej ciekawości, jednak piszczą ucieszone, bo znając Joannę, musiało to być coś bardzo... bardzo...

Joanna macha im jeszcze na pożegnanie parasolką i torebką.

Z pracowni krawieckiej idzie się najpierw przez mroczny korytarz, potem dopiero jest hall, w którym wiszą różne tablice z ogłoszeniami, znów korytarz i dopiero brama wyjściowa.

Joanna zatrzymuje się w hallu; nie ma żadnych nowych ogłoszeń, tylko to stare, w którym zabrania się zmieniania koloru włosów bez porozumienia z dyrekcją.

Ktoś zatrzymuje się za plecami Joanny i obejmuje ją. Ryży. Ktoś go w ten sposób kiedyś nazwał i tak już zostało.

Ryży obejmuje Joannę, on zawsze lubi być w pobliżu kobiety. Całuje ją w ucho, w szyję i w policzek. Chociaż to nic nie znaczy dla niego ani dla Joanny, to jednak całuje ją, a Joanna stojąc ciągle tyłem, obejmuje go ramionami.

— Co tu robisz? — pyta głupio Ryży.

— Czekałam na zbiory śliwek.

— Nie wiem, czy obrodziły w tym roku.

— Och tak, Roman mi mówił, że obrodziły.

— Nie wspominaj mi tego imienia!

— Czemu?

— Zabiję go! Zabrał mi najpiękniejszą dziewczynę!

— Ba. On nie chce jej zabrać. Czy uwierzysz? Nie chce.

— Jo, nie mów takich rzeczy. Pokaż mi takiego, który by ciebie nie chciał, a zobaczysz, co z nim zrobię!

— Kocham cię, Ryży — mówi Joanna. — Jesteś litościwy dla mnie. Dobry i litościwy. Gdybym umiała robić na drutach, zrobiłabym ci z wdzięczności piękny dzierzgany sweterek. Czy mógłbyś zawsze rano do mnie zadzwonić, żeby mi powiedzieć, że jestem najpiękniejszą dziewczyną? Tak chciałabym zawsze zaczynać każdy dzień.

— Po co mam ci to mówić? Przecież tak jest!

— Dobrze, dobrze, kotku. I tak nie umiem robić na drutach. A teraz kłaniam się i pędzę. Muszę jeszcze przed próbą wstąpić do Delikatesów.

Za chwilę Joanna popycha ciężkie drzwi Delikatesów. Trochę to jest niewygodne, bo ręce ma zajęte, a drzwi są naprawdę ciężkie.

Jakiś uprzejmy starszy pan, patrząc na nią z wnętrza sklepu, opuszcza kolejkę w dziale garmazeryjnym i śpieszy otworzyć przed nią te ciężkie drzwi.

— Och! Ogromnie panu dziękuję!

— Ależ drobiazg! Nigdy bym na to nie pozwolił, aby nasza wspaniała artystka tak się męczyła.

Joanna uśmiecha się. Ten uśmiech mówi wszystko, a w każdym razie starszy pan już wie, że jest najelegantszym człowiekiem i bodajże najmiłszym, jakiego ona dzisiaj spotkała. Wraca więc z powrotem do swojej kolejki przy dziale garmazeryjnym bardzo rad z siebie mówi do stojącej obok kobiety:

— Przemiała jest ta Joanna B. I taka naturalna... Nie ma w niej nic z manier wielkiej artystki.

Kobieta patrzy na niego zmęczonym, nic nie rozumiejącym wzrokiem, lecz nie chcąc być niegrzeczną podtrzymuje rozmowę:

— Czy nie wie pan, ile tam jeszcze jest tej smażonej wątróbki? Może dla nas nie starczy?

Stary pan mruży oczy i odpowiada lodowatym tonem:

— Nie wiem, proszę pani. Ja nie stoję po Wątróbkę.

Postanawia, że już nigdy nie będzie się odzywał do nieznanym osób. Czuje, że humor ma zepsuty na cały dzień. Wpada w rozdrażnienie z powodu tego tłumu ludzi, tego ciągłego dopytywania się o mrożone nerki, tak jakby już nic innego nie można było jeść, tylko nerki. Do tego zauważa, że jedna z ekspedientek ma lekkiego zęza. Nie wiadomo dlaczego to go rozłoszcza ostatecznie. Nie chce być przez nią obsłużony, za nic na świecie. Ale właśnie, kiedy dobrnął do lady, kiedy przyszła na niego kolej, ta z zezem podchodzi i pyta, czym może służyć. Jest tak wściekły, że w bardzo opryskliwy sposób żąda śledzia w oliwie, ale żeby nie było dużo cebuli. Ekspedientka odpowiada, że nie może sprzedawać śledzia bez cebuli i da tyle, ile się należy do każdej porcji.

Tego jest mu już za wiele. Wywrzaskując, że on nie będzie tolerował nieuprzejmej obsługi i będzie wiedział, gdzie się w tej sprawie zwrócić, wściekły wybiega ze sklepu nie kupiwszy tego śledzia.

Joanna stoi w środku sklepu i rozgląda się po stoiskach.

Mężczyźni przy stoisku z koniakiem i kawą odwracają się. Oparci plecami o barek patrzą na nią pijąc kawę lub sącząc powoli koniak. Dwaj szepcząc nachylają się do siebie. Joanna wie, że robią jakąś nieprzyzwoitą uwagę pod jej adresem, ale nie peszy jej to wcale ani nie oburza: zawsze, kiedy jest kilku mężczyzn razem i zjawi się kobieta wyglądająca trochę inaczej niż inne, mężczyźni będą robić nieprzyzwoite uwagi.

Na jeden moment w dziale nabiału przestano obsługiwać klientów. Ekspedientki porozumiewają się szybko na temat kapelusza Joanny, potem na uwagę kogoś z klientów: — Czy się tu dzisiaj obsługuje, czy nie — zajmują się dalej krajaniem żółtego sera i ważeniem twarożku, i teraz, wydając już pieniądze, rzucają krótkie spojrzenia na Joannę.

Joanna szczerze obdarza swoim widokiem pozostałe stoiska, przesuwając nosem po szklanej gablocie z warzywami, przechyla lekko głowę, przyglądając się przywiedłym rzodkiewkom, szeroko rozwartymi oczami wpatruje się w nachmurzoną ekspedientkę, uśmiecha się. Wreszcie nie kupując nic i nic nie mówiąc skierowuje się do działu słodczy.

— Proszę o dziesięć dekagramów galaretek owocowych — mówi to swoim głębokim, zmysłowym głosem. Gdyby słowa były mówione nie w jej ojczystym języku, ktoś słuchając, a nie znając tego języka, mógłby pomyśleć, że ona mówi: „Proszę przynieść mi głowę świętego Jana...”

Zamawiając galaretki Joanna patrzy z uwagą w oczy ekspedientki. Od pewnego czasu zaczęła pracować nad sztuką patrzenia, której nauczył ją kiedyś jeden z wielkich artystów; rozmawiając z drugim człowiekiem, trzeba z uwagą patrzeć w jego oczy. Wtedy uzyskuje się opinię człowieka interesującego, myślącego, niezwykłego, dziwnego. Rozmówca zetknawszy się z ogromem naszego patrzenia jest zafascynowany, trochę przerażony, bo nigdy nie wiadomo, co się kryje na dnie tego spojrzenia.

Ekspedientka sparaliżowana tym wielkim spojrzeniem nie jest pewna, czy chodzi o galaretki te w kształcie półksiężyców, czy też z bloku.

Joanna uśmiecha się patrząc głęboko w oczy ekspedientki, robi małą pauzę, a potem delikatnie wskazuje na półksiężycy.

Młoda praktykantka stoi z rozchylonymi ustami, zahipnotyzowana tym spojrzeniem, tym ruchem palca.

Joanna wychodząc ze sklepu, zatrzymuje się z ręką na kłamce i uśmiecha się do praktykantki, która ciągle stoi z rozchylonymi ustami i patrzy w kierunku Joanny, nawet wtedy kiedy Joanna już zupełnie nie widać. Przymotnieje usłyszawszy słowa ekspedientki:

— Zosiu, proszę przynieść karton krówek z magazynu!

Kiedy Zosia wychodzi po krówki, ekspedientka z działu cukierniczego mówi dosyć głośno do tej z warzywnego:

— Widziałaś, Stacha? To była Joanna B. Cóż za czupiradło!

Jesienne słońce. Ulica w jesiennym słońcu. Ludzie i Joanna.

— Dzień dobry, pani Joanno — zatrzymuje ją głos znajomej młodej lekarki.

— Ach! Dzień dobry! Jak to miło panią spotkać.

— Śpieszy się pani bardzo?

— Nie, nie bardzo. Mam jeszcze czterdzieści minut czasu.

— To może napiłybyśmy się kawy?

— Z przyjemnością.

Niedaleko jest kawiarnia z tarasem, więc siadają tam i zamawiają kawę. Jest jeszcze ciepło i można siedzieć na tarasie.

Joanna przygląda się lekarce i myśli: — Jakaż ona jest cudownie młoda...

Lekarka trochę nieporadnie zwierza się Joannie, że tak bardzo lubi ją spotykać, rozmawiać i przebywać z nią, bo to jest tak jak dotknięcie czegoś interesującego, niezwykłego...

— Pani życie jest bardzo interesujące, prawda? — mówi lekarka. — Wy, aktorzy jesteście inni od wszystkich. Nie wiem, na czym to polega, ale tak jest. Jesteście inni i my czujemy tę inność, i to nas pociąga. Wy nas pociągacie.

Joanna pali papierosa i uśmiecha się, ale nie patrzy na lekarkę, patrzy w głąb ulicy. Wydaje jej się, że widzi Romana.

— Jeżeli to Roman, to musi tędy przejść — myśli Joanna i natychmiast czuje przyspieszone bicie serca. Zawsze ją to wyprowadza z równowagi, to bicie serca, przecież to wyraźny objaw chorobowy.

— Nie, my nie jesteśmy wcale inni — zwraca się do lekarki. — My może jesteśmy trochę mniej zakłamanii. Mamy pewną gotowość w objawianiu uczuć, może dlatego, że tego się wymaga w naszym zawodzie, że to nam jest potrzebne.

— No właśnie. Na przykład w tej chwili. Patrzę na panią i widzę, że pani jest samą radością, radością pochłaniania jesiennego słońca, pani jest cudownym, egzotycznym kwiatem chwili, która teraz trwa.

— Boże! Jak obrzydliwie egzaltowana i męcząca jest ta dziewczyna — myśli Joanna i równocześnie obdarza lekarkę uśmiechem pełnym wdzięczności. Nie przestaje się uśmiechać nawet wtedy, kiedy Roman podchodzi całkiem blisko i kłania się, zatrzymując wzrok na lekarce trochę dłużej niż trzeba. — Przeszedł. To cholerne serce wariuje. Przeszedł wgapiony w tę idiotkę, bo to jest młoda idiotka. Liczy się tylko przymiotnik, że idiotka to nieważne.

— Bardzo ładnie to pani powiedziała. — Joanna dotyka dłoni lekarki. — Będę miała dzięki pani dobry dzień.

— Czy pani może mieć kiedykolwiek zły dzień? Pani, taka uwielbiana przez wszystkich...?

— Och, pani już trochę przesadza z tym uwielbaniem.

— Ależ tak! Zaręczam pani! Nie spotkałam nikogo, kto by pani nie uwielbiał.

— Jest pani naprawdę urocza. Dziękuję za tyle miłych słów i już uciekam. Za dziesięć minut zaczynam próbę.

Joanna biegnie w kierunku teatru. — Gdzie jest Roman? Och! Zatrzymał się przy gablocie ze zdjęciami. Musieli dać to zdjęcie, na którym wyglądam jak żaba! I to ma być fotografik? Tylko odpustowy fotograf mógł zrobić podobne zdjęcie. Naprawdę, stara żaba i do tego rozdeptana! Joanna odwraca głowę od gabloty, żeby tego świństwa nie widzieć. — Roman już zniknął na zakręcie schodów. Nieważne. Nie mam powodu spotkać się z nim. Co mi z tego, że usłyszę: — Dzień dobry, Jo. Ślicznie dzisiaj wyglądasz. — Te uprzejmości są gorsze od wszystkiego. Obojętność i uprzejmość. Gdyby się zachowywał po chamsku, można by go przynajmniej nienawidzić. Który z demonów obdarzył mnie tym kochaniem? Wszystko dzieje się wbrew mojej woli. Nie chcę tego człowieka. Tak na rozum to go zupełnie nie chcę, a wariuję, kiedy go widzę i wariuję, gdy go nie mogę widzieć. I kto to jest? Średni aktorzyzna, z inteligencją też nie jest całkiem dobrze... Koniec! To jest ostatni dzień, kiedy wariowałam dla niego! — tak postanawiając Joanna wpada do garderoby i już od drzwi ryczy wesoło:

— Dzień dobry!

— Joanna jak zwykle szczęśliwa, promienna i śliczna — mówi suflerka, która nie rozstaje się nigdy ze swoimi smutkami.

Dlaczego suflerka jest smutna? Ot, po prostu, zbyt mało jest w ogóle powodów do radości, a ona ma kłopoty. Poważne kłopoty z domem, z dziećmi, z mężem, z kartoflami na zimę, z wszystkim. — Jakie cudowne jest życie Joanny — myśli suflerka. — Tyle zarabiać, tyle grać, mieć sympatię ludzi i żadnych obowiązków, żadnych kłopotów, żadnych zmartwień. Tak, to jest życie. — Zamyśliła się pochylona nad stopami, z których w końcu zapomniała zdjąć buty.

Joanna rozbiera się szybko i w bieliźnie biega po garderobie, szukając swojej roboczej sukni. Klnie przy tym okropnie, bo za minutę zacznie się próba, a ona nie może jej znaleźć.

— Jo! Jaka wspaniała bielizna! — wykrzykuje ktoś. — Pokaż! Patrzcie, dziewczęta! Skąd wzięłaś te koronki? Jo! Masz dzisiaj rozbieraną randkę, załóż się!

— Jeżeli się załóżysz, to wygrasz! — odkrzykuje Joanna. — Mam. Mam rozbieraną randkę i to w porze południowej!

— To już są szczyty perwersji — mówi ktoś drugi. — Nigdy nie zdarzyło mi się kochać w południe.

— A ja to cholernie lubię! — mówi Joanna, patrząc przy tym kątem oka na dziewczynę siedzącą w kącie garderoby.

Dziewczyna pali papierosa i czyta książkę, nie zwracając uwagi na ruch w garderobie. Przy słowach Joanny zamyka książkę i na chwilę spotykają się ich spojrzenia.

Przez głośnik słychać nawoływania inspicjenta:

— Dzień dobry państwu. Jest godzina dziesiąta. Zaczynamy od drugiego aktu. Proszę na plan.

Idąc przez korytarz, Joanna obejmuje w pół suflerkę i szeptem jej w ucho:

— Moja kochana, trzymaj mnie, nie bardzo jeszcze umiem drugi akt. Nie chcę, żeby ten byk na mnie ryczał. Zawsze, na wszelki wypadek, podrzuć mi początek zdania. Obiecuję ci, że na jutro będę umiała „na blachę”.

Joanna i suflerka ostatnie wchodzi za kulisy. Zamykają się za nimi żelazne drzwi. Cisza i

początek próby.

Joanna stoi w mroku kulisy, czekając na swoje wejście. Kulisy, miejsce, które najbardziej lubi. Kulisy, podszewka teatru. Od tej strony dekoracje są olbrzymimi płatami dykty, podpartymi drewnianymi podpórkami przykręconymi świdrami do podłogi. Każdy zakamarek jest tu wypełniony dekoracjami z innych sztuk, w tej chwili niepotrzebnymi: kawałek ściany więzienia, łóżko, na którym wczoraj leżała zwariowana babcia, ogródek z malwami, prawdziwa beczka z piwem, bar i drzwi wahadłowe. I kotary, kotary, kotary wszędzie. I sznury, i stalowe linki, i żelazny balkon zwariowanie wysoko ponad sceną, i ludzie krzątający się na żelaznym balkonie, nierealni pośród zawieszonych u stropu chmur z aniołkami i kryształowych świeczników.

W półmroku kulisy wszystko jest ogromnie poważne, tajemnicze, groźne, i to jest właśnie ten prawdziwy smak teatru.

Gdyby Joanna wyszła teraz w jasno oświetlony dzień, gdyby stanęła na ulicy, przez którą przelewa się jesienne słońce, może wszystko byłoby mniej ważne, mniej męczące. Może...

Joanna stoi oparta plecami o gaśnicę pianową, zeskrobuje paznokciem lakier odpryskujący z gaśnicy i słucha głosu Romana, który płynie z daleka, poprzez kotary. — Dlaczego właśnie tak jest? — myśli Joanna. — Dlaczego nie chce mnie ten mężczyzna, którego ja tak bardzo chcę. Nic się nie liczy. Żadna moja dobrze zagrana rola. Wszystko jest mało ważne. Chcę go i to jest najważniejsze. Nie chcę dobrych ról. Niech nikt nie pada przede mną plackiem. Niech nikt się nie zachwyca, niech tylko on pójdzie ze mną do kina. Czy nie może przyjść i powiedzieć mi to? Że chce pójść ze mną do kina? Nie może. Nie chce. On mnie nie chce. Kim jest ta mała, która znów tutaj za kulisami czyta książkę? Nikim. Jeżeli w recenzjach wymienia się jej nazwisko, to tylko wspominając, że brała udział w przedstawieniu. Ona może sobie spokojnie czytać książkę, bo wie, że jemu się podoba. To jasne, że on sobie ją wybierze. Zawsze trzeba czekać, aż oni nas sobie wybiorą. Ja! Ja też muszę na to czekać. Ja muszę czekać! A on mnie nie wybierze. Jestem idiotką! Kim jest ten człowiek, żeby na niego czekać? Żeby czekać na jego łaskawy gest...? No, no, bez oszustw, wstyd się przyznać, ale przynajmy się: oczywiście że bym czekała, tylko... on mnie nie wybierze. To jasne.

Okropnie duszno robi się za kulisami. Joanna wychodzi na korytarz. Musi zapalić. Stoi tam już Staszek, ten który przedwczoraj odszedł od Teresy i zamieszkał z Marią. Staszek również pali papierosa, wypuszczając dym małymi pyknięciami. Joanna siada na schodkach.

— Co ci jest, Jo? — pyta Staszek zapatrzony w kółka dymu.

— Nic mi nie jest. Dlaczego miałoby mi coś być?

— Nie śmiejesz się...

— Z czego mam się śmiać? Nie jestem „kopnięta”, żeby śmiać się bez powodu.

— Nie uśmiechasz się do mnie. — Staszek obejmuje Joannę i siada obok niej na schodkach. — Biedna, stara Jo. Wszyscy jesteście okropnie biedni. Wypiłabyś jedną wódkę?

— Nie. Nie pijam przed południem. I wcale mi się nie chce pić. Co ty sobie znowu ubzdurałeś? Że ja chcę zapijać jakieś smutki? Nie mam żadnych smutków. Świetnie jest. Jestem w znakomitym nastroju.

— To bardzo niedobrze. Znowu musiałaś skrócić kark przy jakiejś okazji, jeżeli jesteś w takim świetnym nastroju.

— Dajże ty mi spokój i powiedz, o co ci chodzi? Przecież widzę, że umierasz z chęci, żeby się wybeczeć na moim ramieniu. No...?

— Mieszkam u Marii... Od wczoraj — zaczyna Staszek.

— Wiem.

— Co się dzieje z Teresą? — Staszek zaczyna się jąkać, bo jest zdenerwowany. — Widziałaś się z nią?

— A co cię to obchodzi? Mieszkasz u Marii, więc dlaczego interesuje cię, co się dzieje z Teresą?

— Myślisz, że to się da tak załatwić? — Staszek zakleja śliną pęknięty papieros. — Za jednym zamachem?

— Już załatwiłeś. Zdecydowałeś, że odchodzisz i odszedłeś. Wszystko jest więc załatwione. Teraz, skoro już wszystko się stało, nie rozcinaj włosa na czworo.

— Ale nie mogę przestać myśleć. — Papieros rozleciał się całkiem, więc dał spokój zaklejanemu. — Co się stanie z Teresą, kiedy mnie przy niej nie będzie?

— Dobrzy sobie jesteście, wy, mężczyźni — wścieka się nagle Joanna. — Rzucacie nas, a potem przeżywacie szlachetne męki. Jeżeli byłeś świnią wobec Teresy, bądź przynajmniej uczciwy wobec Marii i myśl teraz o niej. Kiedy sprawy mają się tak jak teraz, jesteś świnią wobec jednej i drugiej.

— Wiesz, najchętniej to bym był z jedną i drugą.

— No przecież mówię, że jesteś świnią.

— Mówię ci, Jo, szczęśliwa jesteś, że nikogo nie kochasz. — Tu Staszek popadł w bezkresną zadumę.

Joanna odwraca się do niego gwałtownie.

— Ejże! Głupi jesteś. Zawsze kogoś kocham. Nie umiałabym żyć, żeby kogoś nie kochać. Kiedyś nawet kochałam się w tobie.

Teraz Staszek patrzy na Joannę, można powiedzieć, z wyrazem „baraniego zdziwienia” i mówi zupełnie bez związku:

— Jestem bydlę, wiesz, Jo?

— Normalna sprawa — przytakuje głową Joanna. — A teraz zobacz, czy nas tam nie potrzebują na scenie? Coś tam długo trwa.

Staszek wstaje i wtedy właśnie wchodzi Roman. Oznajmia, że poprawiają coś przy dekoracji i można dziesięć minut spokojnie posiedzieć.

Siada obok Joanny i prosi o ogień. Joanna rozsypuje zapałki. Zaczyna się śmiać po wariacku i wygadywać coś o zartretymowanych rękach.

Roman rozwała się na schodach i zapytuje, czy znają dowcip o papieżu i Żydzie?

— Znamy, znamy — odpowiada Staszek. — Co chwila go ktoś opowiada.

— Ja nie znam — protestuje Joanna. — Chcę usłyszeć ten dowcip.

Staszek spogląda podejrzliwie na Joannę, mógłby przysiąc, że opowiadał jej go wczoraj.

— No więc — zaczyna Roman — spotyka się Żyd z papieżem i pyta: — Czy pan ksiądz jest rzeczywiście zastępcą Boga na ziemi? — Tak — odpowiada papież. — Ale czy takim prawdziwym? Takim najprawdziwszym? — Jestem prawdziwym zastępcą Boga na ziemi — potwierdza papież. — W takim razie proszę tu jest rachunek za ostatnią wieczerzę...

— Och! Genialne! — wykrzykuje Joanna. — Oskara dla faceta, który wymyśla takie dowcipne rzeczy.

Przez drzwi wychyla się głowa inspicjenta.

— Scena gotowa. Możemy jechać dalej. Proszę na scenę, panie Romanie.

Roman wychodzi zostawiwszy w popielniczce nie dopalonego papierosa. Joanna patrzy, jak pomału spala się do końca, potem ze złością przydusza palcem niedopałek.

— Co robisz? Poparzysz sobie palce — karci ją Staszek.

— No to co?

— Nic. Ale po co robić takie rzeczy?

— Czy ja wiem? Ciągłe coś robię i sama nie wiem po co...

Wstaje ze schodów i idzie na scenę, żeby słuchać w ciemności głosu Romana. — Ach ten Roman, ten Roman... Po co mi było to wszystko? — Stoi oparta o gaśnicę, myśli o Romanie i o dniu, kiedy to się zaczęło...

Był koniec lata. Wieczór ciepły. Za ciepły jak na taką porę roku. Siedziała po przedstawieniu w garderobie, zmazując charakteryzację. Wszyscy już wyszli, tylko ona jedna siedziała jeszcze i powoli paćkała tłuszczem po twarzy. Paliła papierosy, marudziła, nie chciało jej się śpieszyć. Po co? Do czego? Do domu? Do samotności? Na to jest czas. Zawsze się zdąży być samotnym.

W nagrzaney garderobie parowały niedawno ściągnięte kostiumy. Joanna lubiła ten zapach, zapach teatru, zmęczonych ludzi, rozsypanego pudru. W garderobie mogła siedzieć godzinami, tutaj się czuła jak u siebie, w domu było obco i niedobrze. — Po co są domy w ogóle? — myślała Joanna. — Chyba tylko po to, żeby przeleżeć w nich gripę lub zapalenie pęcherza.

Ktoś przeszedł przez korytarz i zatrzymał się przy drzwiach garderoby. — Pewnie pan portier z guzem jak czubate jajko — pomyślała Joanna.

— Gdzie on wyhodował taki zgrabny guzek? Mieć taką rzecz na głowie nie jest sympatycznie. Ciekawa jestem, co i gdzie mnie wyrośnie na starość? Może też takie jajko na czole? — Joanna wpatrzyła się w lustro i wtedy uchyliły się ostrożnie drzwi.

— Czy nikogo już nie ma? — zapytał Roman.

— To zależy, czy ja się liczę za kogoś, czy za nikogo — Joanna odwróciła się na krześle.

— Och, przepraszam, nie wiedziałem, że pani jest rozebrana.

— Ależ przeciwnie. Mam już przecież kapelusz na głowie. — Joanna zaśmiała się, potem włożyła spódnice i sweter i już ubrana spytała:

— Kogo pan szuka?

— Specjalnie nikogo. Taki ciepły wieczór... Myślałem, że ktoś zechce pójść na przechadzkę.

— Mogę iść, jeżeli ja panu wystarczę. Szli nabrzeżem Wisły, pustym i nijakim.

— Prześlicznie pani w tym cytrynowym

swetrze — powiedział Roman, ponieważ uznał, że należy cokolwiek powiedzieć.

— To nie jest kolor cytrynowy, to jest żółć brylantowa — odpowiedziała Joanna, myśląc równocześnie, że ten młody człowiek zna się na rzeczy i wie, co się mówi do kobiety.

— Nie znam się na tym.

— Ale ja się znam. Żyłam kiedyś z pewnym malarzem, który nauczył mnie odróżniać kolory.

Joannie już od dawna podobał się ten chłopiec, więc teraz zachowywała się wulgarnie i z przesadną swobodą. Zawsze tak działo się z nią, kiedy ktoś jej się podobał.

Roman spojrzął na Joannę i roześmiał się.

— Naprawdę? Żyła pani z malarzem? Czy to był dobry malarz?

— Jak pan myśli?

— Myślę... No, że to musiał być ktoś. Pani, taka indywidualność... Jeżeli już pani żyła z jakimś malarzem, to musiał być znany. Pani nie mogłaby sobie pozwolić na przeciętnego męczczyznę.

— Bałwan — pomyślała Joanna. — Ładny chłopak, ale bałwan.

— Nie, drogi panie — powiedziała głośno i powoli — to był bardzo zły malarz, kompletne zero. Żyłam z nim dlatego, bo mi się podobało, że tak ładnie nazywa kolory: ugier złoty, żółć brylantowa, geranium, róż indyjski... Można stracić zmysły dla człowieka, który operuje takimi słowami. Nie uważa pan?

— Nie wiem, bo mnie się to z niczym nie kojarzy. Z niczym konkretnym.

— A na przykład biel tytanowa? Też się panu z niczym nie kojarzy?

— Nie. A pani? Z czym to się pani kojarzy?

— Ano z bielą. Bardzo biało i bardzo tytanowo. Olbrzymia biała przestrzeń, białe słonie, białe konie i białe góry. Mogą też być, jakby ktoś chciał, białe drzewa.

Roman roześmiał się uradowany i spoglądał na Joannę trochę jak na wariatkę. Ponieważ spostrzegła to jego spojrzenie, korciło ją, żeby go doprowadzić do granic ostatecznego zdumienia.

Szli pustym bulwarem. Joanna uniosła kawałek spódnicy i wskazując miejsce nad kolanem, powiedziała:

— Niech pan spojrz. Tu mam bliznę po bagnecie. Kochałam się z jednym żołnierzem, wopistą, i dźgnął mnie bagnetem, kiedy go już nie chciałam.

Roman rżał radośnie.

— No nie! Pani jest szalona! Z wopistą?

— Oczywiście. Z wopistą. Oni noszą taką krótką broń.

— I co się z nim stało? Z tym wopistą?

— Zwolnili go z wojska.

— Za to, że. panią zranił?

— Skądże znowu! Za to, że wysłużył ile trzeba. Zwolnili go więc z wojska i pojechał z powrotem na swoją wieś, gdzieś pod Krakowem. O tej porze sieje już pewnie oziminy czy buraki, nie wiem, co się sieje o tej porze, ale on wie, mówił, że jest dobrym rolnikiem.

— Ale dlaczego pani się kochała z tym wopistą?

— Ba! Z kimś trzeba się kochać.

— Miała pani wielu mężczyzn?

— Nie zliczę, drogi panie. Nie podejmuję się zliczyć. A teraz spójrzmy wreszcie na tę naszą polską Wisłę, przecież to był cel naszej przechadzki, tak mi się przynajmniej zdaje.

Stali oparci o drewnianą barierę i chociaż niewiele było widać, patrzyli w rzekę. Trochę refleksów od lamp, głębina i cisza.

Joanna była wściekła na siebie; po jakiego diabła mówiła o tym wopiscie? Po co się w ogóle plecie takie idiotyzmy? Ale jemu to najwyraźniej smakuje. Cóż za osioł! Dać się nabrać na takie brednie...

— No to co robimy dalej? — zapytał Roman.

— Mnie wszystko jedno. A pan co chce zrobić?

— Może wstąpimy na jedną wódkę?

— Wspaniale!

Szybko wrócili do miasta i poszli do jedyne go otwartego o tej porze lokalu.

W barze było niewielu ludzi. Usiedli i zamówili wódki i wodę sodową.

Podeszli jacyś dwaj mężczyźni z kobietą. Powiedzieli, że znają Joannę, właśnie wczoraj podziwiali ją w teatrze, wyrazili swój zachwyt i zapytali, czy mogą się dosiąść.

— Proszę bardzo, proszę bardzo. Więc usiedli obok i zamówili kolejkę koniaków dla wszystkich.

Potem Roman tańczył z dziewczyną, podczas kiedy dwaj panowie usilnie starali się

wytłumaczyć Joannie, jaka jest wspaniała, jak genialnie gra i jak oni się nią zachwycają.

— Ależ zgoda, moi panowie! — odpowiedziała Joanna. — Ja wcale nie mam zamiaru się sprzeczać. Oczywiście, że jestem genialna! Zdrowie!

Ukradkiem patrzyła na Romana i diabli ją brali, że stale tańczy z tą dziewczyną. Natomiast panowie zupełnie zapomnieli o swojej towarzyszce. Byli zachwyceni, że mogą siedzieć z Joanną, mówić z nią jak z kimś dobrze znajomym, że jutro będą mogli wszystkim opowiedzieć, że bawili się z samą Joanną B.

Około pierwszej w nocy Joanna powiedziała, że chce już iść do domu, pożegnali się więc wszyscy i Roman wyszedł z Joanną, żeby ją odprowadzić.

Szli pustą ulicą, milcząc. Kroki w ciszy i stróż drzemiący przed Delikatesami, i bezdomny pies śpiący we wnęce sklepu. Joanna pochylała się, żeby pogłaskać psa.

— Niech pani tego nie robi! — zatrzymał jej rękę Roman. — On na pewno śmierdzi, taki jest stary i wstrętny.

— No to co? — wrzasnęła Joanna i stanęła na szeroko rozstawionych nogach. — To co, że jest stary? To dlatego mam go nie głaskać? A może jego nikt nigdy w życiu nie głaskał? Co? Może właśnie na to czekał, żebym go teraz pogłaskała?

— Och! Niech pani robi, co chce. Ależ pani jest zaczepna... Stale próbuje pani robić jakąś drakę.

— Nie do twarzy panu ze słowem „draka”. Pan jest za dobrze ułożony. Proszę się tak nie wyrażać, przestrzegam. Tak mogę mówić tylko ja.

— Pani się wydaje, że wszystko może.

— Nie wydaje mi się; ja wszystko mogę!

— No dobrze, już dobrze, chodźmy, bo nigdy nie dojdziemy do pani domu.

— A może ja tam nie chcę dojść? Hę?

— Co to znaczy?

— Nie lubię wracać do domu wcześniej niż rano. W każdym razie nie lubię tam wracać sama. Jasne?

— To znaczy, że każe mi pani pójść ze sobą?

— Każę.

Poszli. Całą drogę Joanna myślała o tym, że powinna zabrać psa, a jego zostawić. Po co myśleć, po co myśleć, kiedy już jest dom i schody, i drzwi...

Potem przyszło rano ze wszystkim, co jest niemiłe: z zadymionym pokojem, z szarością, z chłodem, z rzeczami rozrzuconymi na krzesłach i dywanie.

Joanna leżała na wznak, z rękami założonymi pod głowę. — Niech to wszyscy diabli wezmą. Za chwilę on włoży buty i pójdzie. I znów będzie dzień i noc, i znów samotność. Niech to wszyscy diabli wezmą. Roman włożył buty i podszedł do okna.

— Nie zamykaj okna — mówi Joanna — zaraz tu przyjdzie drozd.

— Jaki drozd?

— Ptak. Szary. Nie widziałeś nigdy drozda? One tu przychodzą zawsze rano. Już wieczorem wysypuję im okruszyny, żeby mogły zjeść rano. Lubię drozdy. Chcę je słyszeć, jak tam się kłóca za oknem o okruszyny. Lubię słyszeć, że coś żyje, kiedy ja jestem martwa.

— Jesteś pewna, że to drozdy?

— Co? Nie, nie jestem pewna, ale dlaczego to nie miałyby być drozdy?

— Może to są wróble?

— Może... Ale mogą być i drozdy. Drozd po prostu ładniej brzmi. Lubię wszystko, co ładnie brzmi... Miłość — to brzmi, dlatego lubię ciebie kochać i dlatego nie pozwolę ci odejść

przed drozdami.

— Jak to jest z tą miłością? Lubisz mnie kochać czy mnie kochasz?

— Nie wiem, może cię nawet Kocham, ale przecież mogę to także lubić, no nie? Być może, że to są wróble, niech sobie będą: ptaki. W każdym razie nie odchodź przed ptakami. Nie lubię być sama... Teraz jeszcze nie. Potem zmobilizuję się, powiem sobie, że tak, że tak, że tak, że musi być tak, a nie inaczej, wstanę rano i nakarmię drozdy, po prostu zobaczę, będę miała odwagę zobaczyć, kto tam urzęduje za oknem, że może tam są wróble, a nie drozdy, że przede mną jest cały dzień, cały długi dzień i może jeszcze kawał życia — nieważne ile — i że ja będę spełniać to życie, bez względu na nazwę ptaków.

I to już będzie to realne życie, to które jest nie może być inne.

Joanna odwróciła się i spojrzała na Romana, który stał tyłem do niej, z rękami w kieszeniach. Potem przechyliła się przez tapczan i wyciągnęła rękę.

— Daj papierosa.

Roman podszedł z papierosami, nie podał ich jednak, trzymał zamknięte w obydwu dłoniach.

— Dlaczego myślisz, że to jest miłość? — zadał najpierw pytanie, potem włożył papierosa do zwisającej dłoni Joanny i zapalił zapałkę.

Joanna zmrużyła oczy przed światłem zapałki.

— O Jezu! — wykrzyknęła. — Nie mam pojęcia, czy to jest miłość. Do licha! To nie jest nauka fizyki, żeby wytłumaczyć każdy kawałek zjawiska.

— Jednak chcę wiedzieć. Dlaczego nazywasz to miłością? Bo ja nie czuję się winny. Joanna zdumiona aż usiadła na tapczanie.

— Co to znaczy, że nie czujesz się winny? Nie jestem zupełną idiotką, ale tego nie rozumiem.

— Nie zrobiłem nic takiego, abyś mogła mnie kochać. Teraz rozumiesz? Nie mam ochoty odchodzić stąd z poczuciem jakiegś winy. To był romans jednej nocy, na który zgodziliśmy się, ty i ja, i nic więcej. Nie chcę teraz słuchać o miłości.

Joanna objęła kolana rękami i kiwając się w przód i w tył ryczała ze śmiechu.

— O to chodzi! O to chodzi! Odpowiedzialność! Nie bój się, nie ponosisz za tę noc żadnej odpowiedzialności. Ja biorę za nią całą odpowiedzialność! Biorę także odpowiedzialność za wszystkie noce, które będą bez ciebie. Przysięgam!

Uklękła na tapczanie z dwoma palcami wzniesionymi do góry, jeszcze chwilę śmiała się po wariacku, wreszcie schowała się pod kołdrę, tak że jej było widać tylko czubek głowy i powiedziała już zupełnie spokojnie:

— A teraz idź już.

Kiedy Roman wyszedł, nie powiedziawszy słowa pożegnania, Joanna zamknęła za nim drzwi na łańcuch, potem wysypała całą torbę ryżu do karmnika. — Niech dzisiaj drozdy mają święto! Niech ktoś ucztuje, kiedy ktoś drugi przegrywa. Znowu przegrałam. Mogę już teraz stworzyć własny kalendarz: każdy siódmy dzień przegrany oraz niektóre święta: wielkie przegrane...

Joanna stoi oparta o gaśnicę pianową i myśli o tym człowieku, którego głos słyszy przez pluszowe kotary: — Czemu właśnie on? Czemu uparła się na niego? Czy chodzi o to, żeby się sprawdzić jeszcze raz, że może się podobać? Że jeszcze może się podobać? A jeżeli nie, to co? Jeżeli faktem jest, że przestaje się mężczyznom podobać, to znaczy, że powinna zeżreć worek pigulek nasennych albo wskoczyć do rzeki? Kiedy przyjdzie wyzwolenie? Kiedy

przyjdzie dzień, gdy to już nie będzie bolało? Obudzić się o świcie, nakarmić drozdy i dziękować Bogu, że stworzył świat i ptaki. Tylko tyle. Karmnik za oknem, spokój w myślach i nic więcej...

Inspicjent dotyka jej ręki.

— Pani Joanno! Czemu pani nie wchodzi? Myślałem, że słyszała pani końcówkę. Już pani powinna być na scenie!

— O cholera! Ale za to zaraz wam pokażę, jak się gra prawdziwą komedię! — wykrzykuje Joanna.

Przeprowadzka Nóżki

Przeprowadzka Nóżki nasunęła mi myśl, że to nie może zginąć, czyli że musi być zapisane, dlatego piszę dzisiaj, piszę dla siebie i diabła mnie obchodzi wasz stosunek do tej przeprowadzki.

W poniedziałek Nóżka leżała przetrącona dyskiem i rozmyślała mniej więcej tak: — Jestem chora, jestem sama jak pies, zima jest i grzyb nad umywalnią pęcznieje. Oszaleję.

Nóżka leżała na skrzyni z desek i siatki, co razem nazywało się tapczanem i stało to-to trochę na ukos, z boku pokoju naprzeciw okna-balkonu. Balkon był drewniany i szczątkowy, nikt tam nie wchodził, bo były w nim dziury, z których można nie wyjąć nogi, gdyby wpadła. Balkon był poza tym zawalony starymi szmatami, gazetami i pozostałościami po przyjaciółkach Nóżki, które kiedyś tam, w zamierzchłych czasach bywały jej chwilowymi współlokatorkami. Stały tam więc stare sztalugi, kasety ze skamieniałymi farbami, wykrzywione przez wilgoć blejtramy, podróżne torby, zasłony ręcznie malowane we wzory niegdyś dzikie i nieludzkie, teraz na szczęście nie rażące oka, gdyż całkiem wypłowiały. Na balkon wносиło się również maszynkę spirytusową, model z tysiąc dziewięćset piętnastego roku, maszynka była jeszcze dobra, choć trochę przeciekała, i można było na niej gotować herbatę. Prócz maszynki leżała jeszcze kupka węgla, który Nóżka podkładała sobie, aby był, kiedy już zakończą wszelkie palenie, jako że istniały ustawy dotyczące palenia, ustawy, których nie można złamać, choćby nawet świat trząsał od mrozu. Termin palenia kończył się pewnego dnia i nie było o czym mówić. Przez tę kupkę węgla Nóżka miała wiele nieprzyjemności, bo mówiło się, że ona ma zapasy i że wobec tego nawet w trakcie zimy można jej przestać dawać opał; niech czerpie z zapasów.

Nóżka była nieszczęśliwa. Leżała w koronkach i rwała koronkową chusteczkę. — Boże! Jak strasznie jest żyć...!

Za tapczanem stał mały, kafłowy piec. Kafle były kolorowe, podobno ręcznie malowane. Piec był absolutnie zimny. Zapasy się skończyły. Ohyda leżeć przy takim zimnym piecu jak przy trupie.

Ze ścian opadały tapety. Nóżka opowiadała, że jak się tam wprowadziła, dostała ataku hysterii z rozpacz, tak było obrzydliwie; brudno i ciemno. Dopiero po zakupieniu szeregu arkuszy papieru pakunkowego i obiciu wszystkich ścian okazało się, że nie jest tak źle. Ten papier trzeba było zmieniać raz do roku, bo czerniał i darł się trochę. Teraz jednak nie był zmieniany dwa lata, bo Nóżka cierpiała na dysk i nie mogła się przeginać przy przybijaniu papieru. Te tapety to całkiem niezły pomysł, zwłaszcza w zestawieniu z korzeniami. Pełno było tych korzeni. Nóżka zbierała je latami nad morzem. Miała całą kolekcję. Ogromne i małe, a wszystkie o dziwnych, powykęcanych kształtach, gładko wyszlifowanych przez

wodę. Białe. Nie chcę robić głupich porównań, ale one naprawdę wyglądały jak kości czarownic.

W ogóle dom Nózki był domem pani czarownicy: Pod ścianami stały olbrzymie, czarne dzbany, a w nich olbrzymie gałęzie, prawie drzewa, uschnięte liście albo wiązanki zaszuszonej jarzębiny. I wszędzie korale, drewniane albo niedrewniane; zwisały z gałęzi lub opasywały dzbany. Był też prostokątny stół, ręcznie malowany przez Nózkę na kolor czerwony jak wino. Krzesła w tym samym kolorze. Na stole w dzbanku sterczały ołówki, w dużej ilości, nie wiadomo do jakiego celu, bo nikt nimi nie pisał, i kolorowe pióra wyrwane z ogona odpustowego rajskiego ptaka. Książki stały w szufladach poustawianych pionowo pod ścianami. Szuflady te były kradzione w różnych okolicznościach i w ciągu dłuższego czasu. Pod ścianą naprzeciw tapczanu — szuflada do góry dnem czyli mały stolik. Obok pozwijane kawałki starych dywaników służące jako miejsca do siedzenia. Na stoliku-szufladzie wazon z kwiatami. Wazon z kwiatami także na radiu obok tapczanu. W pobliżu werandy umywalnia, nad nią lustro, a dalej ten olbrzymi grzyb z wilgoci, kokieteryjnie pokryty kolorową makatą tak że prawie go nie widać.

Dom był stary i postanowiono go burzyć. Nózka musiała się wynieść. Więc leżała w swoich białych koronkach i myślała o życiu, które było szalenie uciążliwe.

Była jesień, padał deszcz. Pukanie. Wszedł Porcelanka.

Porcelanka był urzędnikiem od spraw bytowych. Kiedyś, przed wojną, piastował urząd sekwestratora. Miał sztuczną szczękę i ciągle żuł miętowe cukierki, i mlaskał przy tym jak świnia. (Człowiek w dobie ogólnego rozdrażnienia nie jest w stanie znieść takiego mlaskania). On nie przestawał mlaskać nawet, kiedy mówił. Teraz właśnie mlaskając mówił do Nózki, że samochód czeka na dole i że ona ma się zaraz spakować i wynieść.

Nózka wywróciła oczy w słup i pierwsze, co jej przyszło do głowy, to płacz, beznadziejny, bezsilny, ogromny płacz.

Porcelanka uśmiechał się swoją porcelanową szczęką, ssał cukierek, mlaskał i czekał.

Obok pokoju Nózki był drugi pokój, podobny, podgniły, niesamowity, może trochę inaczej urządzone, ale również zakorzeniony i zalesiony, i zadzbaniony. Mieszkała tam dziewczyna, która również musiała się wynieść, bo dom się będzie burzyć.

Porcelanka wkroczył do tego drugiego pokoju, aby tam dossać swój cukierek, domlaskać, douśmiechać się kompletem porcelany i powiedzieć to samo.

Dziewczyna w pokoju obok również leżała w łóżku. Miała podrażnienie czegoś tam, była chora, płakała, bo ją bolało, i płakała, bo nie wiedziała, co zrobić. Tłumaczyły Porcelance, że nie mogą się pakować, bo chore, bo tak zaraz się nie da, bo przecież tyle rzeczy i niechżeż on je zrozumie...

Porcelanka nie przestawał się uśmiechać i szalenie się dziwił:

— Co też panienki aktoreczki mają do pakowania?

Czas upływał, kierowca na dole czekał, a panienki się nie wyprowadzały, tylko płakały. Porcelanka stracił wreszcie cierpliwość i wyszedł, rzucając groźbami.

W południe zawiadomiono mnie o strasznym stanie rzeczy:

— Chodź tam do nich! Mówię ci, „sąd ostateczny”! Jerrycho.

Poszłam.

Nózka nie leżała już w białych koronkach. Siedziała w starym, głębokim fotelu, widziałam tylko przez poręcz jej głowę i szyję owiniętą rdzawym lisem. Podeszłam bliżej i zdziwiłam się szalenie temu lisowi, bo nigdy go jakoś u Nózki nie widziałem:

— Skąd masz tego lisa?

— Kiedyś dostałam go, wiesz, od tej...

— Aha.

— Boli mnie ramię, więc wzięłam tego lisa. Dobrze grzeje.

— Słusznie. Jeżeli dobrze grzeje...

Nózka siedziała w fotelu, miała na sobie spodnie obcisłe jak trykoty, na tych spodniach wokół bioder owinięty zielony kocyk, żeby grzał w krzyż. Słusznie, niech grzeje... Między lisem i kocykiem wyglądała flanelowa kraciasta koszula, a pod nią zdaje się błękitny sweterek.

Nózka oskarżała świat o to, że pozbawił ją gniazda.

Tak, tego dnia i w tym miejscu chyba się coś skończyło...

Tak na dobre zaczęliśmy chodzić do Nózki zaraz na wiosnę, nie, to było jeszcze w zimie, ale tak już pod koniec. Dostała tych swoich bóli, które ją skręcały i trzeba było przychodzić, żeby jej coś przynieść do jedzenia, wynieść popiół, zapalić w piecu, posprzątać. W końcu przyzwyczajaliśmy się przychodzić i już prawie nie robiliśmy niczego innego. A ona leżała w swoich białych koronkach i czekała na nas. Na nas. Kim my jesteśmy? Chyba trzeba będzie wyjaśnić. Nie wiem, czy powinnam mówić o sobie, to jest szalenie zenujące, oczywiście dla mnie. Może uda mi się jakoś przemknąć obok tej sprawy. Mogę podać parę suchych faktów: mam wzrost metr sześćdziesiąt pięć, oczy brązowe, ząb na sztyfcie i kompleks otyłości. Tyle wystarczy.

Więc nie zaczynam od siebie, lecz od Teodora.

Ten człowiek miewał najdziwsze pomysły i zawsze siadywał przy stole, a nie na podłodze jak wszyscy, co nas denerwowało, bo to takie zasadnicze siedzenie, jakby przyszedł z wizytą, a nie do Nózki. On jednak siadywał twardo przy stole i snuł swoje projekty; ciągle mu się chciało góralskiego teatru:

— Żeby tak móc wystąpić w guni, w kapeluszu z muszelkami, taki strój nie kosztuje drogo, i móc opowiadać góralskie gawędy. Przecież tego nikt nie zna! To jest piękne! Co może być piękniejszego niż góralskie gawędy? Na poligonie! Jest noc, a wokół płonie pięć tysięcy ogników papierosów! — marzył Teodor i każdy ognek przeliczał na złotówki, mylił się czasem w rachunku, bo przecież w wojsku nie wszyscy palą.

Teodor był góraliem i choć teraz miał zawód aktora, to jednak góraliem został na zawsze i we wszystkim.

Wśród nas, przyjaciół Nózki, następne miejsce zajmowała Kamilka. Miała ona swój kawałek podłogi pod piecem, gdzie zawsze siadywała.

Zachwycaliśmy się pomysłami Teodora i Kamilce robiło się coraz gorzej, bo piec płonął, nie zważając na to, że węgiel jest szalenie wyliczony.

Żał mi Teodora; nie było go już w dniu, kiedy się wyprowadzała Nózka. Teodor wyjechał, choć mógł zostać, ale z nim zawsze tak było. Każdy swój stan uważał za niezgodny z tym, którego pragnął. Kiedy był sam, pragnął, aby przyjechała jego ukochana dziewczyna, a gdy już był razem z nią, marzył o samotności. Teraz wyjechał, bo nie chciało mu się już być z nami, i na pewno marzy o tym, aby właśnie z nami być.

Teodor zawsze mówił o sobie tak:

— Widzisz, bo ja jestem szalenie skomplikowany. U mnie dusza idzie jednocześnie we wszystkich kierunkach. Nie mogę sobie dać rady ze sobą i męczę się. — Oczywiście że się męczył, tylko kto mu kazał uwierzyć w tę jego skomplikowaną duszę? Czepiał się tego i nie dal sobie wytłumaczyć. Pozwalaliśmy mu hodować siebie w stanie absolutnego zagmatwania i skomplikowania. Co nam to właściwie szkodziło?

Siedzieliśmy u Nózki i każde z nas myślało o drugim różne rzeczy, trzeba przyznać, nie pozbawione przychylności i dużego kredytu. Byliśmy przyjaciółmi, ale tak na marginesie — ocenialiśmy się dosyć właściwie.

Być może, że Kamilka w momentach zadumy pod piecem krystalizowała o nas swoje zdanie, na przykład o Nózce, że się zgrywa, kiedy popada ni stąd ni zowąd w rozpaczliwe milczenie, czemu zawsze towarzyszy wywracanie oczu i wysunięcie dolnej szczęki. To było dla Nózki typowe: śmiała się, wykrzywiła biedną twarz w tysiące grymasów, co miało oznaczać niewymowne szczęście, i nagle popadła w milczenie, bez żadnych uprzedzeń, że zaraz to nastąpi. Być może, że Kamilka miała o tym swoje nie najlepsze zdanie, ale jednak byliśmy przyjaciółmi i tolerowaliśmy u siebie wszystko. Najwyżej człowiek mówił sobie w myśli: — No cóż? Ona taka jest...

Może ja ganiłam Kamilkę, kiedy okazała się sensatką; każda rzecz miała u niej poczwórne znaczenie, wszystko było wyolbrzymione i wieloznaczne i wszystko służyło temu, aby ją zgubić, ale Kamilkę kochało się tak jak każdego i wolno jej było być taką, jaką właśnie była.

Kamilki również nie było już w dniu przeprowadzki Nózki. Nózka siedziała opuszczona w fotelu z tym rudym lisem, który wyskakiwał jak krwawy znak krzywdy, która ją spotkała.

Weszłam ze znajomym doktorem, miał przebadać Nóżkę i tę dziewczynę z pokoju obok. Doktor był naszą własnością i był zawsze, kiedykolwiek się go potrzebowało. A potrzebowało się go dosyć często, ponieważ nie brał od nas pieniędzy; wierzył, że ich nie mamy, bo sam też nic nie miał.

Dziewczyna w pokoju obok trzymała się za brzuch i płakała, ponieważ jednak doktor stwierdził, że to nic groźnego, poczuła się natychmiast lepiej i zabrała się do pakowania swojego małego dobytku.

Nózka obszernie wyzaliła się na temat dysku, potem zwierzyła się z dodatkowych bóli pod lisem i uznała, że to już chyba koniec. Pokiwaliśmy głowami, daliśmy jej zjeść jakieś proszki i powiedziałam, że zaraz przyjdzie Koń, aby ją spakować; a tymczasem my z doktorem poszliśmy na wódkę, bo było jednak zimno.

Dzień wcześniej ukradłam wiadro węgla z mojego domu, ale to było dzień wcześniej i teraz znowu panowało diabelne zimno. Nózka mnie pocieszyła, że za chwilę, jak się zacnie palić niepotrzebne rzeczy, będzie ciepło.

Czas jest nieobliczalny, więc minął szybko. Wróciłam po kilku godzinach. Doktora odesłałam do jego zajęć, natomiast spotkałam Mariolę. Mariola miała zły dzień, który właściwie nigdy jej nie opuszczał. Kupiła flaszkę wina i kawę. Postanowiłyśmy spakować Nóżkę do reszty. Koń powinien tam już być.

Koń był chłopcem o skomplikowanej urodzie, bardziej skomplikowanej niż psychika Teodora. Jednym słowem cholernie brzydki, ale i cholernie interesujący z tą swoją brzydota. I do tego miał nieszczęście posiadać płaskie stopy. Udawał, że tego nie ma, lecz tak dziwnie stawiał nogi dla zmylenia sprawy, że już nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości. Kiedy Nózka bywała zalana, gryzła Konia i mówiła mu, że wie o nim wszystko, więcej niż on sam o sobie, więc nazwał ją czarownicą. Prócz tego Nózka stawiała kabałę, toteż nazwa była na miejscu. Wierzyliśmy święcie w tę kabałę, ale kiedy mnie przez pół roku wróżyła straszne pieniądze i zaszczyty oraz powrót ukochanego, a potem nic z tych rzeczy się nie sprawdziło, wyprosiłam sobie stawianie kabały, a Koń wówczas powiedział do Nózki:

— Z ciebie jest taka wróżka, jak z koziej dupy nóżka. — I stąd poszła nazwa.

Koń to cholerny złośliwiec i cynik. Kiedy nie miewał z czego żyć, bo wszystko przepuszczał na „bankiety”, to przysięgał nam, że gotów sypiać za wikt i opierunek nawet z

jakąś starszą panią i nawet gdyby ta starsza pani była dosyć gruba, a grubych nie cierpiał najbardziej... Koń był inteligentnym chłopcem i znakomicie mówił Gałczyńskiego, i on chyba jeden miał o nas wszystkich jak najgorsze zdanie i nie osładzał go przyjaźnią. On nawet nieraz mówił nam wprost, co o nas myśli, chociaż go nikt o to nie prosił.

A więc poszliśmy z Mariolą spakować do reszty Nóżkę. Weszliśmy w ciemny korytarz. Do diabła! Tam zawsze ciemno! Bałam się tego, jak nie wiem co. W tych ciemnościach można się było czasem natknąć na półobłąkanego malarza. Na szczęście już się wyniósł też z powodu burzenia domu. Posądzałam tego malarza, że był zboczony seksualnie. Bił wszystkie swoje kochanki i zaczął się na schodkach, kiedy się szło i nie spuszczał człowieka z oczu, aż się weszło do drzwi Nózki. Przekleliśmy te ciemne schody. Teraz obawialiśmy się, że a nuż malarz po coś wrócił...

Z daleka słychać było stukanie. Oczywiście natychmiast musiałam zażartować, dość głupio zresztą, że to pewnie Koń zbija trumnę dla Nózki. Żart głupi, ale jeszcze głupsze to, że Mariola powtórzyła go Nóżce.

Weszliśmy, Konia nie było. To Emil zbijał paki z książkami. Marioli krew odpłynęła do stóp. Mariola kochała Emila i to się już dawno skończyło. Skończyło się źle i głupio. Większość miłości kończy się głupio, więc właściwie nie ma o czym mówić.

Nóżka już nie siedziała w fotelu, leżała w lisie na tapczanie. Napracowała się i bolał ją krzyż. Była czarna od brudu ze ścian i sadzy. Krematorium płonęło. Palily się stare listy, czasopisma, szmaty, buty i nie wiadomo co. Nóżka przeżywała w tej chwili moment milczenia, tego zaciekłego, tej zapaści duszy. Śmiałyśmy się trochę idiotycznie, bo sytuacja nie była miła. Koń nie przyszedł, Nóżka wszystko pakowała sama, a ja w tym czasie piłam wódkę. Emil poprawiał właśnie szelki i wydawał się przesadnie nieskrępowany obecnością Marioli. Natychmiast wyrwałyśmy korek z wina. Co by się w tej chwili powiedziało i tak będzie ni w pięć ni w dziewięć, jedyna rzecz to rozlać wino i zapalić papierosa, a potem już jakoś polecą. Mariola również robiła sobie na przesadnie nieskrępowaną, wobec czego zaczęła krzyczeć:

— Rany boskie! Jak wy to pakujecie! Trzeba było być repatriantem, tak jak ja, wtedy by się wiedziało, co i jak pakować. — Tu nastąpiła odwieczna opowieść o porcelanie, którą przez dwa tygodnie, jadąc bydlęcym pociągiem, trzymała na kolanach.

Wypijałyśmy z wolna wino. Nóżka go nie chciała, bo jej szkodziło. Ja sparzyłam kawę, ale nie było szklanek, wszystko już zapakowane. Wypiliśmy więc z jednego kubka. Wino mi nie smakowało. W ogóle nie lubię wina. Mariola miała już w czubie, opowiadała znów o Lwowie i o przeprowadzce: pakowała cztery pokoje swojej mamy i trzy pokoje teściowej, a teściowa chciała zabrać nawet stary nocnik.

Emil był absolutnie zajęty zbijaniem pak z książkami.

Kiedy spjrzałam na te sterty rupieci leżących wokół i już częściowo zapakowanych, a których jeszcze tyle pozostało do spakowania — ogarnęło mnie zniechęcenie.

Na tapczanie nie było już białych koronek, w których zawsze widzieliśmy Nóżkę, był brudny koc, zasłany papierami i niedopalkami papierosów.

Nóżka dosięgła ręką podłogi i spod sterty gazet wyciągnęła jabłko. Obierała je misternie, koncentrując na nim całą swoją uwagę i myśli. Na Boga! Nie wiedziałam, o czym ona myśli, ale domyślałam się, że za chwilę zaczyna kapać łzy i złościć korytko w zasmolonej twarzy. Wtedy Mariola wyskoczyła z tą trumną, że jak szłyśmy, to słychać było stukanie i ja powiedziałam, że to pewnie Koń zbija trumnę dla Nózki. Zaśmiałam się głupio i wiedziałam, że to też jest głupie i że wszyscy o tym wiedzą. Och! Zabiłabym wtedy tę Mariolę!

Emil wyrznął się młotkiem w palec, wobec czego nastąpiła mała przerwa z wysysaniem, przeklinaniem i kopaniem skrzynki. Potem już wszystko poszło dobrze.

Cholernie mi się zachciało jeść. Zjadłam Nóżce ciastko. Wiem, że ona też chciała zjeść to ciastko i chociaż mnie zapraszała, abym zjadła, liczyła na moją delikatność. Nie lubię ciastek, ale wtedy zjadłam. Miałam właśnie ochotę na to ciastko i zjadłam je z całą bezwzględnością. To mi nasunęło myśl o moim charakterze: jeżeli mam na coś ochotę, nie odmawiam sobie niczego, o ile to jest do osiągnięcia. Dziwne, nie wiedziałam tego o sobie. A może zjedzenie ciastka nic nie znaczy? Nonsens! Nie będę na podstawie jednego ciastka rozpatrywać wad mojego charakteru. Leżało, cholera, i choć nie lubię ciastek, musiałam zjeść i niech mnie ktoś zabije, jeżeli wiem, dlaczego to zrobiłam...

Zaczęło się zaszywanie różnych rzeczy. Więc najpierw zaszyło się korzenie. Wszystkie korzenie, które stały i wisiały. Było tego parę kilo. Zaszyło się w starą kotarę w czarno-czerwone pasy. To co było już zaszyte i spakowane, ustawiało się pod ścianą i na wszystkim wypisywało się nazwisko Nóżki i kolejny numer. Pisałam siedząc na tym czymś, co kiedyś, kiedy tu leżały koronki, a w nich Nóżka z koronkową chusteczką, było tapczanem. Wiedziałam, że za chwilę wyciągną spode mnie materac i zostaną już tylko same cegły i nikt już później nie domyśli się, że w tym miejscu Nóżka przeżywała swoje bóle z powodu dysku i przemijającej młodości.

Spakowano nawet żarówki, więc Nóżka zapaliła jedną świecę i wtedy było już całkiem beznadziejnie. Zabrakło papieru na drobiazgi, wobec czego Mariola rzuciła się na ściany krzycząc: — Ileż tam jest papieru! Z paru lat!

Nóżka zakryła oczy i zaczęła ryczeć. Do diabła! Widok zdartych tapet nie powinien nikogo doprowadzać do łez. Ale ona ryczała. Patrzyłam, jak Mariola pełnymi garściami rwała tapety. Jestem twarda, ale tego nie mogłam wytrzymać: tam były całe gniazda pajaków. Oszalałe biegały po ścianach, a Mariola waliła w nie pantoflem i krzyczała:

— Rany boskie! Jak ty tu mogłaś żyć! Pośród tych morderców! Wypiły ci chyba wszystką krew!

Nóżka rozdzierająco szlochała. Nie wiem, jakie to były pająki, już dawno zapomniałam o biologii, widziałam tylko olbrzymie, chude nogi. Miałam tego dosyć. Uciekłam. Nikt mnie nie zatrzymywał. Jeszcze raz obejrzałam się z daleka na ten dom, który może już pojutrze zburzą, i bezmyślnie powtarzałam jedno zdanie:

— Zostawiliśmy tam wszystko... Zostawiliśmy tam wszystko...

Zastanowiłam się chwilę. O czym ja mówię? Cośmy tam zostawili? Do licha! Zostawiliśmy kupę pajaków za tapetami i tyle...

Minęło już tyle lat, a ciągle jeszcze pamiętam... Te pająki.

Czerwone Góry

Odjeżdżałem.

— Zostawia pan Czerwone Góry? Szkoda. Cholernie lubię Czerwone Góry, kiedy pan jest. Nie będzie się z kim upijać. Cholernie lubię się upijać. Zauważył pan, że powtarzam słowa? Bo jestem cholernie spita i cholernie mi wesoło. Czy mogę się trochę powyglupiać? Jasne że tak. A więc chcę tańczyć z Czerwonymi Górąmi i z panem! Proszę pana do małego czerwonogórskiego tańca. Wie pan, dlaczego mówię do małego? Pan myśli pewnie, że w tym się kryje coś wielkiego? Nie. Mały taniec, bo jestem pijana i nie chcę dużych tańców i dużych zawrotów głowy. Niech się pan nie krzywi; pan nie lubi, jak mówię, że jestem pijana. Wlałam

w siebie za pomocą pana i butelki koniaku taką ilość alkoholu, że jestem pijana, a pan to może nazwać, jak pan chce. Pośmiejmy się trochę, dobrze? Przeokropnie lubię się śmiać. O Boże! A ja znów ryczę. Zabawne. Chciałam się śmiać i moje zamierzenia poszły w innym kierunku. No więc trochę popłaczę, to będzie taka deliryczna wstawka do zakończenia pijaństwa. Za chwilę mogę się śmiać. Niech mi pan powie, czy on mnie nie kocha? Czy on mnie nie może kochać? — Niech pani lepiej nie płacze. Tutaj jest moja chusteczka.

Byłam wściekły, jasne że byłam zazdrosny o te łzy; nie dla mnie i nie przeze mnie.

— Niech pan się nie wścieka, że nie dla pana płaczę. Gdyby te łzy były dla pana, byłby pan inaczej wściekły, patrzyłby pan ze złością, że pociąg jeszcze nie nadjeżdża, że to się męcząco przedłuża... Zresztą nie znalazłby pan tych łez, gdyby były dla pana.

— Czy on nie pisał?

— Nie pisał.

— Nie dzwonił?

— Dzwonił. Żeby oddać płaszcz do pralni i kupić dwie reprodukcje Bruegla, których tam nie może dostać.

— Kiedy przyjedzie?

— Nie wiem. Nie wiem, kiedy się męczy. Nie wiem, jak długo trwa u niego okres sycenia się, kiedy ma przesyty i chęć powrotu, ale kiedy wraca, to już wiem. Tutaj za Czerwonymi Górami jest inny świat, tu się wraca do wielkiego, intelektualnego życia. Tu się chce spokoju, wyrozumienia, tu się wietrzy myśl i przygotowuje bagaż wielkich wartości ludzkich, które się rozrzuca po drugiej stronie Czerwonych Gór.

— Jeżeli wraca, to chyba wraca do pani.

— Gównno.

— Nie znoszę, kiedy pani jest ordynarna.

— Gównno.

— Niech pani sobie idzie, dobrze?

— Gównno.

Pięciominutowa cisza. Patrzyliśmy oboje na Czerwone Góry. Słońce było już dosyć wysoko. — Co mnie trzyma tutaj, na krańcu świata? Ta nie moja dziewczyna, z którą piję od kilku dni... Sytuacja jest dosyć zwykła: ona mi mówi o swojej miłości, a ja chcę z nią spać — rozważałem.

— Niech pan to wreszcie powie, czy on mnie nie kocha? Czy on mnie nie może kochać? Nie chce pan nic mówić, dobrze... Ile mamy czasu do pana pociągu?

— O... Dużo.

— To też dobrze. A chce pan znać moją historię?

— Muszę, bo i tak nie zwolni mnie pani od słuchania.

— Oczywiście, że nie. Kiedy usłyszę to na własne uszy, uwierzę, że jest prawdziwa. Muszę panu opowiedzieć moją historię. — Czy będzie pani opowiadać od samego początku?

— Nie. Oszczędzę panu wszystkie chwile szczęścia. Początek będzie tam, gdzie się skończyła miłość. To był czwartek, potem był piątek, sobota, niedziela, poniedziałek... Potrafi pan policzyć dni do końca tygodnia, a potem jeszcze dalej liczyć, aby z tego powstało parę tygodni?

— W porządku. Co było dalej?

— Niech pan nie nudzi. Nie chce mi się mówić. Chodźmy do baru na śniadanie. Mam ochotę na flaki.

Poszliśmy do baru na flaki. Lubilem te bary w miasteczku za Czerwonymi Górami. Oni tam

mieli zwyczaj ustawiać latem na werandach palmy i jadło się pod tymi palmami. Jedliśmy flaki, a ona zażądała, aby kelner dostawił jeszcze dwie palmy do naszego stolika. Siedzieliśmy więc pod czterema palmami.

— Wie pan, ciepło się sączy przez palmy. Czuję się jak pszczoła po miodobraniu, jestem leniwa i chce mi się spać.

Nie odpowiedziałem. Byłem niewyspany i nastroje pszczół nie interesowały mnie.

— Nic pan nie mówi? Dobrze. Gardzi pan życiem owadów. Nie szkodzi. W takim razie płacimy i wychodzimy, nie chce mi się tu siedzieć. Polali wodą ulice. Lubi pan ulice polane wodą? Parują.

Szliśmy długo ulicami, które parowały wodą. Wiedziałem, że musimy gdzieś dojść, aby ona mogła dalej mówić.

— Znam jeden uroczy śmietnik. Szkoda aby pan wyjechał z tego miasta i nie zobaczył śmietnika. Powinno się robić pocztówki z tego miejsca. Jest naprawdę ładne.

To była bardzo wąska uliczka, nad nią most czy balkon z kwiatami. Balkon przerzucony przez wąską uliczkę. Ślepa uliczka, na końcu duże puszeki śmieci.

— Proszę, niech pan siada. Ja wybieram tę puszkę z zeschniętymi kwiatami, zawsze lubię być z czymś ładnym, nawet na śmietniku.

— No więc?

— Więc siedzę za Czerwonymi Górami i płaczę. Czekam, aby on wrócił. On wrócił, a ja mu mówię, że tak nie można dalej żyć, że musimy to jakoś załatwić. Wtedy był zmierzch. O zmierzchu najlepiej się rozmawia; intymność jest tak obrzydliwa, że nie można widzieć dokładnie człowieka, kiedy się do niego mówi. Oczywiście w ogóle nie patrzyłam na niego, mówiąc. Patrzyłam w okno, zaciskając nerwowo ręce, wie pan, takie prawie wyłamywanie kości. Słowa padały po kawałku. Głos wtedy staje się tak idiotycznie wibrujący, raz się mówi bardzo cienko, a za chwilę prawie basem.

— Więc powiedziała mu pani wszystko?

— Nie, skądże. Nic nie powiedziałam. Chciałam mu to wszystko powiedzieć, ale przecież nie ma sensu mówić, jeżeli mnie nie kocha. To byłoby niesmaczne. Wyglądałabym idiotycznie z tym drzeniem głosu. Muszą być dwie strony jednakowo zaangażowane, aby coś podobnego uszło.

— No więc, co pani zamierza zrobić z tym wszystkim?

— Nic, co ja mogę zrobić? Mogłam to tylko panu powiedzieć. Przecież to już skończone. Chodźmy już. Pana pociąg niedługo odchodzi.

— Tak.

Pociąg odchodził o godzinie dziesiątej i sześć minut.

Około piętnastu kilometrów od przemysłowego miasta znajduje się miejscowość o nazwie Czerwone Góry. Nazwa ta pochodzi właśnie od nazwy gór, które wydają się zupełnie czerwone.

Małe, prześliczne miasto odgraniczone od świata górami o barwie czerwonej. Ściana z czerwonych gór. Odnosi się wrażenie, że tu musi się skończyć każdy problem, który się gdzieś w świecie zaczął, że nic nie przejdzie przez te góry.

Miasto jest piękne i latem dużo w nim palm. Palmy w doniczkach. To jakby specjalność miasta. Kiedy zaczyna być ciepło, wynosi się przed domy te palmy w doniczkach i wygląda tak, jakby mieszkańcy urządzali wystawę, tylko że w konkursie nikt nie bierze pierwszego miejsca i kosza z butelką szampana, dwiema puszkami sardynek i mleczną czekoladą — w

nagrodę.

Ulica Miedziana jest zapchana palmami, ma barykadę z palm. Na ulicy Miedzianej jest dom z numerem dziesięć. Ten dom jest jednopiętrowy, drewniany, stary, ma nawet okiennice z wyciętym serduszkim w środku. Na ulicy Miedzianej pod numerem dziesiątym okiennice są jeszcze zamknięte, choć już jest pełny dzień.

— Czy pani dzisiaj nigdzie nie wychodzi?

— Nie.

— Nie będzie się otwierać okien?

— Chyba nie.

— Dużo słońca dzisiaj, można by chociaż okiennice otworzyć. Od słońca będzie tak samo jasno, jak od lamp.

— To proszę odstłonić okiennice i proszę mi przynieść jeszcze jedną kawę i zejść po papierosy.

— Niech pani tyle nie pali, od tego cera żółknie.

Kobieta, która tu jest gospodynią, która mówi o oknie, słońcu, żółtej cerze, wychodzi z mieszkania, zatraskując cicho za sobą drzwi.

Kobieta, która została w mieszkaniu, składa czytana książkę, wstaje z łóżka, podchodzi do lustra i uśmiecha się.

Na dywanie śpi kot.

— Słyszysz, Mik? Od papierosów cera żółknie. Od kawy gnije wątroba. Od wódki rozlatują się nerki. A co się dzieje od wielkiej miłości? Od wielkiej miłości umiera się, Mik. My umieramy. No, nie przerażaj się, ty nie umrzesz, koty nie umierają z miłości, tylko ludzie.

— Proszę pani, są papierosy. — Kobieta stoi w drzwiach.

— Dziękuję. A co jest na świetle? Nic się na świetle nie wydarzyło?

— Co się może, proszę pani, wydarzyć na świetle? Nic. Nikt dziś nie umarł i nic więcej. Na którą ma być obiad?

— Na drugą i proszę mi już zrobić tę kawę. Po chwili dzwoni telefon.

— Halo... Oczywiście, możesz przyjść, nic takiego nie robię. Oj, nie chce mi się być dowcipną, nic takiego, to znaczy nic takiego i nic więcej. Przyjdź, jak chcesz i nie nudź. Nie, nie jestem wcale zniecierpliwiona. Czekam.

— Aniu, proszę zrobić jeszcze jedną kawę. Jedna kobieta jest więc Ania, druga Teresa. Teresa podchodzi do lustra, opiera dłoń całą szerokością pośrodku szkła, zagląda sobie z bliska w oczy i śmieje się:

— Nigdy nie przestanę być kobietą, słyszysz, kocie?

Za chwilę przychodzi mężczyzna, który przed chwilą telefonował. Teresa podchodzi do niego i potrząsa jego ręką.

— Jak się masz, stary druhu... Tak się witają ze sobą harcerze i myśliwi. Co słychać? Nie zmuszam cię do dawania odpowiedzi na ostatnie pytanie.

— Mam się dobrze i daję odpowiedź na ostatnie pytanie: nic nie słychać.

— To dobrze, zaraz będzie kawa.

— Ślicznie się wygląda, co się robiło?

— Czytało się książkę, potem się odbierało telefon od ciebie, potem się patrzyło do lustra i śmiało się.

— A śmiech z jakiego powodu?

— Jeżeli przed twoim przyjściem się sprawdzam, to chyba jest śmieszne?

— Wcale nie, ja też się sprawdzałem. Chciałbym, żebyś wreszcie kiedyś zauważyła, że

jestem przystojnym i interesującym mężczyzną. Co mam robić, żeby ci się podobać? Jak długo mam czekać i czy w ogóle mam czekać?

— Znów stworzyłeś atmosferę „gorącego dachu”. Za chwilę powinniśmy sobie paść w ramiona albo ja będę musiała krzyknąć w sztucznym przerażeniu „kawa kipi!” i wybiec z pokoju, co właśnie robię.

— Zaczekaj chwilę...

— Nie bierz mnie za rękę. Dosyć tych intymności.

— Zaczekaj, dlaczego nie wolno mi ciebie uwielbiać?

— Wolno, tylko rób to po cichu. Wrzeszczysz o tym tak głośno, jakby ci samemu trudno w to uwierzyć. A poza tym, po co to wszystko? Nie interesuję się tobą... Jesteś naprawdę świetnym mężczyzną, ale cię nie chcę.

— To po co sprawdzałaś się w lustrze?

— A cóż ty myślisz? Przecież nie mogę dopuścić do tego, aby nawet tobie przestać się podobać.

— Takie rzeczy nie uchodzą bezkarnie; pocałuj mnie.

— Nie bądź osłem! Z tych samych powodów musiałabym całować piętnastu mężczyzn dziennie.

— No więc dobrze, daj tę kawę. Mężczyzna wygląda przez okno i zaraz cofa się z powrotem.

— Idzie ten stary nudziarz. Po co ci znajomość z tym antykiem? Od niego nie nauczysz się malować. Co to w ogóle za malarstwo? On mógłby jeszcze z biedą malować pocztówki.

— Pocztówki też są potrzebne. Wolę jego pocztówkowe malarstwo niż twoje akty. Czemu, u licha, wszystkie kobiety w twoich obrazach mają takie siodłate tyłki?

W drzwiach ukazuje się rozchichotana postać starego malarza. Wygląda jak pies z żółtą sierścią. Nawet zęby ma psie. I jasne, bardzo jasne, wierne psie oczy.

Zatrzymuje się sekundę spostrzegłszy młodego mężczyznę i jego zmarszczki, kiedy mruży oczy, trochę się pogłębiają. Podchodzi do Teresy, ignorując obecność tamtego.

— Przyniosłem ci, Tereniu, trochę bieli, żebyś miała czym zagruntować płótno. Co to za biel! Pył anielski — taka drobna! — podnosi wskazujący palec do góry, potem rozgląda się po mieszkaniu, szukając wzrokiem sztalug.

— Co? Nie pracujesz dzisiaj? Pokaż ten portret.

— Pokażę ci, jak skończę — mówi Teresa — a teraz nie bądź gburem i przywitaj się z Szymonem.

— Przepraszam, nie zauważyłem — stary człowiek kłania się uroczyście, potem zwraca się znów do Teresy: — Jeżeli nie masz zamiaru pracować, to zapraszam cię na wino... Pana oczywiście także.

— A kawy, nie chcesz? — pyta Teresa.

— Nie. Zostaw to. Lepiej się napić wina. Wobec tego Teresa idzie do kuchni powiedzieć, że kawy nie będą pić i wszyscy troje wychodzą.

Winiarnia mieści się w domu z cegieł, w piwnicach. Zawsze tu jest chłodno, pachnie wino, kawa i prażone migdały. Ściany są malowane w ptaki i malowany jest piec, stoją tu drewniane ławy i stoły i jest oczywiście także palma.

Teresa, Szymon i stary malarz są jedynymi klientami o tej wczesnej przedpołudniowej porze.

Siedzą przy stoliku pod palmą. Teresa oparta o ławę, z odchyłoną trochę do tyłu głową, dwaj mężczyźni patrzą na nią i o niej myślą.

Stary człowiek zwraca się do Szymona:

— Prawda, panie Szymonie, że Terenia dzisiaj ślicznie wygląda?

— Teresa zawsze ślicznie wygląda — odpowiada Szymon.

— Przestańcie się mizdrzyć do mnie i pijcie wino. Stary człowiek przysuwa się do Teresy.

— Ja bardzo lubię grzane wino, wiesz, Tereniu?

— Wiem. Dlatego je właśnie pijesz. Szymon opiera się łokciami o stół i trzymając gliniany kubek z winem w obydwu dłoniach, zbliża go do ust, nie pije jednak, lecz patrzy ponad kubkiem na Teresę. Nie widać jego twarzy, tylko oczy uparcie wpatrzone w Teresę.

Stary człowiek porusza się niespokojnie i odstawia swoje wino. Patrzy na Szymona, potem na swoje ręce, które lekko drżą. Kładzie jedną rękę na drugiej i zeskrobując z paznokcia zeschniętą farbę mówi nie patrząc na Szymona:

— Nie podoba mi się, jak pan patrzy na Teresę. Nie potrafię wyjaśnić, o co chodzi, ale patrzy pan na nią złymi oczami.

Teresa zaśmiała się.

— Ja ci wyjaśnię, jakimi oczami on patrzy! A więc, on patrzy i myśli sobie tak: — Dostyc już tych ceregieli, i tak będę z tobą spał, tylko po co tę rzecz przedłużać...

Szymon nie rusza się ze swojego miejsca, patrzy tak jak poprzednio, ponad kubkiem wina. Potem śmieje się:

— Jesteś genialna! Tylko sprzeczałbym się o słowo „ceregiele”, to nie w moim stylu. Stary człowiek gwałtownie wstaje od stołu.

— Zdaje się, że ja tu jestem niepotrzebny! Idiota! Idiota! Nigdy nie przestanę być idiotą! — rzuca pieniądze na bufet i wybiega.

Bufetowa robiąc sweter na drutach spogląda na wychodzącego starego człowieka, potem na tych młodych, którzy siedzą z dosyć głupimi minami. Dopijają swoje wino i wychodzą nie powiedziawszy jej nawet do widzenia. Myśli, że coraz więcej jest chamstwa na świecie i myli się w dodawaniu oczek.

Parę dni później Teresa i Szymon wracają nad ranem z lokalu. Teresa ciągle zapija swoją miłość. Ciągle nie może uwierzyć, że to już koniec, chociaż wie, że tak jest i że trzeba się będzie wreszcie na coś zdecydować; skończyć z tamtym i zacząć coś od nowa. — Tylko nie z Szymonem. Z Szymonem nie! — Nie chciała Szymona.

— Kiedy to było? Rok temu... Może mniej a może więcej... Wracała z mężczyzną, który o godzinie dziesiątej i sześć minut miał pociąg... Pojechał... Jasne że pojechał... Dlaczego nie miał pojechać...? Czemu nie on idzie teraz tutaj, zamiast Szymona? Nie. Nie, tylko nie Szymon... Nie on... Teraz powrót do domu i znów samotność... — Wstąpię do ciebie, dobrze? — powiedział Szymon.

— Dobrze, wstąp. Nie chcę być teraz sama. Szli po drewnianych schodach. Teresa nie chciała być sama i nie chciała być z Szymonem.

Teresa stała przy drzwiach, z ręką na klamce. Miała na sobie szlafrok krzywo zapięty na guziki.

Szymon siedział na krześle i palił papierosa. Szpilka z włosów upadła na podłogę. W ciszy było słychać ten dźwięk.

Teresa przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi.

— Idź już i nic nie mów. Tylko nic nie mów.

— Chcę z tobą zostać. Pozwól zostać.

— Nie. Idź.

— Wypędzasz mnie jak dziwkę.

— Idź.

Szymon wstał, zgniółł papierosa w popielniczce, podszedł do Teresy, chciał jeszcze coś mówić, popatrzył na zaciśnięte w uporze usta Teresy, nic nie powiedział, przecisnął się bokiem obok niej i zbiegł szybko po schodach.

Teresa długo jeszcze stała oparta plecami o drzwi. Potem podeszła do lustra, oparła obie dłonie na jego szkle, zajrzała w swoje oczy i powiedziała do siebie:

— No więc tak... Dzisiaj mamy osiemnastego września...

Dzień osiemnasty września był słoneczny. Słońce siedziało na paczkach w przechowalni bagażu i we włosach kasjerki Władysławy Ernet. Słońce było także na tabliczce z napisem: „Wyjście dla podróżnych”.

— Dziękuję panu — powiedział kontroler biletów i przyłożył dłoń do czapki.

Wyszedłem przed dworzec, rozejrzałem się, kupiłem w pobliskim kiosku pudełko papierosów, zapaliłem papierosa przysłaniając dłonią ogień i skierowałem się w szeroką ulicę. — Mój pociąg przyjechał o godzinie dziesiątej trzydzieści pięć. Wróciłem za Czerwone Góry. Twoja historia jest taka jak wszystkie i moja jest taka jak wiele innych, wtedy, na śmietniku, powiedziałaś, że tamto już skończone, dlatego wracam za Czerwone Góry.

Pamiętam. Poznaliśmy się w nocnej knajpie. Siedziałaś przy barze, brodę podparłaś na rękach i patrzyłaś w lustro, w którym odbijały się flaszki i twoja twarz. To się zaczęło wtedy, od razu tej nocy, tylko wówczas jeszcze o tym nie wiedziałem.

— Starzeję się — powiedziałaś. — Świństwo. Nie chcę być stara. Zaczynam mieć bruzdy przy ustach. Jest pan obserwatorem obiektywnym: mam bruzdy czy nie mam?

— Jeżeli pani powiem, że ma pani bruzdy, to mnie pani zwymyśla i nie będę mógł obok pani siedzieć.

W tej chwili pan to powiedział, ale nie zwymyślam pana. Wygląda pan dosyć interesująco, przynajmniej tak widzę pana pośród flaszek. Nie chce mi się odwracać głowy, bo boję się, że może pan mieć ohydny profil. Mówmy do flaszek, dobrze?

— Dobrze. Co pani pije?

— To! Na drugiej półce.

— Proszę dwa Martele. I cytryna?

— I cytryna.

— Mogą być solone migdały?

— Mogą być solone migdały.

— Proszę migdały.

— Zna pan tego faceta za czwartą butelką od końca?

— Tego, co ma nos jak ogórek?

— Tak, tego.

— Nie, nie znam go. Czy to ktoś bardzo ciekawy?

— Nie wiem, nie znam go wcale. Chodźmy tańczyć.

Podszedł do nas mężczyzna, który miał nos jak ogórek, i powiedział do ciebie:

— Moja droga, może wreszcie pójdziemy do domu?

Zatrzymałaś się i najspokojniej przedstawiłaś mi go:

— To jest Szymon. Bardzo dobry malarz. Od lat wydaje mu się, że się we mnie kocha, ale ja go nie chcę. Szymon teraz cierpi, że wolę pana od niego. Nie mogę na to patrzeć, na jego smutną twarz. Zna pan to powiedzenie? „Ma twarz zbitego psa”... Nie lubię takich widoków...

Nie powinno się bić psów. Wyjdziemy, dobrze?

Szliśmy wzdłuż Czerwonych Gór. Nie przestawałaś mówić:

— Pan daruje, że nie staram się zainteresować pana Czerwonymi Górami, że nie mówię: O, niech pan spojrzy! Jaki głęboki fiolet od wschodu, prawda, lilie? Lilie w deszczowy dzień, w ponurym ogródku. Nie muszę także nazywać po imieniu niektórych szczytów i wskazywać co ciekawszych, prawda, że nie muszę tego robić? Dziękuję panu. Pokażę panu tylko jedną górę. O! Ta! Nazywa się „Głupi Józek”. Ładnie, prawda? A zresztą nie, nie powinnam pana oszukiwać, ta góra nie ma żadnej nazwy, wymyśliłam to sobie.

— Lubi pani wymyślać słowa?

— Tak. I całe zdania. „Chciałabym pana kochać”, to jest całe zdanie. Potem nie mówiliśmy nic. Szliśmy. Były tylko Czerwone Góry. Czerwone Góry. Czerwone Góry. Przed twoim domem powiedziałaś mi:

— Do widzenia. Będę jutro o ósmej koło apteki.

Jak strasznie długo trzeba czekać, żeby była ósma...

Ósma.

— Jest pani śliczna.

— Bo co?

— Bo chce mi się patrzeć na panią.

— Niech pan patrzy. Mój dzień dzisiaj nie jest dobry, dlatego cieszę się, że mogłam się z panem spotkać. Robiłam duże pranie i bolą mnie ręce, to mi nasunęło mnóstwo refleksji... Smutnych.

— O życiu?

— Nie, o praniu. Że pranie niszczy ręce i skraca dzień. Ubiegły miesiąc miałam skrócony o cztery prania. Muszę się postarać o gospozię. Chciałabym, aby ktoś się o mnie troszczył. Wie pan, miło jest czasem posłuchać takiego gderania, że za dużo palę, za dużo czytam i tak dalej. Nie ma kto na mnie gderać... W ogóle lubię, żeby ktoś był przy mnie. Aha... Kupiłam panu książkę. Chcę mieć przyjemność, aby panu móc coś dać.

Leżałam długo w noc, trzymając w rękach tę książkę, nie czytałem jej, miałem tylko przyjemność posiadania tej książki.

Nie liczyłem dni, nie pamiętam wielu słów, a teraz wracam za Czerwone Góry.

Wyszedłem z pociągu, zostawiłem za sobą wszystko, co jest związane z podróżą, jestem w miejscu, które nazywa się kresem podróży, stoję w punkcie, który znaczy początek tego, co przyjdzie.

Więc jednak wróciłem za Czerwone Góry. Nie wiedziałem, że tutaj wrócę.

Trzeba przejść obok apteki, minąć salon fryzjerski; znów stoi tam fryzjer damsko-męski, jak wtedy. Może on się w ogóle z tego miejsca nie ruszył? Potem jest księgarnia, kiosk z papierosami i jest ulica Miedziana...

Teresa uchyla drzwi, żeby zabrać butelkę z mlekiem. Gospozi jeszcze nie ma, przychodzi zawsze trochę później. Na schodach siedzi Szymon. Mimo iż słyszy skrzyp otwieranych drzwi, nie odwraca głowy.

Teresa bierze flaszkę z mlekiem i wchodzi do mieszkania, zostawiając drzwi otwarte.

Szymon odwraca głowę, widzi te otwarte drzwi. Wstaje. Czeka na słowa. Nie ma słów. Nikt nie mówi mu, żeby wszedł do środka. Drzwi są otwarte, ale nie ma żadnych słów. Po raz ostatni zdobywa się na odruch dumnego samca, schodzi pięć kroków w dół schodów, potem odwraca się i wbiega Skulony i niezdarny w te otwarte drzwi, zamykając je cicho za sobą.

Teresa parzy w kuchni kawę, z całym spokojem i zrezygnowaniem myśląc o tym, że oto wszedł w jej życie niekochany mężczyzna, aby zapełnić jej samotność. Wie, że on tam jest, słyszy, jak zamyka drzwi za sobą. Zostawiła to jemu. Zostawiła te otwarte drzwi, przez które mógł wejść, jeżeli tak bardzo tego pragnął. Wszystko jedno. I tak wszystko jedno...

Ktoś zastukał do drzwi. Słyszy kroki Szymona, potem rozmowę, potem znów trzask drzwi i cisza.

— Kto to był? — pyta Teresa wchodząc z kawą.

— Nie wiem, powiedział, że się pomylił. Wydawało mi się, że go skądś znam... Zresztą mogłem go nawet gdzieś widzieć...

— Nieważne. Pij kawę.

Siódma wersja Judasza

Cokolwiek mógłby powiedzieć o Róży zegarmistrz z naprzeciwka, nie byłoby zgodne z prawdą. Na przykład, gdyby powiedział, że Róża dość swobodnie się zachowuje, albo że często wraca późno do domu, albo wcześniej, czyli rano, albo że trochę pije, a mężczyźni zmieniają się na stopniach prowadzących do jej domu — wszystko to byłyby nieprzemyślane słowa, mogące nasunąć takie lub owakie refleksje świadczące nie najlepiej o człowieku. Takie obserwacje z grubsza dają grube, nieprzyjemne opinie. Ale zegarmistrz z naprzeciwka nigdy nic takiego nie powiedział. Jeden, jedyny raz w życiu naprawił Róży stary zegarek, który ciągle albo przyspieszał, albo się spóźniał i przetrwał już kilku mężczyzn Róży, ciągle się spóźniając albo przyspieszając.

Zegarmistrz od czasu gdy naprawił ten zegarek, kłaniał się Róży, kiedy na chwilę przed otwarciem sklepu wychodził ze swoim psem, a Róża właśnie biegła po zakupy i zastanawiała się: — Skąd ja znam tę cholerną twarz? — Najgorsze są te twarze, które się niby dobrze zna, a mogą należeć do kogoś, z kim się kiedyś przypadkowo piło wódkę w barze albo do dyrektora banku, albo do kuzyna przyjaciółki, oczywiście zegarmistrz nigdy człowiekowi nie przyjdzie na myśl.

Z domu Róży wychodził mężczyzna, aby już nigdy tam nie wrócić. Wyjechał.

Zaraz po jego wyjściu Róża zabrała się do sprzątanía. Nie chciała wcale zasiadać do herbaty i papierosa i myśleć, po prostu zaczęła sprzątać, żeby już raz był koniec z tym bałaganem w pracowni. Potem gdy w pracowni będzie czysto i na stole staną świeże kwiaty, zaparzy mocną herbatę, zapali papierosa, pocieszy się trochę, że jest cicho, że jest dobrze i wtedy już zabierze się do właściwej roboty.

Ten facet jechał pociągiem pospiesznym i czytał „Przegląd Kulturalny”, a Róża w pracowni strugała cieniutkie kołki na nogi dla ptaków. Miała zamówienie na czterdzieści drewnianych ptaków, różnych, niekoniecznie muszą być koguty — tak powiedział zamawiający — mogą być różne ptaki, nawet byłoby lepiej, gdyby były takie trochę egzotyczne. — Ileż tego świństwa nastrugać trzeba, żeby wreszcie były te nogi... I znowu się narobi bałaganu. Zawsze jakiś wiór odskoczy ze stołu, a potem już się nie chce podnosić tych wiórów, jest ich coraz więcej, na całej podłodze wokół stołu, no i nowy bałagan.

— On chyba już dojechał — pomyślała Róża i miała wtedy już wszystkie nogi ptaków i wszystkie tułowia razem z głowami, niektóre nawet z ogonem, ale tylko niektóre, bo innym dorabiała się ogony z czego innego: z drucików, ze szmatek, z piór, z papierków, po prostu jak było trzeba. — Dobrze, że sobie pojechał i że obeszło się bez draki, bez tego długiego gadania i wyjaśniania, i klarowania sprawy, która dawno już nie istniała. Oni zawsze w końcu

muszą coś zrobić, żeby sobie zasłużyć na te zdania:

Idź w diabły. Mam dosyć. Mam dosyć ciebie, tych godzin, kiedy ciebie nie ma, tego całego czekania, potem żegnania, tych godzin milczenia, kiedy ty milczysz, myśląc nie wiem o czym, kiedy ja milczę, wiedząc to, czego ty nie wiesz, kiedy stajemy się zbyt tajemniczy dla siebie, aby to móc znieść. A w końcu o co chodzi? Ja już wiem wszystko o tobie. Ty mówisz: — Nie widziałaś gdzieś mojego ołówka? — Ja pytam: — A po co ci ołówek? — Ty mówisz: — Jak to po co? Potrzebny mi jest. Jeżeli wiesz, gdzie jest ołówek, to mi powiedz. — No więc ja mówię: — Dobra, dobra, nie musisz się wściekać, leży na stoliku pod książką. — Mówię to i myślę sobie: — O rany! Jakie to wszystko nudne; on tu jest i ja tu jestem, zawsze chciałam, żeby był, żeby się kręcił i szukał swojego ołówka albo czegoś innego, albo żeby niczego nie szukał. Niech robi, co chce, żeby po prostu był i na tym koniec. A kiedy jest, kiedy jest tak jak właśnie z tym ołówkiem, to sobie myślę: — I co z tego, że jest? Jest i już. Siedzi tam teraz i rozgryza sprawę Kuby, może do tego jest mu potrzebny ołówek. Mam go tutaj z całym jego kramem, z jego gębą, którą dosyć lubię, zwłaszcza kiedy robi ten grymas ustami i wtedy wiem, że zaraz powie coś ważnego, coś co tylko on wymyślił, chociaż wymyśliło to już milion mężczyzn przed nim. Teraz nagle chcę, żeby pojechał. Chce mi się być samej. Mam kilka klocków miękkiego drzewa, chcę zrobić nową głowę Judasza. Nikt nie jest mi potrzebny, chcę być sama. Dam sobie wreszcie spokój z tymi chłopami. Jak Boga kocham, że mnie już męczą. Chcę być sama. Czterdzieści pierońskich ptaków jest do zrobienia. Ten facet nieźle płaci, potem znów zamówi; trzeba coś jeść i mieć nowy materiał do rzeźby. Fajno jest. Jak dobrze, że on już wyjechał i że nie wróci. Lubię go za to, że się za bardzo nie upierał. Teraz już koniec. Daję sobie spokój z chłopami. Myślę, że już wysiadł z pociągu i rozgląda się za taksówką. Jest wściekły, na pewno będzie długo czekał, na dworcu nigdy nie ma taksówek. Kiedy wróci do domu, wykąpie się, położy się z papierosem do łóżka i będzie się cieszył, że nareszcie wszystko się skończyło. Bądź zdrow, życzę dobrego snu.

Po północy Róża miała skończone z grubsza wszystkie swoje ptaki. Malowała im jeszcze drewniane kadłuby, a potem strasznie się jej chciało pić, ale nie zrobiła herbaty, aż wszystko było skończone. Czterdzieści ptaków stało na stole i miło śmierdziało olejną farbą. Róża poszła do kuchni umyć ręce pod zlewem.

— Znowu te zapaskudzone paznokcie. Nigdy się tego nie domyje. Jakby tak dobrze szorować, to może by się i domyło, ale trzeba by to często i dokładnie robić. Nie chce mi się, chce mi się pić i nie będę szorować rąk, zresztą jutro i tak muszę malować resztę.

Czterdzieści par ptasich oczu obserwowało Różę, kiedy piła swoją gorącą herbatę troszkę siorbiąc, właśnie dlatego że była gorąca, zresztą i tak nikt tego nie słyszał. Kiedyś Róża miała kłopoty przez to siorbanie. Jeden facet, nie ten z pociągu, ale któryś tam, poprzedni, nawet nie jakiś tam czy któryś, tylko konkretnie ten, który był dosyć ważny w Róży życiu; ten facet nie znosił siorbania. To znaczy nie zupełnie nie znosił, tylko w wypadku Róży, w pewnym momencie zaczął tego cholernie nie znosić. Róża najpierw starała się pić bezgłośnie, ale wtedy ze strachu przychodził taki zacisk krtani, że każde łyknięcie herbaty było jak solowe brawo przy milczącej i wrogiej widowni. — Rany boskie! Jakie to było potworne! Brało się łyk herbaty w usta, zatrzymywało się chwilę, serce biło, biło mocno, wtedy nagły moment decyzji: łyknąć, szybko! I właśnie powstawało to głośnie „gul”. To samotne klaśnięcie, przy którym zwykle widzowie oglądają się z dezaprobatą na intruza, a on robi wesołą twarz cwaniaka, nic go to niby nie obchodzi, on patrzy na scenę, jest cały zajęty patrzeniem, zupełnie nie zwraca uwagi na otoczenie, jeszcze się głośnie śmieje. Jest trochę spocony, można powiedzieć, że się cały spocił, ale ostatecznie człowiek po to ma skórę, żeby się pocić,

więc nie ma o czym myśleć, tylko patrzeć na scenę, patrzeć i na Boga, nie spojrzeć na boki! Jeżeli po pierwszym łyku było gulgnięcie, to po drugim musi się stać to samo. Więc co? Przestać pić herbatę? A może za drugim razem się uda? Co będzie, to będzie!

Róży oczy były takie jakby uśmiechały się do najmilszych myśli. Naprawdę, mogłaby sobie teraz myśleć o czymś miłym. Siedzi przecież i pije herbatę i nie ma powodu, żeby się czymkolwiek smucić. No więc: łyk, potem przeczekać bicie serca i szybko... Gul!!! — Cholera. Gulnęło.

On leżał i czytał książkę. To było drugie gulgnięcie. On już drugi raz podniósł głowę nad książki. Powoli oderwał oczy od kartki, powoli podniósł głowę i powoli odwrócił ją w stronę Róży. Róża w dalszym ciągu uśmiechała się do swoich myśli, które były jakieś tam, chyba bardzo oderwane od wszystkiego, w każdym razie na pewno nie związane z gulganiami. — Jakie to może mieć znaczenie? Człowiek pije herbatę nie wiedząc o tym i myśli sobie o różnościach. — To wyraźnie Róża zaznaczyła na swojej twarzy i to było podane do odebrania. Przy czwartym gulgnięciu Róża miała w dalszym ciągu twarz, która mówi o zagubieniu się w przyjemnym rozmyślaniu, ale tak dla siebie postanowiła już ostatecznie, że więcej nie wypije ani łyka. Dzisiaj stanowczo miała pecha. I co się dzieje, że ta krtań tak się zaciska? Byłoby wszystko w porządku, gdyby nie ten zacisk. Ostatecznie może już nie pić herbaty, przecież mogła stracić ochotę do picia. Szkoda, że nie pomyślała o tym przy poprzednim gulgnięciu, bo właśnie przy tym czwartym on odłożył książkę i powiedział:

— Czy mogłabyś przestać gulgać? Róża zdumiała się zdumieniem najprawdziwszym, zdumieniem można powiedzieć klasycznym.

— Słucham? Co gulgać? Co mówisz, kochanie?

— Gulgasz. No...

— Jak to gulgam?

— Gulgasz, pijesz herbatę i gulgasz.

— Jak to gulgam? Piję po prostu.

— Tak, ale gulgasz.

— Dobra, dobra. Piję tak samo całe życie. Nigdy nie mówiłeś, że gulgam.

— Bo nie gulgałaś.

— No właśnie, w tym coś jest. Nigdy nie gulgałam, a teraz gulgam. Dlaczego? Czy nie pomyślałaś o tym? Może to twoja wina?

— Zwariowałaś? Może to, że ci tłuszcz na biodrach rośnie, to też moja wina?

— Ach tak... Rośnie mi tłuszcz... Rzeczywiście... Chyba zacznę się gimnastykować czy co...?

— Rób, co chcesz i naucz się pić.

Róża wstała od stołu, zabrała szklankę i coś tam sobie nuciała, żadną piosenkę, nawet żadną melodię, ot takie tam: la la, ta da, ta ra ra... Po prostu nie miała o czym mówić i nie miała o czym myśleć. Róża dawała do zrozumienia, że nastrój jej nie uległ zmianie, że jest wesoła, bo jej miło, bo on tam leży i czyta, a w domu jest jasno, jest czysto, zaraz weźmie się do swojej roboty, kiedy on tam będzie ciągle leżał i czytał, i to że jej zwrócił uwagę, nic nie znaczy, po prostu nic. Ktoś komuś zwraca uwagę, no to trzeba się dostosować, jeżeli sprawa jest słuszna i załatwiona.

— Tra ta ta ta, la la la, tram pam pam pam pam, tra ra ra...

W kuchni zatrzymała się ze szklanką w ręce i stała tak długo. — Czego on chce ode mnie? Co z nim się dzieje? Bo chyba nie ze mną? Z nim musi się coś dziać. Yhmmm... Trzeba tylko zdobyć się na odwagę i nazwać to. Oczywiście, że ja wiem i on wie, tylko nikt z nas nie ma

odwagi tego powiedzieć... Jeżeli nie przestanę w tej chwili ryczeć, to się strzelę w pysk.

— Co tam robisz tak długo w tej kuchni? — Mówię do cholery, że nie będę ryczeć, to nie będę! On gotów tu przyjść i zobaczy, że ryczałam.

— Ogluchłaś? Co tam robisz tak długo? Róża odchrząknęła pełnym głosem, takim, w którym sama radość, sama beztroska:

— Już idę, nie drzyj się! Gdzieś mi się zgubił ten biały, duży garnek.

— Teraz musisz szukać tego garnka?

— Nie muszę, ale myślałam, że jest tu gdzieś.

— No to wylaż wreszcie z tej kuchni i chodź tutaj.

Róża wygniotła palcami resztę łez, strzepnęła je na podłogę, potem palce wytarła w spódnicę i zaczęła znów swoje: tram tam tam i la la, tra tra, la pa, la pa, la pa, ale wydało jej się to głupie, więc dała spokój i weszła do pokoju z dużym białym garnkiem, oglądała go z całą uwagą i tylko na ten garnek patrzyła.

— No, znalazł się, był pod stołem. Myślałam, że jest Bóg wie gdzie.

— Znowu się czepiłaś tego garnka. Czy ty pamiętasz tę scenę ze „Sporu o sierżanta Griszę”? Wtedy jak go prowadzili na rozstrzelanie?

— Pamiętam... Bo co?

— Pamiętasz dobrze?

— Nie bardzo, a co?

— Nic, myślałem, że pamiętasz. To była najlepsza scena. Człowiek się cholernie boi śmierci. Nawet kiedy chce, żeby już był koniec, nawet wtedy, kiedy tego naprawdę chce, to i tak cholernie się boi.

— Czytasz teraz „Griszę”?

— Nie, „Nagich i martwych”.

Potem chyba z godzinę, może dwie, a może więcej albo mniej, byli razem; on leżał, czasem się podnosił na łokciu i mówił. Róża siedziała obok i rozmawiali, rozmawiali już o różnych rzeczach; można zacząć od śmierci, ale nie musi - się na niej skończyć. Rozmawiali długo, a Róża od czasu do czasu myślała: — Co z tym cholernym gulganem? Siedzimy tutaj i mówimy. Siedzimy i słuchamy sobie i możemy tak wiele godzin siedzieć, a jednak dawniej nie gulgałam, to jest nie miałam tego zacisku krtani. To jednak jest TO, tylko trzeba mieć odwagę powiedzieć głośno... Nazwać...

Po kilku miesiącach, podczas jednej ze scen, które się coraz częściej powtarzały, Róża odważyła się głośno powiedzieć. Nie, ona tego nie powiedziała, ona krzyczała:

— Bo ty mnie nie kochasz! Wszystko jest złe! Wszystko cię drażni! Mam zacisk krtani ze strachu! Boję się, że cię drażnię! Boję się łykać herbatę, bo może się zdarzyć, że gulgnę, no i gulgam! Przez to! Nie kochasz mnie! Wszystko dlatego! Słyszysz!

— Przestań się drzeć! Po prostu naucz się pić herbatę!

— Dobra, dobra, idź w diabły. Już nic się nie da zrobić. To jest koniec. Dobrze wiesz, że to koniec. Potem Róża wysprzątała pracownię. Herbatę piła po sprzątaniu. — Dobrze, że go już nie ma. I tak kiedyś musiał odejść. Rany Boskie! Jakie to było okropne! Czy nie można sobie wcześniej tego wszystkiego powiedzieć? Wcześniej nim się zaczniesz gulgać? Ba! Wcześniej nie ma o czym mówić, w każdym razie nie na ten temat...

I on odszedł. Został po nim tylko ten stary zegarek, który Róża dała do naprawy i jeszcze można go było używać, tyle tylko, że zawsze trochę się śpieszył albo spóźniał... To mu już do końca zostało.

Róża uśmiechała się nad swoją szklanką herbaty, potem oparła głowę na stole, tak trochę

bokiem i robiła miny do purpurowo-szafirowego ptaka, jakby go przedrzeźniała, że jest taki ważny, napuszony, taki cholernie ważny samiec w przededniu okresu godów.

— Och, wy ptaki! Spieprzać mi ze stołu, bo muszę skończyć mojego Judasza.

I ptaki poszły na podłogę pod kaloryfer. Jak wyschną, weźmie je ten facet z CPLiA.

— Kupię sobie zapas drzewa. Jeszcze chcę innego Judasza. Mam go już w głowie, wiem jaki ma być...

Róża rzeźbiła w drzewie już od wielu lat. Najbardziej lubiła robotę przy świątkach. Żyła z ludźmi i ze świętymi jednakowo dobrze i w takiej samej poufałości.

Kiedyś przyjaciele przyprowadzili do niej jakiegoś barmana z knajpy. To już było nad ranem, knajpę zamknięto, a trzeba było gdzieś się dopić, więc przywlekli tego faceta, oczywiście z całą zawartością jego kieszeni, czyli dwoma butelkami koniaku; chcieli mu pokazać dużo świętych i wszystkich naraz. Ten gość zupełnie oszalał, nigdy nie był w pracowni, gdzie się rzeźbi w drzewie. Siedział na podłodze między świętym Jerzym zabijającym smoka a Michałkiem z trąbką (Michałek to taki wiejski niedojda, któremu Pan Bóg odebrał rozum na korzyść kogoś innego, ale to już inna historia), siedział więc tam ten barman, pił swój koniak, który mu skromnie wydzielano, aby starczyło dla wszystkich, a potem i jemu Pan Bóg odebrał rozum, jak temu Michałkowi, bo nagle skoczył, chwycił Różę za nogi, zaczął całować jej kolana i wrzeszczeć, że nigdy nie widział takiej pięknej dziewczyny, takich świętych, takiego ptactwa i takiego wszystkiego, co tu jest. Musieli barmana odrywać od kolan Róży i choć im żal było, to spili go na trupa tym jego koniakiem, bo nie było innego sposobu, aby go obezwładnić. Potem przez kilka tygodni pili za darmo w tym barze, bo on chciał, żeby pili za zdrowie Róży i chciał tam jeszcze kiedyś pójść, ale go nie zaprosili. I tyle tylko barmanowi zostało, albo też było dane, aby nigdy nie zapomniał, że za cztery butelki koniaku otrzymał drewnianą krowę, bardzo grubą, z bardzo mądrymi oczami. Tę krowę postawił w barze między butelkami i ona tam ciągle jeszcze stoi, a on pamięta i będzie to wielu ludziom zawsze opowiadał, że kiedyś poznał prawdziwą artystkę rzeźbiarkę. Niektórzy nie wierzą mu, ale przecież jest tam ta krowa, bardzo prawdziwa krowa z mądrymi, krowimi oczami.

Jeszcze daleko było do końca nocy. Róża lubiła pracować w nocy, może dlatego, że bała się ciszy i ciemności. Wtedy kiedy wszyscy rezygnują z walki z życiem i zamykają oczy, aby na chwilę zapomnieć, wtedy kiedy także zegarmistrz z naprzeciwka po kilkakrotnym ziewnięciu odłożył gazetę, zdjął okulary i już na pamięć sięgnął ręką do kontaktu lampki nocnej, aby ją zgasić, a potem przez uchylone usta wypuszczał takie pyk, pyk, bardzo cichutkie i śnił na pewno o zegarach dużych i mniejszych i że one przyspieszają, on je naprawia, a one ciągle, ciągle, nieustająco przyspieszają. — O Jezu! — jęczy przez sen zegarmistrz i w ciemności bezsilnie porusza dłoń, chce znaleźć byle jakie narzędzie, żeby uderzyć w ten mechanizm, niech nareszcie nie przyspiesza.

Wszyscy biedni zegarmistrze świata, śpijcie dobrze. Jest noc, więc śpijcie. Nie myślcie o tym, że Róża siedzi w nocy i robi drewnianą głowę Judasza, to także jest zły sen, taki jak ten o przyspieszaniu czasu.

Róża delikatnie wyskrobywała dłutkiem rowki: rowek przy rowku, rowek przy rowku, robiła głowę Judasza i jego piękne włosy. Róża uważała, że Judasz był piękny.

— Ta głowa Judasza przypomina mi kogoś— powiedziała kiedyś Kalwaria, przyjaciółka Róży. (Kalwaria to było imię wymyślone, nikt już nawet nie pamięta przez kogo).

— Ależ tak, i nie tylko przypomina, to jest on — odpowiedziała Róża.

— Czemu właśnie jego głowę dałaś Judaszowi?

— Bo on jest piękny i Judasz ma być piękny.

— Judasz był zły.

— Był zły, ale był zły mądrą złością. Jeżeli ktoś popełnia nikczemność celowo, wtedy wymierzenie kary za nikczemność jest jakieś bardziej etyczne; nie można powiesić kozy za to tylko, że niechcący wybiła chłopu oko, gdy jej zaglądał w pysk na jarmarku.

Róża rzeźbiła w drzewie szóstą wersję Judasza. Rowek przy rowku, rowek przy rowku... Przepiękne, spływające na ramiona włosy Judasza. Judasz miał twarz tamtego chłopca. Oczywiście w tej chwili, już zresztą dawno, nie było mowy o czymś, co się nazywa miłością, ale Róża lubiła wracać do tej atmosfery miłości. Strzępki tamtych wrażeń poniewierały się jeszcze po kątach, jeszcze stała butelka z wodą kolońską, której wtedy używała, i chociaż dzisiaj nie było już tego kochania, zapach wody na chwilę dawał moment objawienia, krótką, najkrótszą chwilę pełną tamtych czasów. Róża naprawdę nie tęskniła do tych minionych spraw, wszystko to było, przeszło, żadne wracanie nie ma sensu, tylko że było dobrze tak czasem nagle stanąć na środku pracowni i przeżyć na moment wrażenie jakiejś cholernie dobrej chwili, która kiedyś tam była. Róża rzeźbiła jeszcze ciągle tego chłopca dlatego tylko, że był piękny i że rzeźbiąc, właśnie rzeźbiąc tego chłopca, czuła nasycenie godzin czymś niespełnionym, czymś co było tak naprawdę dobre i nie wiadomo jakie, bo niespełnione.

Niejeden raz zegarmistrz z naprzeciwka, podnosząc głowę znad roboty, aby dać odpocząć oczom, widział tego chłopca, wchodzącego do domu Róży.

— Kim jesteś, Rózo?

— Och, nie wyglupiaj się.

Róża śmieje się i trochę przekrzywia głowę i patrzy, tak bokiem, przymrużonymi oczami i ciągle uśmiecha się, bez końca, i robi jego głowę, podczas gdy on patrzy na nią długo, długo, i nie wiadomo, co to patrzeć znaczy, ale jest piękne wielkie patrzeć ogromne patrzeć, a na samym dnie tego patrzenia jest coś, czego się nie da określić, bo słowo miłość jest zbyt często używane, zbyt często, aby je tutaj można było jeszcze raz użyć.

— Rózo...

— Tak, tak, siedź i nie kręć się.

Wióry na podłogę nie spadają, one się osuwają. Róża rzeźbi tę piękną głowę i pozwala osuwać się wiórom i czuje je na swoich stopach i jest tym razem inaczej niż wtedy, kiedy spadają wióry z kadłubów ptaków.

— Ależ jesteś piękny! Piękny jesteś...

— Ładnie to mówisz.

— Kiedy musisz odejść?

— Nie wiem... Chyba niedługo będę musiał pójść...

— Yhmmm...

Jest bardzo długie milczenie. Słysząc tylko spadające wióry. Trwa to przez długą chwilę, a potem on już będzie musiał pójść. To jest wiadome od dawna. Od dawna wie, że on musi za chwilę pójść, zawsze tak jest, więc już nie potrzebuje o tym myśleć.

— Kiedy przyjdiesz?

— Jak tylko będę mógł.

— Yhmmm...

— Daj mi rękę...

— Nie, nie, nie. Idź już. Tak... Tak... Idź, No... Proszę cię, idź.

— Rózo?

— Tak?

— Nie będziesz więcej o tym myśleć?

— Nie, nie będę. Idź już, proszę cię.

— Idź zaraz spać. Dobranoc.

— Aha. Dobranoc.

Poszedł. Nie jest jej wcale źle, że poszedł. Tutaj nie ma o czym mówić; poszedł i zawsze będzie musiał pójść. Róża kończy jego głowę, chociaż dawno go już nie ma... Już na pewno śpi. — Dobrze, że już wreszcie jest rano. Wszystko o świcie wydaje się o wiele mniej skomplikowane. Witaj, rano! Czołem, wróble! Schrzaniać z parapetu, bo wysypuję okruszyny! No! Uwaga! Teraz zamykam okno. Proszę bardzo, proszę się zająć śniadaniem. Smacznego.

Rowek obok rowka misternie wyrzeźbiony; przepiękne są te włosy Judasza. To jest Judasz rozmyślający. Siedzi lekko pochylony w tył, z rękami splecionymi na kolanach. Twarz ma zwróconą do okna, za którym jest kościół i dachy domów. Róża oparła rękę i brodę na głowie Judasza i również patrzyła w okno, za którym był kościół i dachy domów. Była noc. Godzina nasycona zapachem kwitnących za oknem drzew owocowych. Godzina nasycona nocą. Godzina spokoju. — Jezu! Jak ja lubię żyć! — Róża wdychała głęboko coś, co nie było powietrzem nocy; ona wdychała życie.

Była już blisko czwarta nad ranem, Róża robiła swoją szóstą wersję Judasza, była dosyć zmęczona, ale nie chciała iść spać, chciała poczekać na pełne rano. — Raz wreszcie skończę z tymi chłopami! Tak naprawdę, to wolę być sama. Jak to fajno jest wyskoczyć rano z łóżka, a tu na człowieka czekają klocki drzewa, jeszcze nic nie ma, gołe klocki, a mnie się tak już chce chwycić jeden z nich i wziąć młotek i dłuto. Nawet ze śniadaniem sobie nie zawracam głowy, żrę byle jak, tyle tylko, żeby móc za chwilę zapalić papierosa, nawet nie wiem, kiedy jest południe, a potem nagle robi się wieczór, a ja mogę już twarz w twarz zasiąść z moim nowym Judaszem i patrzeć jaki on jest dziwny, cholera, i jakie ma oczy: za duże i za bardzo smutne, a mnie jest tak wesoło, tak, rany boskie wesoło! Mam go przed sobą, ręce mi się trochę trzęsą ze zmęczenia, za chwilę zrobię herbatę, będę sobie lekko siorbać, albo nie, i przyglądać temu gotowemu draniowi i będę się dziwić, skąd on się tu wziął, taki zamyślony, z tymi swoimi oczami trochę za dużymi i trochę za smutnymi. Stanowczo raz na zawsze skończę z tymi chłopami. Najlepiej mi jest, kiedy jestem sama. Wystarcza mi towarzystwo moich świętych, im nie trzeba będzie kiedyś powiedzieć: — Dobrze, dobrze, idź w diabły. To już koniec i oboje to wiemy. — Jestem sama i jestem królową. Jestem najmądrzejsza, najpiękniejsza i najlepsza. Nikogo więcej nie ma, więc nie będzie żadnych porównań. Święci siedzą cicho, nie zaprzeczają temu, co ja mówię, nie wsłuchują się w moje milczenie, nie kombinują, co to milczenie może znaczyć, nie zadają pytań, na które nie chcę odpowiedzieć, nie mają żon, do których muszą wracać, nie znają dziewczyn, za którymi mogliby tęsknić. Są mi wierni absolutnie, są mi posłuszni, a ponieważ milczą i nie zmieniają wyrazu twarzy, mogę przypuszczać, że mnie uwielbiają, że zachwycają się mną. Mają oczy za duże i trochę za smutne, wsłuchują się w szmer starego zegarka, który zawsze trochę się spóźnia albo trochę przyspiesza i biorą udział w czekaniu na przemijanie czasu. Udał mi się chyba ten Judasz. Judasz zdrajca. Pojął zło, które uczynił, więc decyduje się odejść. Czy to jest zadośćuczynienie za popełnioną nikczemność? Zatrzymał czas, który śpieszył razem z nim nie wiadomo do czego. Po co się robi takie rzeczy? Nie moja sprawa. To jest sprawa biblijnej opowieści. Tak było. On zrobił to świństwo i potem się powiesił. Zatrzymał czas i wszystkie

diabły brały w tym swój cholerny udział. Podobno wtedy kiedy on się wieszał, był wicher. W każdym razie dobrze, że to zrobił, bo mnie jest potrzebny do tego, aby go zrobić z tym ponurym zdecydowaniem i z tymi oczami, trochę za dużymi i trochę za smutnymi. Udał mi się ten Judasz. Nareszcie skończyłam tego drania. Witaj, życie. Witaj, rano. A teraz spać. Jak Boga kocham, mam dosyć tych chłopów. Chcę być sama...

Ktoś szedł po schodach. Ktoś zatrzymał się przed drzwiami Róży. Ktoś zapukał.

— Jaką cholereę tu znów niesie? Kto tam?

— Spisz? Róża otwiera drzwi.

— Nie śpię, ale chce mi się spać. Po coś przyszedł?

— Mówiłaś kiedyś, że mogę przyjść, jak będę chciał z tobą pogadać...

— I właśnie dzisiaj? No dobrze, dobrze, siadaj. Chcesz herbaty?

— A wiesz, że chętnie. Nie wiedziałem, czy znajdę twój dom. Nie powiedziałaś mi adresu, tylko, że dwa domy dalej za księgarnią. Ale znalazłem. — Pijesz mocną?

— Jeżeli można prosić, to mocną.

Podczas gdy Róża parzyła herbatę, chłopak rozglądał się po pracowni i zatrzymał wzrok na szóstej wersji Judasza. Trochę za dużymi i za smutnymi oczami patrzył w za duże i za smutne oczy Judasza.

Róża parzyła w kuchni herbatę i zmęczona powtarzała ciągle tę samą myśl: — Mam dosyć tych chłopów. Stanowczo raz na zawsze muszę zrobić z tymi chłopami koniec. Mam dosyć tych chłopów.

Potem usiadła obok chłopca i podała mu herbatę.

— Pij. Która u ciebie godzina? Ten drań znów śpieszy, jakby chciał wyprzedzić ciebie i mnie i to wszystko co będzie dopiero jutro.

— A co będzie jutro?

— O Jezu! Zadajesz głupie pytania... A czy ja wiem...?

Melodramat

Te stare domy aktora z długim korytarzem, z niezliczoną ilością drzwi oznaczonych wizytówkami i z maszynką gazową, wspólną dla wszystkich, umieszczoną mniej więcej pośrodku korytarza, te stare domy aktora są już przeszłością. W tych starych domach jest zawarta prawdziwa i jedyna treść teatru. Tam poprzez zapach przypalonej cebuli czy mleka, które wyleciało z garnka, przedziera się prawdziwe życie ludzi teatru. Może aktorom nawet w życiu prywatnym potrzebna jest sceneria, dekoracja, rekwizyt, coś co jest odrealnione w swojej zewnętrznej postaci, może to wszystko jest potrzebne, aby mogli pełniej swoje życie przeżyć; wspanialej się kocha w takiej scenerii, okrutniej cierpi i mocniej nienawidzi.

Wielki, oszklony ze wszystkich stron nowoczesny budynek teatru, ludzie, z których każdy ma jakieś M-2, M-3 czy M-100, to już nie to! Jaką wymowę ma śmierć w M-3, w pokojach z wielkimi oknami, z których w jednym znajduje się nawet balkon, nieduży, ale jednak mówiący o luksusie, bo zawsze można tam wpuścić psa, aby się wysiusiał. Albo na przykład chęć targnięcia się na życie w okaflowanej łazience, gdzie w wannie moczą się podkoszulki męża w doskonałym proszku „E”? To nawet by było niesmaczne chcieć powiesić się w takiej łazience.

Natomiast wtargnąć do małej komórki z napisem WC w starym domu aktora, do komórki, która zamyka się na wielką zasuwę, do komórki z małym okienkiem, o którego szyby

uderzają zeschnięte gałęzie starej lipy i wysuszone muchy śpią wiecznym snem w otoczce pajęczej osnowy, to ma sens! Zwłaszcza że każdy tu wszystko wie o każdym, więc i to, że ktoś właśnie przebiegł z oszalałymi oczyma, ze sznurem od kotary że zamknął się mocno zasuwając za sobą zasuwę i można było z łatwością się domyślić, że cel tego pośpiechu nie był normalny, że trzeba natychmiast reagować, wyważać drzwi, krzyczeć, wołać o pomoc, siłą wyciągać samobójcę, wlać w niego łyk koniaku, lub w najgorszym razie czystej z czerwoną kartką, i tłumaczyć, tłumaczyć, że wszystko jeszcze będzie dobrze, wszystko musi być dobrze, bo nie może być bez przerwy źle.

Znikają stare domy aktora i jeżeli ktoś już się decyduje wejść do jasnej, okaflowanej łazienki, gdzie w wannie moczą się podkoszulki męża w doskonałym proszku „E”, nie będzie nikogo w pobliżu, kto by widział oszalałe z bólu oczy i chociaż nikt nie zarygluje głośno drzwi łazienki, nie znajdzie się też nikt, kto by te drzwi chciał chociażby uchylić i zajrzeć. Żadne zeschnięte gałęzie drzew nie będą uderzać w okno, za którym człowiek będzie dokonywał ostatecznego rozrachunku z życiem, po prostu w swoim czasie wyniesie się ciało, ktoś wreszcie wypuści wodę z wanny i spłucze osad po proszku „E”.

Śmierć też potrzebuje oprawy, zwłaszcza jeżeli to jest śmierć aktora.

Adam umierał. To było pewne. Na korytarzu w starym domu aktora szeptało się o tym, że

Adam chyba długo nie pociągnie, ale o czym się nie mówi na tym korytarzu... Nikt nie jest w stanie odróżnić plotki od prawdy, w końcu wszystkie plotki przyjmuje się za prawdę i każdą prawdę za plotkę. Może Adam rzeczywiście umierał, a może był to tylko „numer”, aby wystraszyć dyrektora, bo Adam był potrzebny bardziej niż ktokolwiek, Adam był wspaniałym aktorem, nie był to byle kto, jeżeli dla niego trzymało się jego żonę w teatrze i nawet nie dawało się jej do zrozumienia, że jest już niepotrzebna; dawno przekroczyła czterdziestkę, co jest oczywiście błędem nie do wybaczenia, jeżeli się jest amantką. Ewa ciągle była amantką, bo nie mogła nikim innym być. Żeby jeszcze była amantką charakterystyczną! Ale ona była amantką liryczną!

Ewa: wąskie szparki wśród spuchniętych powiek — kiedyś to były oczy. Mówiło się, że ma fascynujące oczy. Jej nos specjalnie nigdy nie był piękny, bo był trochę za krótki i z dosyć wyraźnymi dziurkami, usta też za pełne, ale może przez to z wyrazem, jak mówili, zmysłowym, śliczny owal twarzy jak u Madonny i popielate włosy. Teraz zostały tylko szparki w obrzmieniu powiek, dziurki w nosie zrobiły się jeszcze bardziej wyraźne, usta jakies miękkie, jak bardzo, bardzo pogniecione płatki róży, owal twarzy przestał być owalem: w pewnych miejscach nagle się wybrzuszał, a w innych znów był Wklęsły, no i szyja: cienkie pofałdowane skórki ciągnące się od podbródka aż gdzieś hen za dekol. Z włosów zniknęło złoto i popiel, w ogóle trudno je było nazwać włosami, to był raczej rzadki meszek, na dobitkę jeszcze spalony na samym przedzie przez ostatnią trwałą ondulację, z miejscem odrastającym, podłużnym jak malutka szczoteczka do czesania wąsów.

Ale Ewie nigdy dyrektor nie powiedział;

Droga pani Ewo, przykro mi, bo ja też jestem człowiekiem i rozumiem życie, jednak muszę zrezygnować z dalszej współpracy z panią. Proszę mnie źle nie zrozumieć; jest pani wspaniałą aktorką, ale publiczność chce oglądać na scenie młode amantki. Myślę, że gdyby pani wyjechała do jakiegoś mniejszego miasta... Tam się odczuwa głód aktorów, a tu mamy sterty ofert... Trzeba dać młodym możliwość startu. W końcu muszę też myśleć o sprawach ekonomicznych teatru; potrzebny mi jest etat. Nie mogę blokować etatu dlatego tylko, aby pani nie zrobić krzywdy. Nie chcę nikogo krzywdzić, ale cóż robić? Życie jest okrutne. Myślę, że rozstaniemy się jak przyjaciele...” Ewa nigdy nie usłyszała podobnych słów, ale

znała je na pamięć. Powtarzała je stale w myśli. Wiedziała, że kiedyś je usłyszy, jeżeli tylko coś stanie się z Adamem. Dokąd Adam był, wszystko wyglądało na pozór wspaniale! Każdego roku szła z Adamem i podpisywali razem kontrakt na następny sezon. Dyrektor całował jej ręce i mówił, że tak się cieszy, że będą mogli dalej razem współpracować. Cieszył się, widząc już Adama w jakiejś nowej roli, która znów zapewni mu kasę, bo publiczność waliła zawsze drzwiami i oknami, kiedy grał Adam.

Adam leżał z dłońmi wyciągniętymi na kołdrze, od czasu do czasu zaciskając palce, jakby je chciał wbić w kołdrę, wtedy równocześnie zmrugały się oczy, poza tym nic więcej nie wskazywało na ból, który bez przerwy w nim był, czasem nasilając się, właśnie wtedy kiedy na chwilę następowało zmruczenie oczu... Cisza. W ciszy głośnie tykanie zegara i od czasu do czasu brzęczenie jedynej muchy.

Ewa siedziała na małym krzeselku i śledziła lot muchy. Kiedy mucha przysiadła, oczy Ewy nieruchomiały, aż do momentu ponownego lotu owada. Błękit oczu w wąskich szparkach uważnie kontrolujący lot muchy. Mucha przysiadła na dłużej. Oczy nie miały się czym zająć. Ręce Ewy zaczęły drżeć i zaraz potem szukać czegoś wokół siebie. Adam przechylił głowę na bok i spojrzał na Ewę. Wpatrzyła się w niego uważnie.

— Jak się czujesz? — W pytaniu Ewy był lęk.

Adam westchnął:

— Jest dopiero godzina dziewiąta rano, a ty mi już dziesiąty raz zadajesz to samo pytanie. Czy mogę w ciągu kilku chwil czuć się lepiej?

Ewa pochyliła się nad Adamem.

— Powinieneś! Musisz! Żądam, żebyś się czuł lepiej!

— Ewa, ja naprawdę jestem chory. Nie męcz mnie.

Ewa zerwała się z krzeselka i zaczęła krążyć po pokoju. Zaciskała palce, to znów przeczesywała nimi włosy, dotykała szyi, wykonywała mnóstwo bezwiednych gestów.

— Całe życie żądałeś czegoś ode mnie! — Wyrzucała krótkie, urywane zdania. — Czystych koszul, spokoju, dobrego obiadu, wyrozumienia, kiedy przychodziłeś zalany... Teraz ja żądam od ciebie zdrowia! Musisz być zdrowy! Rozumiesz?

Adam szepnął zmęczonym, proszącym głosem:.

— Ewa...

— Nie chcę nic słyszeć! — Ewa przysłoniła sobie dłońią uszy i stanęła na chwilę pośrodku pokoju, potem znów zaczęła swój niespokojny marsz. — Zmobilizuj się! Podobno to jest najważniejsze w chorobie: chcieć być zdrowym! Adam! Musisz! Nie możesz mi tego teraz zrobić! — Nagle schwyciła się za głowę i zaczęła płakać: — O Boże! Chyba zwariuję!

Adam, patrząc na biegającą Ewę, próbował wzmocnić trochę głos i uspokajająco tłumaczył:

— To z pewnością są plotki. Nie wierzę, żeby coś takiego mogli zrobić.

Ewa zatrzymała się przed Adamem i wpatrywała się w niego wzrokiem, w którym nie było nienawiści, chociaż słowa mogły nasuwać takie podejrzenie. Wyrzucała słowa, z których sensu nie w pełni zdawała sobie sprawę: — Nie wierzysz? Bo ciebie po prostu nic nie obchodzi! Ty sobie spokojnie umierasz i nic cię już nie obchodzi! A ja muszę żyć! Co ciebie może obchodzić, że mnie zwolnią?! Jestem amantką po czterdziestce... Komu potrzebne są stare amantki? Tam się rozstrzyga mój los, a ty patrzysz swoimi słodkimi oczyma w sufit i po prostu chcesz mieć spokój. Teraz kiedy wszystko się wali! Czy zrobiłeś coś dla mnie w życiu? Nic! Czy zażądałeś kiedyś dla mnie dobrej roli? Musiał odpowiedzieć, chociaż każde zdanie było dla niego wysiłkiem. Chciałby, aby pozostawiono go w spokoju, aby nie wpatrywano się w niego z przerażeniem, chciałby być niezauważony, sam ze swoimi sennymi

myślami, w których fragmenty minionych zdarzeń mieszały się z nierzeczywistymi, sennymi obrazami: olbrzymie wrzosowiska... Tysiące małych różowych kuleczek wśród koronkowych, szarzielonych listków i plamy rdzawej ziemi wśród wrzosowisk... Ewa w sukni koloru ochry, w sukni, którą lekko unosi wiatr, Ewa -na łące, a łąka pełna polnych kwiatów; wszystkie kolory świata i wszystkie kształty zawarte w tej łące i oszalały świergot ptaków wysoko pod niebem, i szmer owadzych skrzydeł, i bzykania ponad łąką, i zapachy, zapachy, zapachy,...

— Tak pachnie łąka latem — ostatnią myśl wypowiedział głośno do siebie.

— Co mówisz? — Ewa nachyliła się nad nim. Adam z wysiłkiem starał się przypomnieć sobie, o czym Ewa mówiła, na jakie pytanie miał odpowiedzieć... Aha! Mówiła coś o dobrych rolach... I co on dla niej zrobił w życiu... Nie miał pojęcia, co zrobił dla niej, ale musiał odpowiedzieć na pytanie. Powiedział:

— Zawsze angażowali cię ze mną. Nie miałaś nigdy kłopotów z angażowaniem, bo zawsze angażowali cię ze mną.

— Angażowali! Angażowali! — krzyknęła Ewa. — I co z tego, że mnie angażowali? Ale co zrobiłaś dla mnie poza tym, że mnie angażowała?! — nachyliła się nad nim, czekając na odpowiedź.

Chociaż oczy Adama były skierowane na Ewę, nie przyjmował obrazu jej napiętej i obrzmiałej od łez twarzy. Oczy Adama znów powróciły na łąkę i zatrzymały się na postaci Ewy w sukni koloru ochry. W ręce trzymała kwiatek, małą lodyżkę, na której drżały kwiatki w kształcie dzbanuszków o płatkach z przezroczystego błękitu.

Ewa pochyliła twarz jeszcze niżej. Oczy Adama były zamglone, dalekie, nierozumiejące. Przeraziła się. Objęła jego głowę, mówiąc:

— Och! Adi, przepraszam cię... O czym ja mówię?! Nie zwracaj na mnie uwagi! — Oderwała się od głowy Adama, znów zaczęła krążyć po mieszkaniu z rękami wczepionymi we włosy. — Jezus Maria! Ja zwariuję! Naprawdę! Żyliśmy tyle lat ze sobą... Było cudownie... Gdzie jest fenactil? To podobno zażywają tylko wariaci. Ale ja przecież wariuję... Gdzie jest fenactil? Matko Boska, gdzie ja położyłam fenactil?! — zaczęła opróżniać szufladkę nocnego stolika, wyrzucając wszystko na podłogę.

Znów ból skurczył twarz Adama. Ból przywrócił świadomość rzeczywistości. Spojrzał na Ewę. Siedziała na podłodze, stara, umęczona, z potarganymi włosami, z oczyma bardziej niż zwykle podpuchniętymi... — Biedna Ewa, jak a sobie poradzi beze mnie? Chciał ją pocieszyć:

— Tak mi przykro, Ewa... — powiedział.

Ewa sądziła, że słowa Adama odnoszą się do wyrzutów, które mu robiła. Przysięgła sobie, że już nie powie nic na ten temat. Postanowiła być dzielna. Ciągłe przerzucając przedmioty nocnego stolika w poszukiwaniu fenactilu, rzuciła prawie wesołym głosem:

— Nie myśl o tym wszystkim, co powiedziałam. Wiesz, że zawsze mówiłam nie to, co trzeba. Sam widzisz, że wariuję, więc nie dziw się, że plotę od rzeczy... Jak się czujesz? Och! przepraszam cię, nie będę więcej o to pytać — rozplakała się, beznadziejnie bezradna, że nie może znaleźć tego fenactilu i że znów zadaje pytania, których nie chciał słyszeć.

Adam wiedział, że musi teraz zacząć mówić o czymś konkretnym, aby przerwać płacz Ewy. Płacz Ewy sięgał głębiej niż tkwiła jego choroba. Nie potrafił się niczym od tego płaczu odgraniczyć. Słowa Adama zatrzymały ręce Ewy.

— Skąd wiesz? — zapytał Adam. — Kto ci mówił, że będą zwalniać stare... to znaczy amantki po czterdziestce?

— Wszyscy już o tym wiedzą! — krzyknęła Ewa i zostawiła na chwilę bałagan na podłodze. Podpierając się ręką z trudem wstała z klęczek i podeszła do Adama. — Nie ma człowieka, który by o tym nie wiedział. Tylko ty, biedaku... — Pochyliła się nad Adamem i przytuliła twarz do jego włosów. Usiadła na krzeselku przy łóżku, głaskała włosy Adama czule i delikatnie. Nagle ręka zatrzymała się w ruchu. W oczach pojawiła się nowa myśl. Ręka z włosów Adama przeniosła się szybko na rękę położoną na kolanie; teraz te dwie ręce splotły się ze sobą, wykonując szybkie, nerwowe gesty zaciskania i rozprostowywania palców. Ewa rzuciła krótkie spojrzenie, raz na Adama, raz gdzieś w przestrzeń, cała zajęta tą nową myślą.

— Adam, słuchaj — mówiła gorączkowo. — Jeżeli ten drań, dyrektor, tu przyjdzie... A na pewno przyjdzie sprawdzić, jak się czujesz. Powiedz mu, że coraz lepiej! Nie odważy się dać mi wymówienia! Zostawi mnie dla ciebie. Może uda mi się jeszcze ten rok... Kiedy już podpiszę umowę, to mnie musi zostawić... Rok to dużo... dla mnie. Jesteś mu bardzo potrzebny, przyjdzie na pewno sprawdzić. Będziesz sobie leżał spokojnie i mówił swobodnym głosem. Powiesz, że czujesz się zupełnie dobrze. Uwierzy ci! Możesz coś zażartować. Opowiesz któryś ze starych kawałów!

Ewa natchniona nową nadzieją, jakby na chwilę zapomniała o chorobie Adama, rzuciła się do porozrzucanych przedmiotów na podłodze, zaczęła je zgarniać wprost do szuflady, potem siłą wcisnęła szufladę na swoje miejsce, dopychając kolaniem, ponieważ jakiś przedmiot zaczepił się bokiem i szuflada nie chciała się zmieścić na swoim miejscu.

Adam z zadowoleniem zauważył zmianę nastroju Ewy. Chętnie wziął udział w tym spisku, aby tylko Ewa nie powracała do nastroju rozpacz.

— Pilnuj, żeby nie odsłaniał zasłon w oknach! — przestrzegał Ewę. — W tym półmroku wyglądam jeszcze nie najgorzej...

— Odetnę mu łapę, jeżeli czepi się okien! — krzyknęła porywczo Ewa. Nagle zatrzymała się z uniesionymi w górę piórami do odkurzania. — O Boże! Co ja mówię? — wyszeptwała przerażona. Rzuciła na podłogę miotłkę z piór i znów podbiegła do jakiejś szafki. — Gdzie jest fenactil? — Fenactilu nie było w szafce, więc przebiegała pokój, szukając w innym miejscu.

Adam zasłonił ręką oczy.

— Ewa nie biegaj tak po pokoju, ogromnie kręci mi się od tego w głowie.

Nie przestając szperać w Jakis szpargałach, mówiła przepraszająco:

— Tak, kochanie, już siadam... tylko ten fenactil. Znajdę go i nie będę się kręcić... Dorę już zwolnili, wiesz? Przecież jest jeszcze piękna... W każdym razie ze sceny, bo tak z bliska... te jej pory na twarzy. Dora ma twarz jak cedzak, ale z widowni tego nie widać... — Zabrzęczały szklanki i butelki w barku. Ewa wciskała ręce między ciasno ustawione butelki, spośród których wyciągnęła jakieś małe pudełko. — No, nareszcie! — krzyknęła uradowana. — Wiesz, gdzie był fenactil? W barku! Powinnam od razu domyślić się, że tam jest!

Zasyczał syfon. Ewa nalala sobie wody do szklanki. Wrzuciła lekarstwo do ust, popijając je wodą, ale natychmiast zakrztusiła się i wypluła pastylkę na dłoń.

— Nigdy nie mogę przełknąć lekarstwa — poinformowała Adama, choć wiedział o tym dobrze od dawna. — Co to jest? Albo mam za mały przełyk, albo robi mi się zacisk krtani wtedy, kiedy łykam. — Znów włożyła lekarstwo do ust, tym razem gryząc pastylkę. Skrzywiła się z niesmakiem i popiła całą szklanką wody. Teraz już spokojniejsza, chociaż lekarstwo nie zaczęło jeszcze działać, ale wystarczyła jej świadomość, że je zażyła. Zapytała Adama: — Nie trzeba d czegoś?

Spoza drzwi dał się słyszeć jakiś szmer. Ewa zastygła w bezruchu ze szklanką w wyciągniętej ręce. Znow szmer i znow cisza. Nie ruszając się z miejsca wyszeptala w kierunku Adama:

— On! Nikt inny, tylko on! Pewnie podsłuchuje, czy jeszcze oddychasz! Tak jakby przez drzwi można było słyszeć oddech...!

Adam zauważył, jak Ewie trzęsą się ręce i głowa. Próbował ją uspokoić:

— Nie denerwuj się... Zażyłaś fenactil. Ewa zniecierpliwiona machnęła ręką:

— To przecież od razu nie działa! Nagle wstała, odłożyła trzymaną w ręce szklankę, poprawiła na sobie suknię i coraz bardziej się trzęsąc, powiedziała:

— Nie wytrzymam! Otworzę drzwi! Niech już raz wejdzie! Niech zobaczy, że żyjesz! — Podbiegła do drzwi i otworzyła je na całą szerokość.

Za drzwiami nie było dyrektora; stała tam nieduża pękata osoba w czerwonym aksamitnym szlafroku i w ręczniku kąpielowym owiniętym wokół głowy. W momencie nagłego otwarcia drzwi odskoczyła krok do tyłu, niepewnie dreptając na swoich krótkich nóżkach, udekorowanych wykrzywionymi pantoflami z różowego atłasu z wykrzyknikiem puszystych pomponów pochodzenia króliczego.

— A! To ty, Pepi? — powitała ją bez zachwytu Ewa. Nie zapraszała jej jeszcze do mieszkania, sycąc oczy całym egzotycznym wyglądem gościa. Pepi kręciła się speszona pod tym lustrującym spojrzeniem. Przyciągnęła odrobinę szlafrok na obnażone piersi i zajrzała przez ramię Ewy do pokoju. Ewa przekrzywiła głowę najpierw na jedno ramię, potem na drugie, jakby za chwilę miała zabrać się do robienia portretu Pepi i teraz sprawdzała, w jakim ujęciu byłoby jej najlepiej. Wreszcie powiedziała: — Przychodzisz z wizytą w ręczniku kąpielowym na głowie? Bardzo oryginalne... i w twoim stylu.

Pepi zdawała się nie słyszeć tej uwagi. Kiwnęła dwa razy tłustym paluszkiem, wywołując Ewę na korytarz.

— Nie chcę przeszkadzać... Ewa, pozwól na chwileczkę...

Ewa nie ruszyła się od drzwi, przesunęła się tylko odrobinę na bok, zapraszając Pepi:

— Proszę cię, Pepi, wejdź do środka. Nie będziemy chyba rozmawiać na korytarzu...

— Och nie! — powiedziała Pepi, znowu zaglądając do pokoju przez ramię Ewy. — Nie będę się kręcić, kiedy Adam źle się czuje...

Ewa chwyciła gwałtownie Pepi za ramię i wciągnęła ją do mieszkania, zatraskując drzwi za sobą. Powiedziała twardo i dobitnie:

— Adam czuje się doskonale. Prawda, Adam? Nie stój tak i nie wgapij się w niego! Zachowujesz się tak, jakby Adam już był nieboszczykiem, a on jest zdrow jak ryba! Najdalej jutro, wstanie... albo za tydzień, prawda, Adi? — Potem śmiejąc się i przyciągając Pepi w kierunku tapczana, demonstrowała Adamowi całą egzotykę jej ubioru: — Zobacz, Adam, w jakim szlafroku jest Pepi! To cię powinno rozweselić. Ona urodziła się chyba w lupanarze?!

Adam, zamiast się bawić, rozgniewał się. Całe życie musiał powstrzymywać agresywność Ewy i całe życie robił to bez skutku. Kiedy Ewa była młoda — wybaczano jej tę agresywność, twierdząc, że jest inteligentna i dlatego potrafi być błyskotliwa w swojej złośliwości. Z czasem zaczęto uważać, że jest po prostu wstrętną jędzą, która nikomu nie przepuści. Adam musiał się z tym pogodzić, chociaż nie chciał, aby Ewa była jędzą. Próbował i teraz skarcić ją jednym słowem, ale z intonacją pełną wyrzutu:

— Ewa!

— O co ci chodzi? — zapytała Ewa, zwracając ku niemu zdziwioną twarz. — Przyjaciółce nie można powiedzieć słowa prawdy? — Potem odwróciła się od Adama, ujęła Pepi pod

ramię i tłumaczyła jej: — Widzisz, jaki on jest? Bez przerwy się ze mną kłóci. Gdyby był chory nie mógłby tego robić, prawda? — Siłą próbowała usadzić Pepi na krześle: — Siadaj, Pepi!

Pepi, przytrzymując się mocno rąk Ewy, nie dała się posadzić.

— Nie będę siadać. Idę zaraz. Chciałam pożyczyć trochę herbaty—wyjaśniała—nie mogę nie robić, jeśli najpierw nie wypiję mocnej herbaty.

Ewa odsunęła od siebie Pepi. Stała na środku pokoju.

— Mieszkać w tym domu aktora to po prostu morderstwo! Stale ktoś coś pożyczka — powiedziała zła, kierując się w stronę kredensu.

Adam znów próbował przywołać ją do porządku:

— Ewa!

— Mówię to, co myślę! — powiedziała Ewa, szurając papierowymi torebkami w kredensie. — To chyba lepiej niż w kątach korytarza obgadywać ludzi?

Pepi spłoszyła.

— Kogo masz na myśli? — zapytała. Ewa zrobiła nieokreślony ruch ręką.

— Nikogo. Mówię tak, w ogóle... Adam stale się mnie czepia. — Gwałtownie odwróciła się od kredensu, wpatrując się uważnie w Pepi. — Sama teraz widzisz, że jest zdrow jak byk! Możesz to wszystkim powiedzieć, tam na korytarzu! Przed chwilą rzucił we mnie kanapką z kawiozem!

Pepi zainteresowała się.

— Macie kawior? — zapytała, łykając ślinę. Ewa spojrzała na nią, jakby nie rozumiała pytania, potem zaczęła szybko wyjaśniać:

— Mieliśmy. Adam zjadł całą puszkę, ale wiesz, że ja mu niczego nie żałuję! Niestety już nic nie ma. Gdybym wiedziała, że przyjdiesz... Powinam oczywiście wiedzieć, przecież od tego nasz dzień, że pożyczasz u mnie herbatę. Adam nie był w stanie zareagować w tej chwili znowu poczuł nasilenie bólu. Ewie wydawało się, że wyraz jego twarzy odnosi się do słów które skierowała do Pepi. Zbeształa go więc:

— Adam! Nie rób min męczennika! Ona i tak cię nie obrazi. Nie rozumiem, dlaczego tak boicie się dowiedzieć czegoś o sobie?

Adam na siłę starał się włączyć w rozmowę, aby nie musiał myśleć o bólu, który potęgował się. Wydawało mu się, że ból może zapomni nim, jeżeli on zapomni o bólu. Zaczął mówić, powoli oddzielając słowa:

— Wszyscy wiemy coś o sobie, ale nie można komuś co chwila powtarzać: no, no, ale masz potężne brzuszysko... Jeżeli rzeczywiście ma... brzuszysko...

Pepi wciągnęła brzuch, przykrywając go rękami.

— O czym ty mówisz? — zapytała zdziwiona.

— Może mam odrobinę wystający brzuszek, ale to nie jest żadne brzuszysko! Ewa załamała ręce.

— Pepi! Na miłość boską! On mówi metaforami — krzyknęła, z dezaprobatą kręcąc głową.

— Jasne, że nie masz brzuszyska. A teraz siadaj. Zrobię dla wszystkich herbatę. Dopiero co parzyłam, podgrzeję tylko wodę. Siadaj! Naprawdę ślicznie wyglądasz! — Tym razem udało jej się usadzić Pepi na krześle. Porwała imbryk z wodą i wybiegła na korytarz, aby na wspólnej maszynie gazowej podgrzać wodę i zrobić herbatę.

Pepi została sama z Adamem. Spojrzała na przysłonięte kotarami okna, potem na Adama. Nie wiedziała, jak z nim rozmawiać. Czy on woli, żeby okazywać mu współczucie, czy też chce zapomnieć o swojej chorobie i woli być traktowany jak człowiek zdrowy. W każdym

razie zawsze można go zapytać, jak się czuje. Z odpowiedzi będzie można wywnioskować, czy w być chorym, czy zdrowym człowiekiem.

— Jak się czujesz? — zapytała Pepi.

— Świetnie — padła krótka odpowiedź.

— Tak też myślałam... Dobrze wyglądasz. Naprawdę... — Niepewnie wybąkała Pepi, w dalszym ciągu jednak nie mając pewności, czy przypadkiem nie popełniła nietaktu, mówiąc do chorego, że świetnie wygląda.

Po dłuższym milczeniu Adam przerwał jej rozważania pytaniem:

— Co w teatrze?

— Nic — odpowiedziała Pepi i w dalszym ciągu nie wiedziała, o czym mówić.

— Obsadzili cię w czymś?

— Aha.

— Dobra rola? — dopytywał się obojętnie Adam.

— Dobra. Panna młoda w „Ożenku” Gogola.

— Grałaś to już kiedyś, ale za dziesięć lat też jeszcze będziesz mogła to grać — powiedział Adam i znowu zapadła cisza.

Zabzykała mucha dostawszy się między abażur i żarówkę nocnej lampki. Pegi poczuła, jak dreszcz przechodzi jej po grzbiecie. — Ta mucha zaraz przypiecze sobie skrzydła! To straszne umierać tak na gorącej żarówce. W ogóle wszelkie umieranie jest straszne... — Spojrzała niepewnie na Adama. — Może jednak powinnam mu powiedzieć, że strasznie mi przykro, że go wszyscy żałują... Tylko, żeby, broń Boże, nie zrozumiał źle moich słów. Żałuje się przeważnie tych, których już nie ma... A on może jeszcze będzie żył. Słyszało się o cudownych uzdrowieniach... Zresztą może nawet wcale nie jest taki chory. Przecież Ewa najlepiej by o tym wiedziała, a twierdzi, że nic mu nie jest...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadła Ewa. Stała przy drzwiach z gorącym czajnikiem w rękę, kopnęła nogą drzwi, żeby je zamknąć, i z miejsca zaatakowała Pepi:

— Spotkałam Sosińską przy gazie. Mówi, że dostałaś pannę młodą! Pepi, wystraszona, zaczęła się jękać:

— Właśnie przed chwilą mówiłam Adamowi. Ewa przerwała jej, zwracając się do Adama:

— Widzisz, Adam? Dlatego, że jest gruba! I po co ja całe życie głodowałam, żeby zachować linię? Ja, z moim wyglądem, nie mam co grać, a Pepi gra pannę młodą!!! — parzyła sobie palce gorącym czajnikiem i mimo woli przekładała go z ręki do ręki, w zdenerwowaniu zapominając postawić go na stole.

Adam wiedział, że nic w tej chwili nie jest w stanie powstrzymać furii Ewy, jednak spróbował chociaż złagodzić jej wybuch, tłumacząc:

— Pepi jest charakterystyczna...

Ewa rzuciła czajnik na stół, aż chlupnęła na serwetę woda, jednak nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Stała przy stole przesadnie gestykulując: najpierw rozłożyła szeroko ramiona, co miało wyrażać bezmiar ironicznego zdziwienia:

— Charakterystyczna! Co to znaczy, charakterystyczna? — zapytała wszystkich i nikogo. — Po prostu jest gruba! Ja gdybym wsadzała w siebie takie koryta jadła, jak Pepi, też bym była charakterystyczna! Czy wszystkie aktorki muszą być charakterystyczne? Jeżeli tak, to już w szkole aktorskiej powinni tuczyć dziewczęta tapioką, żeby były grube i charakterystyczne!

Adam uniósł się z pościeli, opierając ciało na łokciu.

— Ewa! Zażyj fenactil! — rozkazał. Ewa spojrzała na niego zdziwiona.

— Chcesz mnie zabić, czy co? — zapytała przyciszonym głosem. — Przecież już zażyłam.
— Potem znowu podniosła głos: — Gdybym nawet zażyła worek fenactilu, to też by mnie diabli wzięli ze złości! Nie jestem w stanie nawet myśleć o tych wszystkich draństwach!

Adam osunął się znowu na poduszki, próbując zakryć kóldrą odkryte ucho.

Pepi podniosła się, uśmiechnęła się nieporadnie w stronę Adama i tyłem próbowała się wycofać do drzwi.

— To ja już pójdę — powiedziała cicho. Ewa siłą wcisnęła ją z powrotem na krzesło.

— Nie! Masz wypić herbatę! — Rozkazała. — Nie chcesz słuchać tego, co mówię? Owszem? Musisz posłuchać! I tak jesteś wygrana, więc przynajmniej posłuchaj, jak wygląda życie innych.

Pepi nie odważyła się wstać. Spojrzała tylko błagalnie na Ewę i jeszcze raz powiedziała z prośbą w głosie:

— Ja muszę już iść!

Ewa nie słuchała. Pochyliła się nad Pepi, jakby ją całą miała zaraz połknąć.

— Co ja mam robić, powiedz mi? — Wyprostowała się gwałtownie i wkroczyła na środek pokoju. — Chcę pracować, ale żądają ode mnie, żebym miała dwadzieścia lat albo żebym była charakterystyczna i śmieszna! Nie mogę mieć dwudziestu lat, ale, proszę bardzo, mogę być śmieszna! — Zaczęła się wygłupiać, skacząc po mieszkaniu. — Wprawię sobie trzepaczkę w tyłek (użyła do tego miotelki z piór, ilustrując ten zabieg), zrobię operację kosmetyczną (miętosila rękami twarz, starając się nadać jej najrozmaitsze kształty), żeby nos był po przeciwnej stronie głowy, a na czubku głupawe rybie oko! Zrobię to wszystko, ale się nie dam! Będę śmieszna! Hi! Hi! Hi! Jaka ja będę śmieszna!...

Pepi siedziała przerażona, prawie nie oddychając ze strachu. Nigdy jeszcze nie widziała Ewy w takim stanie. Być może Ewa zwariowała. Nic dziwnego, przy takim nieszczęściu... Pewnie jednak Adam nie wyjdzie z tej choroby i ona o tym wie... Żeby tylko udało się uciec!... Co będzie, jeżeli Ewa zacznie ją bić?...

Ktoś zastukał do drzwi. Pepi odetchnęła, chciała wstać i otworzyć drzwi, ale Ewa przytrzymała ją za rękę, krzycząc w stronę drzwi:

— Wejść! Weszła Dora. Zamknęła za sobą cicho drzwi.

— Dzień dobry — powiedziała, stojąc ciągle przy drzwiach. — Jak się ma Adam? Przyjmuje dzisiaj gości? — Zapytała, rozglądając się po mieszkaniu i ze zdziwieniem patrząc na zasłonięte kotarami okna.

Ewa spostrzegła to zdziwienie i ten wzrok utkwiony w kotarach okien, jednak nie spieszyła się z żadnymi wyjaśnieniami, odpowiedziała na pytanie Dory, przybierając wesoły, bez troski ton:

— Oczywiście, że Adam przyjmuje gości! Jak najwięcej gości! W ogóle zrobimy zaraz wielki bal! Adam wraca do zdrowia! Musimy to uczcić!

Dora niepewnie spoglądała w kierunku tapczanu, na którym Adam, ledwie widoczny w świetle nocnej lampki, leżał uśmiechając się do niej.

— Jak to miło, że przyszaś — powiedział, próbując nasilić głos, aby go było słychać. — Twoja obecność dobrze Ewie robi. Pogadajcie sobie trochę, a ja się zdrzemnę.

Pepi zerwała się z miejsca ze słowami:

— Jeżeli Adam chce spać, to nas już tutaj nie ma!

— Pepi nie, nie! — zaprzeczył słabo Adam. — Bardzo lubię drzemać, kiedy słyszę wokół glosy... Nie lubię ciszy... Rozmawiajcie sobie...

Pepi zrezygnowana usiadła z powrotem. Dora ułożyła swoje ciało w fotelu, jak zwykle

pozując się i wyciągając daleko przed siebie swoje długie nogi; zawsze Pepi to drażniło, wystawianie nóg przez Dorę uważała za prowokację, za urąganie wszystkim nogom, które były krótsze.

Dora nachyliła się do Ewy, zabierającej się właśnie do nalewania herbaty.

— Ślicznie wyglądasz, Ewo — powiedziała Dora.

— Ślicznie? — Ewa zatrzymała nad szklanką rękę z czajnikiem. — To mnie nie cieszy. Podpisujesz na mnie wyrok, moja droga. — Ręka z czajnikiem pochyliła się nad szklanką, napełniając ją do połowy.

Dora uniosła brwi ze zdziwieniem, oczekując wyjaśnienia słów Ewy.

— No tak, moja droga — dokończyła Ewa. — Dzisiaj w teatrze kobietę po czterdziestce może uratować tylko brzuch jak bochen albo drewniana noga! Nogę obetnę sobie jutro! Ale niech mi ktoś wtedy powie, że nie jestem charakterystyczna!

Pepi wcisnęła głębiej w krzesło swoje tłuste pośladki, starając się ukryć to, co zdaniem Ewy zapewniało jej karierę w teatrze.

Ewa odstawiając czajnik na bok, zwróciła się do Dory:

— Radzę ci, pomyśl o czymś dla siebie. Tylko mnie nie dubluj! Drewniana noga jest moja, pamiętaj! Ty, na przykład, obetnij sobie uszy! Gdybyś obcięła całą głowę, byłoby niesłychanie oryginalnie. Tego jeszcze nie było! Rozumiesz? Radzę ci się zastanowić! — Nagle wyprostowała się, odrzucając do tyłu głowę, jakby potrząsała lwią grzywą; podskoczyły na głowie resztki przypalonych kosmyków, Ewa zakręciła się na pięcie i krzyknęła radośnie:

— A teraz muzyczka i alkohol! Zabawimy się, jak za dawnych, dobrych czasów! — Przez ramię zwróciła głowę w kierunku Adama: — Adam, ty nie pijesz! Musisz oszczędzać siły dla twojej żony. Bez ciebie jestem śmieć, mikroorganizm, nie!

Pepi jeszcze raz próbowała wyrwać się z mieszkania, gdzie, jak się jej wydawało, co chwila groziła jej napaść ze strony Ewy, zwłaszcza obawiała się Ewy po alkoholu; wtedy dopiero zaczęła rozrabiać i mówić jej prawdę.

— To ja może najpierw pójdę wysuszyć włosy? — powiedziała wstając. Ale znów została siłą wgnieciona w krzesło.

— Nie! Jest ci ślicznie w tym turbanie! Zresztą jesteś charakterystyczna, możesz wystąpić nawet z patelnią na głowie. — Ewa rozdała kieliszki. — Trzymajcie w ręce kieliszki, bo tu straszny bałagan na stole. — Rozlała alkohol i usiadła. — Za co pijemy? — Zapytała, wznosząc do góry kieliszek. — Myślę, że za wzniosłe ideały sztuki! A potem za zdrowie kochanego pana dyrektora, żeby nam jak najdłużej żył!

Kiedy wypity, wstała i podeszła do skrzynki z adapterem.

— Adam, ty lubisz głośną muzykę, prawda? — zapytała i nie czekając na odpowiedź, puściła płytę. — Będzie głośno! — Zwróciła się znowu w kierunku Adama, a potem do dwóch kobiet, które siedziały nieruchomo, śledząc z zaciekawieniem jej szalone poczynania. — I to ma być chory człowiek? — zapytała Ewa, jakby wzywając wszystkich na świadków żelaznego wprost zdrowia Adama. — Niech mi ktoś tylko powie, że on jest chory!... Przygroziła im palcem. Potem znowu z nerwowym pośpiechem napełniła kieliszki i przynagliła: — Panienki! Szybko uwijać się z piciem! Za krótko żyjemy, żeby można sobie było pozwolić na zwolnione tempo! Oszło mi się do dna! Niech żyje młodość! Oczywiście nie nasza, mam na myśli młodość tych, które mają gażę tysiąc pięćset złotych, ale za to życie przed nimi stoi otworem... Może tylko na kilka lat, ale zawsze. Cha! Cha! Pijcie, stare czarownice! Pepi zasłoniła oczy pulchną ręką:

— Jezu! Mnie się już kręci w głowie! I muszę wysuszyć włosy...
— Nie zawracaj głowy, wschodnia odalisko!
— ofuknęła ją Ewa i znowu uniosła kieliszek.
— Zdrowie pięknych dam!
— Nie chcę pić — skarżyła się ze strachem Pepi. — Będę miała kaca... Muszę się uczyć roli...

— Skarbie! Nawet gdybyś słowa nie umiała, wystarczy twój wygląd! — Ewa objęła ją czule.

— Czemu mi stale dokuczasz? — odważyła się zapytać Pepi.

— Ja? Ja??? Pepi! — wykrzyknęła Ewa w największym zdumieniu. — Nie skrzywdziłabym nawet kuropatwy! Nie dokuczam ci. Mówię do ciebie, dziecinko. To są czule słowa, Pepi. Bo ja kocham cały świat... Tylko czemu na nim jest tak cholernie smutno? — dokończyła, opuszczając rękę z kieliszkiem i wpatrując się beznadziejnie w kotary u okien.

Adam ledwo słyszał słowa Ewy; z trudem przebijały się przez potężny szum w uszach. Miał wrażenie, jakby w samym środku, w jego głowie, ktoś rozkołysał wielkie dzwony, które teraz, wszystkie naraz dzwoniły, jakby dudniły przejeżdżające przez tunel pociągi, jakby ktoś łomotał, zgrzytał, stukał i brzęczał różnymi przedmiotami. Te wszystkie dźwięki brzmiały równocześnie. Starał się uwolnić od nich, chciał posłyszeć słowa wypowiedane przez Ewę, ale jej głos był strasznie daleko, blisko były tylko te dźwięki w głowie.

— Ewa — powiedział cicho, a zdawało mu się, że krzyczy. — Ewa, nalej mnie też. Czuję, że mi to dobrze zrobi... I chodź tu do mnie... Ewa spojrzała z lękiem na Adama, natychmiast jednak przybrała swój beztroski ton, którym od dłuższej chwili się posługiwała.

— Och! Mąż mnie wzywa! — zawołała zrywając się z miejsca. — Lecę, kochanie! Naprawdę chcesz się napić?

— Tak. Nalej! Szybko!

Ewa podbiegła z kieliszkiem w ręce do Adama. Przytrzymała jego głowę i rękę z kieliszkiem, delikatnie wlewając mu płyn. W tym momencie ktoś zastukał do drzwi.

— Proszę! — powiedziała Ewa, nie odwracając głowy.

Wszedł dyrektor, wyciągając od razu do powitania ręce. Niósł te ręce przed sobą jak wielki świąteczny placek, którym zaraz uraczy się cała rodzina.

— Moje uszanowanie. Co ja widzę! Wspaniale, panie Adamie! — ryczał sunąc w kierunku Adama. — Wracamy do zdrowia! Jakże się cieszę! Mężczyzna z kieliszkiem w ręce, to już nie jest chory człowiek.

Ewa, ściskając dyrektorskie dłonie, zasłoniła sobą Adama.

— Kochany nasz pan dyrektor! Widzisz? Mówiłam ci, że pan dyrektor przyjdzie! — Mówiła niby to do Adama, równocześnie napierając biustem na dyrektora i oddalając go w ten sposób od Adama. Kiedy wyprowadziła go tak na środek pokoju, szybko wręczyła mu napelniony kieliszek. — Proszę! Kieliszek dla pana dyrektora — powiedziała, znowu starając się zasłonić sobą Adama i już po chwili, śmiejąc się, przeproszała: — Nie ma nic do jedzenia. Wszystko zjadła nasza charakterystyczna, ale napój jest przedniej jakości!

Pepi, która rękami starała się przysłonić swoje wschodnie przybranie głowy, zaczerwieniła się z oburzenia. Bez względu na konsekwencje postanowiła wyjaśnić, że nic jak dotąd nie zjadła w tym domu. Jednak Ewa nie dopuściła jej do słowa, bo właśnie pan dyrektor, omijając zaporę biustu Ewy, zbliżył się do Adama i pochylił się nad nim, więc Ewa podbiegła i, pochylając się jeszcze niżej, zaglądając w oczy dyrektora, starała się go zahipnotyzować:

— Pan widzi, jaki zdrowy byk? Jego nic nie zmoże! Będzie żył sto lat! — Potem ujęła dyrektora za ramię, podprowadziła go na bok i szepnęła mu do ucha: — Adam lubi się pieścić ze sobą. Chce, żeby wszyscy wierzyli w tę jego chorobę, ale mówiąc między nami, już mu nic nie jest!

Dyrektor rozjaśnił się cały. Usiadł przy stole na wskazanym miejscu, założył nogę na nogę i delikatnie, jak przystało na dyrektora, upił łyżeczek z kieliszka.

— Wspaniale! — powiedział. — Wspaniale, panie Adamie! Czekam na pana z rolą. Pyszna rola! Zobaczysz pan zresztą sam. A muszę powiedzieć, że martwiłem się o pana...

Ewa zakrztusiła się śmiechem.

— Martwił się pan? Że może umrzeć? Nie! On zagra! Zagra, panie dyrektorze! Jeżeli nie dla pana, to dla mnie!

— Pani dzisiaj w świetnym nastroju — stwierdził autorytatywnie dyrektor. — Wcale się nie dziwię — dodał rzucając cień uśmiechu w kierunku Adama. — Radosny dzień dla wszystkich. — Potem zamyślił się, jakby sobie coś chciał przypomnieć. — Co to ja chciałem powiedzieć... Aha! — Przypomnił sobie, dotykając kieszeni i wyciągając z niej pakiecik złożonych równo druczków. — Może to powinno się odbyć bardziej oficjalnie — powiedział zwracając się równocześnie do Ewy i Adama — ale w wyjątkowych wypadkach... Rozumiecie państwo, dzisiaj mamy ostatni dzień podpisywania umów o pracę... Przypadkiem wziąłem ze sobą formularze, więc może raczą państwo podpisać umowy na następny sezon... — Podał Ewie część druczków. — Proszę, pani Ewo... Pani jako kobieta, pierwsza...

Ewa delikatnie ujęła pióro dyrektora, jakby to był klejnot wyjątkowej piękności i kruchości. Oglądała to pióro, zachwycając się nim:

— Cudowne pióro! Parker! Pan dyrektor ma zawsze takie śliczne rzeczy. — Potem pochyliła się nad drukami, rozprostowując je ręką i składając podpis w oznaczonym miejscu; mamrotała pod nosem: — Podpisać umowę takim piórem, to jeszcze więcej, niż po prostu podpisać! — Trzymając kartki w obydwu rękach, poruszała nimi, by wysechł atrament. Potem przysunęła je blisko do oczu, stwierdziła, że już się podpis nie zamaże i oddała je dyrektorowi. Teraz zbliżyła się do Adama z piórem w jednej i druczkami w drugiej ręce.

— Adam, kolej na ciebie — powiedziała, delikatnie dotykając jego ramienia. Z półki z książkami wzięła blok listowy i podłożyła pod druczki, wszystko to razem ułożyła na piersi Adama, wpatrując się w niego uważnie. Wcisnęła mu pióro w rękę, ale palce nie chciały ująć pióra, przytrzymała więc jego palce swoją ręką, przycisnęła je do pióra i prowadząc jego rękę po papierze szeptała: — Przytrzymam ci trochę rękę.

Złożyła starannie arkusiki papieru i wręczając je dyrektorowi, wyjaśniała:

— On się naprawdę dobrze czuje, panie dyrektorze, tylko jest bardzo wzruszony. Pan wie, te podpisywania umów mają specyficzny klimat. Zawsze to napięcie nerwowe, że może pan nie zechce podpisać umowy...

— Ależ! Co też pani mówi! — oburzył się dyrektor. — Z panem Adamem... To znaczy z państwem jeszcze nigdy nie mieliśmy żadnych kłopotów...

Byłby może dłużej i szczegółowiej wyjaśniał, na czym polega przyjemność podpisywania Z nimi umów, ale Ewa przerwała mu:

— Bardzo! Bardzo nam było miło! Chętnie zatrzymałabym pana dłużej, ale wiem, ile pan ma pracy! Prowadzić taki wielki teatr, to nie fraszka!

Dyrektor pożegnawszy się z Ewą, zastygł z ręką wyciągniętą w kierunku Adama.

— Czy panu Adamowi aby coś nie jest? — spytał wystraszony.

Ewa zdawała się nie słyszeć pytania. Uchwyciła tę wyciągniętą rękę i potrząsnęła nią.

— Jeszcze raz dziękuję panu! Do widzenia, panie dyrektorze!

Dyrektor, lekko wypychany przez Ewę, cofał się tyłem w kierunku drzwi, nie przestając wpatrywać się w Adama. Kiedy zamknięto za mm drzwi, zerwała się też Pepi. Jej wystraszony wygląd nie miał zupełnie związku ze słowami, które mówiła:

— Pa! Lecę! Bo jak ja wyglądam z tym ręcznikiem na głowie! — Nikt jej nie odpowiedział. Zniknęła za drzwiami.

Ewa stanęła przed Dorą, mc nie mówiąc, ale Dora wiedziała, że powinna natychmiast wyjść. Wychodząc dotknęła lekko ręki Ewy.

— Sprowadzę lekarza, dobrze? — zapytała patrząc jej w oczy.

— Nie. Nie — odpowiedziała szybko Ewa. — On potrzebuje trochę spokoju. Dziękuję ci. Jeżeli chcesz coś dla mnie zrobić, to zostaw u siebie uchylone drzwi i dopilnuj, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Ja też... potrzebuję trochę spokoju.

Dora wyszła. Cisza. W ciszy głośne tykanie zegara i coraz cichsze brzęczenie umęczonej muchy.

Ewa usiadła w fotelu koło łóżka. Spod opuchniętej powieki spłynęła łza. Wgniotła tę łzę dłonią w policzek. Oparła rozchylone usta na zwiniętej dłoni. Nie patrząc na Adama mówiła przed siebie:

— Przechrztyliśmy go. Podpisał umowę... A ty mu już nie zagrasz tej roli. Ta rola, którą zagrałeś dzisiaj, była wspaniała... Zagrałeś ją dla mnie... Znów dla mnie... Podarowałeś mi jeszcze rok życia w teatrze. Tylko po co mi ten rok życia bez ciebie! Mój piękny Romeo, chcesz wędrować w zaświaty z twoją starą Julią...? — Wstała ciężko z fotela. Podpierając się ręką przesuwiała się między stołem a barkiem. — Gdzie te drańskie proszki nasenne? Powinno starczyć... Zaraz je znajdę i przestanę się kręcić... — Zabrzęczały szklanki w barku. — Jasne! W barku! Gdzie by mogły być... Tu jest zawsze wszystko. — Zabrała fiolkę z proszkami, szklankę i syfon, ułożyła wszystko na podłodze koło łóżka. Z trudem usiadła na podłodze, podkulając nogi pod siebie. — Siedzę tu sobie u twoich nóg jak stary, wyleniały pies, który zdechł w minutę po śmierci swego pana... — Wysypała na dłoń pastylki i zaczęła, krzywiąc się, łykać jedną po drugiej, popijając wodą sodową. — Nigdy nie mogę przełknąć żadnego proszka — gderała. — Dwadzieścia razy łyknąć takie świństwo! Obrzydliwość! Ty powiedziałbyś, że to histeria... W porządku, byłam histeryczką. Byłam... Właściwie mam już prawo mówić o sobie w czasie przeszłym... Zabawne!—Ujęła dłoń Adama i przytrzymała ją w swoich rękach.

Och! Taką masz zimną rękę, a przecież chcę ją teraz mieć przy sobie...

Od rana do południa

Nikt nie podejrzewał krzaków bzu, że rozpękną tak od razu. Bezczelnie przyszła wiosna. Więc Dudek zwariował. Wstał rano, nie podejrzewając niczego, ziewnął, przeciągnął się i spojrzął z niechęcią na żonę, która odwrócona plecami do niego zagarnęła ręką poduszkę, przycisnęła do niej mocniej głowę, kradnąc jeszcze kilka minut snu. — Tak, to jest właśnie życie — pomyślał Dudek. — Ona śpi. Po prostu śpi sobie! Zawsze ja muszę pierwszy wstać! Śniadanie nie ona robi, tylko ja. Czy to jest w porządku? Kto powinien robić śniadanie? Żona! Są domy, w których żona robi śniadanie...

Stał nad nią zasepiony, czochrając się leniwie po biodrach, w miejscu gdzie kończyła się bluzka od pidżamy, a jeszcze nie zaczynały się spodnie. (Powinno się spać w wygodnych rzeczach, a więc pidżamowe spodnie Dudka miały obluzowaną gumkę, żeby nie uciskały, i

zwiślały sobie niechlujnie poniżej bioder, tworząc harmonijkę przy stopach). Dudek spojrział na stopy i stwierdził, że trzeba obciąć paznokcie — stwierdził to tylko tak sobie, bez żadnego postanowienia, że już, że sprawa jest pilna. Wsunął stopę w jeden pantofel, rozejrzał się — drugiego nie było. Gdzieś tam na pewno był, ale po co zadawać sobie trud z szukaniem. Szurając jednym pantoflem, a drugą nogę stawiając tylko na pięcie, aby uniknąć zetknięcia z chłodem podłogi, podszedł do okna i stanął przed nim bez żadnej bliżej sprecyzowanej myśli. Nagle jaśniejszy błysk oka. Coś zaczęło przenikać w posępną czeluść porannego samopoczucia. Wyciągnął rękę i otworzył okno:

— Rany boskie! — Dudek nie wiedział, co się z nim dzieje, tylko czuł, że coś w nim z niewiadomych powodów krzyczy „rany boskie”! - Oparł brzuch na parapecie, wychylił się i spojrział w ulicę. Ulica, nic szczególnego: jakiś pies, jakiś człowiek, samochód, skuter przed domem, a jednak: „rany boskie”! Przymknął oczy: wietrzyk muśnięcia, ciepło... Poczuł, że skóra cierpnie mu na głowie, że cały zaczyna drżeć leciutko, rozkosznie. Odwrócił głowę: kawałek ramienia z brzeżkiem plisowanej nocnej koszuli, włosy na poduszce, stopa z paznokciami pomalowanymi na kolor perłowy... Podszedł do tapczanu i delikatnie zaczął palcami rozczesywać włosy, rozciągać pasma na bieli poduszki. Od strony ściany zaspány głos:

— Już? Muszę już wstawać? Nalałeś wody do wanny? Nie słyszałam... Dudek dalej rozgarniał te piękne włosy.

— Na śniadanie niech będzie herbata. Nie chcę dzisiaj mleka.

Dudek ukląkł przed tapczanem, tam gdzie były te włosy, i zanurzył w nich twarz:

— Pszczółko...

Wtedy ona odwróciła się gwałtownie i spojrzała na niego zdumiona:

— Zwariowałeś? Jezus Maria! O świcie takie rzeczy! Daj mi spokój! Nie da się człowiekowi przespać... Dudek! Ty naprawdę masz źle w głowie.

— Pszczółko...

— Dudek! Jeżeli w tej chwili nie odejdziesz!...

Dudek zagarnął Pszczółkę ramieniem. Szarpnęła się i usiadła sztywno na tapczanie.

— Jesteś idiota! Wiesz?!!

Popatrzył na nią jeszcze z resztką chęci, potem szybko wstał. Miał ścierpięte kolana. Pokuśtykał do łazienki, odkręcił ciepłą wodę, usiadł na brzegu wanny i zaczął rozcierać nogę:

Nie to nie — pomyślał sobie — potem będzie miała pretensje, że nie jestem zbyt gorący... One myślą, że człowiek jest na każde zawołanie. Nie jestem mózgiem elektronowym, żeby działał bezbłędnie, kiedy się komuś zachce...

Woda lała się do wanny, a on zabierał się do czyszczenia zębów. Patrzył w lustro upstrzone białymi kropkami pasty. Włos ze szczoteczki wbił się między dziąsła, więc zaczął go z uwagą wydłubywać paznokciem. Przyjrzał się swojej twarzy: codziennie stwierdzał, że zaczyna łysieć i dziś, jak każdego dnia, zaczął marzyć o leku przywracającym bujne owłosienie. Oczy miał ładne — to także każdego dnia stwierdzał i pocieszał się, że oko załatwia właściwie wszystko. Tylko te brązowe podkrążenia... Oczywiście: wątroba. Czy nie można wymienić wątroby? Czym się zajmują ci lekarze?... Trochę też tyje... Co z tym brzuchem? To zresztą nie jest sprawa brzucha: przepona! Każdy mężczyzna oddycha przeponą i dlatego przepona jest wypracowana. Może przestawić się na oddychanie szczytami płuc? Jeżeli wciągnie przeponę, to jest prawie zgrabny... Tylko nie sposób poruszać się z taką wciągniętą przeponą... Otóż to są skutki wadliwego oddychania!

— Pewnie się już woda przelała? Co tam tak długo robisz?

Wściekły zakręcił wodę. Czego ona chce? Czy jest jej panną służącą? Wyszedł z łazienki i z obrażoną miną oznajmił, że kąpiel gotowa. Potem poszedł do kuchni nastawić herbatę.

Z pokoju znowu głos Pszczółki:

— Dudek! Daj pantofle!

Dudek wyszukał w kącie przedpokoju buty, włożył w nie gołe stopy i przez uchylone drzwi rzucił swój jedyny pantofel, przy czym zrobił uwagę tonem zasadniczym, ale niezbyt ostrym:

— Nie wiem, gdzie jest drugi. Poszukaj sama. Tyle razy mówiłem, żebyś kupiła sobie pantofle. Co to za zwyczaj chodzić w moich pantoflach.

— Co cię ugryzło? Dotąd było dobrze z jednym pantoflami i nagle takie zmiany?

— Kobieta wcale nie wygląda zachęcająco w męskich pantoflach.

— A czy ja cię chcę zachęcać?

— Powinnaś.

— Dudek! Dudek...

— Kobieta powinna chcieć się podobać.

— A ty myślisz, że jesteś taki śliczny w tej pidżamie, gdzie krok sięga kolan? Wcale nie szaleję z zachwytu, kiedy się czochrasz po tych tłustych biodrach...

— Wypraszam sobie!

— A... wypraszaj! I nie zawracaj mi głowy, bo się spóźnimy na próbę. Teraz po całym domu będę szukać drugiego pantofla... No proszę! Wcisnął pantofel pod tapczan!... Ile tu popiołu!... Czy w domu nie ma popielniczek? Jeszcze raz zobaczę, jak strzepujesz popiół na podłogę...

Dudek biegał po kuchni przygotowując śniadanie. Sparzył się parą z odkrytego czajnika i teraz posypywał sparzone miejsce solą. Oczywiście sypał tę sól poprzez palce na podłogę. Przygotował śniadanie w kuchni na stole. Były tam brudne szklanki i talerzyki z poprzedniego śniadania, skorupy jaj, zwiędła pietruszka w wodzie, która już uległa rozkładowi, puszka po soku z pomidorów, rozmazany miód na ceracie i sterty niedopałków w popielniczce. Wylał ręce w ścierkę, która miała na sobie znaki wszystkich potraw z całego tygodnia, i poszedł się ubrać.

Pszczółka usiadła przy stole z maszynopisem rozłożonym na skorupach jaj i powtarzała rolę. Nie patrząc jadła chleb z twarożkiem, a białe okruszyny sypały się na kartki. Dudek wrócił ubrany i spojrzał z niesmakiem na te części twarożku zgniatane kartkami. Jadł swoje śniadanie na drugim krańcu stołu, w miejscu gdzie miód przyłgnał do ceraty. Obserwując Pszczółkę nie zauważył, że rękaw jego marynarki rozmazuje miód po stole.

Śniadanie skończone. Ostatnie spojrzenie w lustro i wyszli. Podbiegli do tramwaju. Pszczółka stanęła na przednim pomoście, z egzemplarzem sztuki w rękach, on w środku wozu z gazetą. Ktoś, przepychając się, trącił jego gazetę. Spojrzał: Klara... Powiedział: „dzień dobry” i nagle nie miał już ochoty czytać. — Jakież ona ma oczy!... Jak pestki. Patrzy wprost. Nie zaczepnie, ale uparcie.

Dudek wpatrzył się w Klarę i nie mógł zebrać myśli, żeby prowadzić jakąkolwiek rozmowę. Powiedział byle co:

— Nie wiedziałem, że pani mieszka w naszych stronach?

— Nie, nie mieszkam tutaj.

Ciekawe, kto ją pierwszy poderwie? Śliczna jest! Nogi... Skąd ludzie biorą takie długie nogi? Cholera! Że też nie wziąłem beretu!... Może nie zauważyła mojej łysiny? Trzeba się zacząć inaczej czesać. Włosy do przodu, na „Tytusa” i już nic nie widać... Oczy ma jak pestki. Daję słowo. Nie można tego inaczej nazwać...

— Zdaje się, że już wysiadamy. Teatr.

— Co się z panem dzieje, panie Dudku? — zapytał reżyser, kiedy ósmy raz powtarzali tę samą scenę i zanosilo się na to, że Dudek znów nie zapamięta sytuacji. — Czy pan się źle czuje?

— Ja? Czy się źle czuję? Nie. Czuję się świetnie!

— To proszę jeszcze raz i jeżeli pan tak uprzejmy, to proszę zapamiętać sytuację.

Ona ma oczy jak pestki. I jak malachit. Jeżeli ją nie poderwę, to... Muszę! Muszę ją poderwać!

— Panie Dudku! Dziewiąty raz powtarzamy tę samą scenę i nie da się ukryć, że to właśnie przez pana...

— Przepraszam bardzo, ale ja szukam... Aktor ma prawo szukać rozwiązania sceny...

— Proszę bardzo, niech pan szuka. Chciałbym jednak dojść do jakiegoś rezultatu.

— Tak. Dojść do rezultatu! Ot co! — pomyślał Dudek. — Muszę ją mieć! Ciekawe... Znam ją już dosyć długo i dopiero dzisiaj ją zauważyłem... Będę ją miał albo jestem ostatni łach, a nie mężczyzna. Jednak szkoda, że nie wziąłem beretu... Cholerne ma te oczy... Będę ją miał!

— Panie Dudku, czy pan już się zdecydował?

— Najzupelniej!

— To proszę zacząć scenę jeszcze raz, od początku.

Dudek grał swoją scenę już teraz spokojnie i z uwagą. Miał rozwiązany problem. Wiedział, że będzie ją miał. Jeszcze tylko potrzebował godziny do skończenia próby, aby rzecz sfinalizować.

Koniec próby. Dudek wciągnął przeponę i lekkim krokiem skierował się w stronę Klary... którą reżyser ujął właśnie pod rękę i, patrząc w oczy jak pestki, poszedł z nią w ulicę, w gorące południe zwariowanej wiosny.

Klara

Klara w oczach przygodnego znajomego:

Dwaj panowie pijąc kawę w kawiarni widzą wchodzącą Klarę.

— Znasz ją?

— Byłem u znajomych na jakiejś wódce i ona tam była. Zachowywała się jak idiotka. Była pijana i wciąż mówiła o Locke'u. Powtarzała stale jakieś idiotyczne zdanie dotyczące istnienia. Przez pół godziny jedno i to samo, czy ktoś chciał słuchać, czy nie... Chodziła od człowieka do człowieka i nudziła.

— Dobra jest.

— Eeee, za chuda.

— Dobra jest. Nogi ma klawe... Długie.

— Tak. Ale ma za małą twarz do tych nóg. I za bezczelne spojrzenie. Nie cierpię tego. Wydaje jej się, że jest inteligentna. Może zna tylko jedno zdanie z Locke'a... Ja też mogę otworzyć Platona na dowolnej stronie i potem męczyć wszystkich wokół przez pół godziny.

— Oczy ma dobre.

— Nie zapalaj się. Nic z tego; żyje z jakimś facetem.

— Z kim?

— Jakiś pisarz czy inny wymądrzający się. Nie miałem przyjemności. Jego wtedy nie było, ale widuje się ich razem. Zdaje się, że nawet jest jego żoną. On wygląda jak nadęta zaba.

Zawsze jest nadęty. Może nadęli go już przy urodzeniu.

— Ona ma śliczną szyję. Wie, że ma śliczną szyję. Patrz, jak ona trzyma głowę; żeby wszyscy widzieli tę szyję. Kim ona jest?

— Aktorką.

— O?!

— Mnie to nie fascynuje. Moja dziewczyna ma większy szyk, chociaż nie jest aktorką... I jest dowcipniejsza. W każdym razie nie powtarza w kółko jednego i tego samego. Nie lubię aktorów. Są hałaśliwi i żyją w klanie. Udają przyjaźń do całego świata, ale zawsze będą obcy dla wszystkich. Mają klanowy żargon, klanowy dowcip i klanowy sposób porozumiewania się między sobą. Dziwię się, jak można się nie zadusić w tej swojej klanowości. Przecież to się w końcu musi znudzić.

— Jest dobrą aktorką?

— Czy ja wiem? Gra i nawet piszą o niej dobrze. Mnie się nie podoba.

— Rozmawiałeś z nią wtedy, na tym przyjęciu?

— Przecież mówię, że ją poznałem, dlatego teraz się jej kłaniałem.

— Ale czy rozmawiałeś z nią?

— Och, tak jak przy wódce; wszyscy ze sobą rozmawiają, ale gdyby nikt nic nie mówił, wyszłoby na to samo.

— Nie lubisz jej?

— Nie mogę powiedzieć, żebym za nią przepadał. Najpierw wydawała mi się dosyć zabawna... Nie przeszkadza mi, kiedy się dziewczyna spije i trochę powyglupia...

— Musiało coś zajść między wami.

— No, człowieku! Co byś zrobił, gdybyś podając dziewczynie kieliszek wina nagle usłyszał, że masz głowę jak czubate jajko?

— Powiedziała ci tak?

— Mam normalną głowę, do cholery!

— Po wódce się widzi inaczej. Co ci szkodzi, jeżeli nie masz takiej głowy?

— Ale to dosyć, ażeby ci ktoś obrzydł. „Czubate jajko”! Myślała pewnie, że jest taka dowcipna... Gdybym miał rzeczywiście coś z głową, nawet bym teraz nie wspomniał o tej historii, mogłoby wyglądać na to, że mi przygadała, ale mam normalną głowę. Mówi się publicznie takie kretyństwa po to, żeby kogoś ośmieszyć.

— Wie, że o niej mówimy. Udaje, że czyta etykietkę na wodzie sodowej.

— Idiotka! Mogłaby już coś innego wymyślić. Przecież wiadomo, że nikt w to nie uwierzy, że ona musi przestudiować ten napis.

— I skończyła na tym jajku? Powiedziała ci tylko tyle? To nie znaczy, abym chciał, żeby ci coś więcej powiedziała, tylko czy na tym skończyła się wasza znajomość? Wyszedłeś zaraz z tego przyjęcia, czy jak?

— Przeprosiła mnie. Natychmiast schwyciła mnie za rękę — oczywiście rozlała przy tym wino na dywan — i powiedziała, że jej strasznie przykro i że mnie przeprasza.

— No to w porządku.

— Inaczej bym się jej nawet nie uklonił. Ale nie lubię jej i wcale mi się nie podoba.

Klara w oczach Maryny;

Maryna wchodzi do garderoby. Światło się pali, ale nikogo tam nie ma. Na krześle przed lustrem wisi sweter, rzucony byle jak, spódnica wgnieciona między oparcie krzesła i siedzenie, otwarta torebka, z której na podłogę wypadła puderniczka, rozsypany puder na

podłódze, obok tego jeden but, drugi obok kosza do śmieci w samym kącie garderoby. Na stoliku siatka z chlebem, dwoma jabłkami i cytryną, kromka chleba z masłem i beret spijający brzegiem masło z chleba. W popielniczce papieros na kupce podartych kawałków listu i straszny swąd palącego się papieru. A więc Klara już jest...

— Ty potworze! — Maryna woła głośno. — Znów zabierasz się do podpalania teatru!

Nikt nie odpowiada, a więc Klary nie ma w pobliżu. Jeżeli Maryna nie słyszy jej głosu, to znaczy, że Klara siedzi u kierowniczkii za sceną i wyłudza od niej bilety dla znajomych albo też telefonuje stamtąd do kogoś. — Cóż to za bałaganiarka! — myśli Maryna o Klarze i wieszka jej spódnicę, składa sweter, podnosi torebkę, rozdmuchuje pył pudrzany po całej garderobie; nie jest to ładne, ale lepiej wygląda, niż taka kupka pudru na jednym miejscu. Wyjmuje beret z masła i ligniną wyciera tłusty brzeg. — Och! Ta Klara! Jej jest obojętne, jak będzie wyglądała w pomiętej spódnicy i wytłuszczonym berecie. Czy Klarze jest dlatego wszystko jedno, że ma dwadzieścia kilka lat i wystarcza jej młodość? Dwadzieścia kilka lat zamiast porządnej spódnicy? Dwadzieścia kilka lat zamiast czystego beretu na głowie? Dwadzieścia kilka lat... Dwadzieścia kilka lat... Cholera!... Czterdziestoletni tłuszcz oblekasz w elegancką bieliznę, czterdziestoletnią głowę zasłaniasz kapeluszem, czterdzieści lat podłe i wyzywające — nie do ukrycia... Czterdzieści lat...

Wchodzi Klara.

— Przystań wreszcie robić bałagan w garderobie! Raz w życiu chciałabym wiedzieć, że tu wszedł człowiek, a nie prosię! — złości się Maryna.

Klara śmieje się i kątem oka spogląda na nią, zdejmując pończochy, Przekornie rzuca je na parapet, potem nagle udaje przerażenie i ciągle patrząc na Marynę, pokornie i przeprasza ją, bierze się do składania pończoch; robi to szalenie precyzyjnie, jakby złożenie tych pończoch było w tej chwili najważniejszym celem jej życia. Maryna nie ma ochoty się udobruchać. Nie daje się przekupić żadnym żartem — czterdzieści lat to nie jest powód do żartów.

— Mistrz dzisiaj wściekły? — mówi Klara. — Będę się starała cichutko oddychać, żeby nie drażnić mistrza...

Klara w swoich oczach:

— Garderoba jeszcze zamknięta? No tak, garderobiana pewnie stoi w Delikatesach w kolejce po szynkę... Ale gdzie jest to kochane, opasłe cielsko — Maryna?

Cisza w korytarzu teatru.

— Trzeba było pamiętać, że o tej porze jeszcze grób i cisza w teatrze. Mogłam spokojnie wyjść pół godziny później z domu. Mogłam... Zostawiam Adama i wychodzę wcześniej. Mówię, że muszę coś załatwić. Nie mam nic do załatwienia. Nie uciekam od Adama, raczej zawsze czekam, żeby do niego wrócić... Ba! Wrócić, tak. Najpierw jest czas bez niego. Ileś tam godzin bez niego... Godziny wypełnione czekaniem, żeby go znów zobaczyć. Nie wie, że wyszłam wcześniej bez żadnego powodu. Uważałby, że to jest przestępstwo. To by u niego znaczyło, że chcę być bez niego. Nonsens! Chcę być z nim, chociaż wyszłam wcześniej... Dlaczego wyszłam wcześniej?

Klara zdejmuje spódnicę, staje pośrodku garderoby, trzymając ją w garści. Teraz dopiero zaczyna się zastanawiać, dlaczego wyszła wcześniej: — Nie mam pojęcia... Czytałam książkę, nawet nie dokończyłam zaczętego zdania, tylko zagmiotłam rozek... Maryna oczywiście nazwałaby mnie wandalą i niechlujem... I nagle pomyślałam sobie, że wyjdę trochę wcześniej, przebiegnę przez dworzec kolejki elektrycznej... Tak, ten dworzec... To jest to właśnie... Chciałam zobaczyć dworzec pełen ludzi. Widzę go każdego dnia, ale to jest co

innego — widzieć, a chcieć zobaczyć. Chcieć być na dworcu. No i byłam. I co z tego? Dlatego zostawiłam Adama... Nie, po prostu wyszłam trochę wcześniej... Wyszłam sobie wcześniej. Kiedy byłam na dworcu, wcale o tym nie myślałam, myślałam wcześniej, taro w domu, potem to już nie miało znaczenia. Teraz trzeba będzie czekać aż pięć godzin, żeby zobaczyć Adama.

Klara markotna i nadaśana siada na krześle Ciągle jeszcze trzyma w rękach spódnice. Spogląda na nią uważnie i z roztargnieniem. Ciągle trzyma tę spódnice i ciągle myśli o Adamie. Przedmiot w ręce staje się niewygodny, wciska go więc na krzesło za siebie. Zaczyna rozpinąć sweter, równocześnie oglądając twarz w lustrze:

— Uwaga! To już się robi widoczne!

Blizna po lewej stronie twarzy, kiedyś zupełnie mała, prawie jak żart, jak coś co dodaje jeszcze uroku, teraz zgrubiała, rozpanoszyła się, pokryła się włosem. To już nie jest puszek! Tu nie ma co żartować! To jest po prostu sierść! — Trzeba będzie zacząć golić to świństwo... Nożyczki! Gdzie są nożyczki? Chociaż trochę podetnę draństwo, a w domu się zgoli... Gdzie diabli wzięli nożyczki?! Nie wzięli, nie wzięli, spokojnie... Nożyczki powinny być w torebce... O parę głupich włosów popadać w rozdrażnienie? Sensu nie ma.

Klara szuka nożyczek. Klara wrywa ze siatki torebkę. Grzebie we wnętrzu torebki, w przepastnym wnętrzu pełnym wszystkiego, tylko nożyczek tam nie ma. — No nie ma, do cholery! — Robi jej się gorąco, więc zrzuca sweter i ciska go za siebie na krzesło. — Gdzież te idiotyczne nożyczki? — Na dnie torebki chleb z masłem, już się wbiła w nie szminka. Usuwa szminkę, wyjmuje chleb i ugryza kawałek. — Po co to robię? Wcale nie jestem głodna. — Kładzie chleb na stoliku. Gorąco... Dotyka czoła, jeszcze ma beret na głowie. Ściąga go i rzuca na stół. Beret oparł się brzegiem o chleb z masłem, ale Klara nie widzi tego, szuka nożyczek. — Nie ma! No nie ma! — Na dnie torebki leży list. Przyszedł wczoraj, miała go spalić, żeby nie drażnić Adama, żeby nie musiał kiedyś natknąć się na ten Ust. — Och, te oczy Adama! Przerazone i nieszczęśliwe... — Drze list na drobne kawałki, które wrzuca do popielniczki, potem zapala papierosa. Nożyczki już się nie znajdują. Po prostu nie wzięła ich z domu. Pali papierosa patrząc w lustro. — Tak, będzie się tę rzecz golić, codziennie. Adam teraz siedzi przy biurku i pisze. Jest sam, może spokojnie pisać. A może właśnie dlatego, że jest sam nie pisze? Bzdura! Powinien wykorzystać moment samotności... Co to znaczy: powinien? „Pani powinna pracować nad sobą”. „Uszy i szyję powinno się myć codziennie”. „Każdy obywatel powinien pamiętać o wypełnieniu swojego obywatelskiego obowiązku”... itd. itd. Adam powinien wykorzystać samotność, ale Adam nie wykorzysta chwili samotności na pisanie, wykorzysta ją na myślenie. Po co o tym wszystkim myśli? Niech rzeczy się same dzieją. Po co myśleć?

Klara pali papierosa patrząc w lustro. — Gdzie jest garderobiana, do cholery? Ona ma nożyczki. Ale właśnie w tej chwili zachciało się jej jeść szynkę i sterczy w Delikatesach, zamiast być w garderobie. Och! O tej godzinie powinna tu siedzieć! Można wcześniej załatwić sprawę brzucha, teraz jej obowiązkiem jest być w garderobie... A Adam siedzi nad nie zapisaną kartką papieru... Po co myśleć? Przecież wszystko jest dobrze... No?... Wielbię go od rana do nocy, tylko niech mi nie każe tego mówić i niech nie żąda dowodów, to jest głupie. A oni zawsze chcą dowodów, zawsze muszą mieć potwierdzenie. Dobrze, jeżeli nie sposób jest żyć bez dowodów, będzie miał dowód. Biedne, skrzywdzone stworzenie... Skrzywdzone o pół godziny... Zadzwoń i powiem mu... Powiem mu... Co? No, coś tam mu powiem... Maleńki dowód, niechże go ma...

Klara rzuca papieros na stertę podartych listów i biegnie do gabinetu kierowniczkii, żeby

zadzwoić do Adama:

— Halo? Co robisz, kochanie?

— A... To ty? Co się stało, że dzwonisz?

— Nic. Chciałam dowiedzieć się, co robisz? I wiesz co...

— Napisałem już pół opowiadania. Czy masz coś ważnego, bo nie chciałbym się wybijać... Tak mi się dobrze zaczęło pisać... Ale nie skończyłaś... Coś zaczęłaś mówić i nie skończyłaś... O co chodzi?

— Och, drobiazg, chciałam zapytać, czy nie zauważyłaś gdzieś moich nożyczek? Nie mogę ich znaleźć w torebce...

— Nożyczki? Jakie nożyczki?

— No, moje, do paznokci, ale to drobiazg, nie przerywaj sobie pisania.

— Rzeczywiście, wolałbym się już nie odrywać...

— Tak, tak, całuję. — Klara kładzie słuchawkę na widełkach. — No proszę, on też nie widział nożyczek — myśli sobie. Gdzieś tam tkwi zdziwienie, że Adam pisze, że jednak pisze, choć ona wyszła wcześniej i... Odrzuca uczucie, które sprawia jej lekką przykrość,

— To nie ma znaczenia, przecież poszła zadzwonić żeby się dowiedzieć o nożyczki. Tak, taki był istotny powód tego telefonu, z całą pewnością.

Wraca do garderoby i widzi Marynę. Marynę złą. Marynę, która składa jej rzeczy. — Ach! Musiałam pewnie niezbyt dokładnie złożyć garderobę, ale jakie to ma znaczenie? Jakie znaczenie ma fakt, gdzie wisi spódnica? Czy zmieni się coś w moim życiu, albo w życiu Maryny, jeżeli spódnicę powieszę na wieszaku? Maryna potrafi być uciążliwa... Zaraz milion groźnych min... Jedna głupia zgnieciona spódnica decyduje o humorze Maryny. Złożę teraz tak dokładnie pończochy, że nie będzie miała powodu wątpić w moją dobrą wolę...

Łypnięcie oka w stronę Maryny:

— Mistrz dzisiaj wściekły? Będę się starała cichutko oddychać, żeby nie drażnić mistrza.

Znów oko na Marynę i już widać, że skończyły się żarty. Nie ma celu stosować zaczepek. Nie wolno! Maryna jest naprawdę zła.

Klara w myślach gani siebie: — Jestem bałaganiarz, trzeba się do tego przyznać. Powinnam jednak składać rzeczy, które z siebie zdejmuję. Teraz Maryna będzie się wściekać cały wieczór. Jestem po prostu... No? Co jestem? Och! Co mnie to obchodzi. — I pac, pac, pacnęła szminką po twarzy, najpierw jasnym kolorem, potem ciemnym, rozprowadza szminkę od brody aż do włosów i zaczyna starannie malować oczy.

Klara w oczach reżysera:

Reżyser otworzył drzwi garderoby i zatrzymał się z ręką na klamce:

— O! Panie już na pozycji? Rozumiem; wymiana poglądów przed pracą. Tak, tak, trzeba. Naprawdę, to jest konieczne. — Patrzył przymrużając oczy i uśmiechał się krwiożerczo. Przyglądał się Klarze uważnie, bezczelnie, nie przestając się uśmiechać.

Klara schyliła trochę niżej głowę, żeby go lepiej widzieć w lustrze. Uśmiechnęła się.

Ładna — pomyślał — bezdennie głupia, ale ładna. Czemu te dziewczyny są tak strasznie głupie? Ta odkupuje swoją głupotę młodością i urodą. Nawet nie to, że jest taka ładna... Jest bezwstydnie pociągająca... Jest naga... Jest naznaczona seksem. Duża odwaga, albo raczej duża nierozwaga, nosić taki tatuaż z seksu na twarzy. — Podszedł do Klary, pochylił swoją twarz do odbicia jej twarzy w lustrze i powiedział:

— Starzeje się pani. Ma pani wyniszczone oczy i puste jak ryba. — I śmiejąc się wyszedł z garderoby.

— On ma bzika — powiedziała Klara po jego wyjściu i zaczęła dokładnie oglądać swoje oczy. — Czego właściwie chciał? Jakie ja mam oczy? Jak ryba? Co on chciał przez to powiedzieć?

— Po prostu podobasz mu się — powiedziała Maryna, apatycznie wklepując szminkę w twarz.

Klara w oczach Adama:

„Kim jesteś, Klaro? Kim jesteś, Klaro? Kim jesteś, Klaro? Bo nic o tobie nie wiem”... — Adam siedział przy maszynie do pisania. W maszynie pusta kartka z numerem strony jeden. Obok na stole sterty kartek, na których czerwonym ołówkiem wypisywał te zdania, pytajniki:

„Kim jesteś, Klaro”?

— Klara wyszła wcześniej z domu. Dlaczego? Pewnie nie może już na mnie patrzeć? Drażnię ją... Chyba tak. Jestem po prostu piłą, a nie człowiek. Piłuję ją kawałek po kawałku:

„O czym myślisz w tej chwili? Czy o mnie? Czy o nas? Czy o tamtym? Kim jestem w twoim życiu? Kim ON był dla ciebie? Takie rzeczy trzeba wiedzieć”... Adam wstał, poszedł do kuchni napić się wody, wrócił do pokoju, zebrał zapisane kartki, podarł je, usiadł przy stole, pochylił się nad maszyną, wpatrzył się w pustą kartkę, oparł głowę na rękach, potem wysunął jedną rękę i zaczął znów pisać na kartkach leżących na stole: „Kim jesteś, Klaro”... Uniósł głowę, oparł się o krzesło, myślał:

— Dziecko? Może... Ma naiwny sposób pojmowania rzeczy: stół to stół, dynia to dynia... A czemu boi się odpowiedzieć natychmiast, gdy pytam, o czym myśli? Jest spłoszona, rzuca ukradkowe, złodziejskie spojrzenia, ma przerażenie w oczach, a potem śmieje się i mówi, że o niczym nie myślała. Może jest sprytna i oszukuje? Dlaczego chce mnie oszukać? Gdyby mi powiedziała wszystko, wszystko mógłbym zrozumieć. Z całą pewnością zrozumiałbym... W każdym razie wiedziałbym. Chcę wiedzieć. Chcę wszystko o niej wiedzieć i nic nie wiem. Kim jestem dla niej? Jacy byli ci przede mną? Ilu ich było? Nie wierzę w to, co ludzie mówią o Klarze... Powiedzmy, że miała trzech... czterech mężczyzn... Nie wierzę w to, co się o niej mówi. Czemu mi nie chce sama powiedzieć? Jeżeli miała dziesięciu... dwudziestu mężczyzn... To kim ja jestem dla niej? Czy jestem dwudziestym pierwszym? Ja! Numer dwadzieścia jeden! Tak kiedyś będę określony w jej życiu... Co to znaczy: „będę”? Czyli że kiedyś mogę przestać być... Ona może przestać...

Adam wstał i znów roztrzęsionymi rękami szukał szklanki, żeby się napić wody. Wszedł do łazienki, spryskał wodą całą twarz i włosy, wymył ręce i jeszcze raz twarz. Zamknął deskę sedesu i usiadł z głową opartą o umywalkę:

— Kim jesteś, Klaro? Patrzysz na mnie oczyma, w których jest miłość. Czy to nawyk? Czy tak patrzyłaś na każdego z nich? Przecież to jest nie-moż-li-we! Nasz wypadek powinien być jedyny, bo inaczej jaką będę miał gwarancję, że ja to jestem ja, a nie numer dwadzieścia jeden?

Zadzwoił telefon. Dzwoniła Klara; Po rozmowie Adam stanął na środku pokoju:

— O czym ona mówiła? O jakich nożyczkach? Nożyczki!... Szkoda, niewiele mi miała do powiedzenia. Może w ogóle nie ma o czym ze mną mówić?... Niech to diabli wezmą! Muszę przecież zacząć pisać to opowiadanie. Do Ucha z Klarą...

Długi Koko — czyli oplakane skutki radosnego tworzenia

Długi Koko wygląda jak głodny wilk, ale to nic nie znaczy — może mieć gołębie serce. Twarz Długiego Koko to podłużne bruzdy i w środek wciśnięte gorejące oczy. Tak, określenie w sam raz — gorejące oczy. Te oczy są ciemne i żarzą się w podłużnych bruzdach. Długi Koko jest młodym człowiekiem i to już jego osobista sprawa, dlaczego i przez co został tak pobrużdżony. Nie ośmielam się dociekać tego, a nuż popełniłoby się tu jakąś pomyłkę; o pomyłki najłatwiej. Bierzmy Długiego Koko takim jaki jest, z tymi bruzdami i z tym gorejącym okiem. Bierzmy go zupełnie gotowego i umieśćmy go w istniejącej sytuacji. Bo Długi Koko dostał do roboty sztukę. Dodajmy, że jest to pierwsza sztuka, którą Długi Koko będzie reżyserował w teatrze.

Przewidywania aktorów na temat realizacji spektaklu nie odbiegały od zwykłych norm; mówiło się: „On skopie tę sztukę. Co on może wiedzieć o teatrze? Nic. Ale może nie będzie się wymądrzał, bo to swój chłop. Jakoś sami zrobimy to przedstawienie, a on niech tylko weźmie pieniądze za reżyserię, bo przecież ktoś je musi wziąć”.

No i Długi Koko przyszedł na pierwszą próbę. Zaciągając trochę z wileńska podziękował nam za zaufanie, że zgodziliśmy się zagrać w jego reżyserii, potem jeszcze dodał, że on jest szalenie zabawny jako reżyser, że chciałby, abyśmy się bawili tą sztuką, a przy okazji, na marginesie zabawy, może uda nam się coś dobrego zrobić. Bardzo ładne wystąpienie. Zaraz ktoś z tego skorzystał i potoczył się jakiś żarcik jak perła. Z bruzd jakby wysunęły się trochę oczy, obmacały żartownisia, ale zaraz cofnęły się na swoje miejsce i Długi Koko odpowiedział żartem na żart.

W rozkosznym nastroju rozmyślałam, na czym też będzie polegać szampańska zabawa z tą sztuką i z Długim Koko. Życie już nieraz mnie zaskoczyło, więc byłam gotowa przyjąć to NOWE, to całkiem INNE. Do tej pory znałam próby albo tak nudne, że wstrzymywały nawet na dwa tygodnie ruch robaczkowy jelit, albo tak niepokojące, że człowiek z powodu nerwów powinien siedzieć wyłącznie w WC — ale śmiesznych prób nie znałam. I oto Długi Koko stwarza jakąś inną możliwość.

Kiedy wszyscy w nieobliczalnym a zgubnym uczuciu szczęścia gadaliśmy jeden przez drugiego, prawili sobie fałszywe komplementy i gratulowali szczęścia dostania się do tej wesołej sztuki, przedarł się przez szum i gwar głos Długiego Koko:

— No to teraz, kiedy już wszystko wiemy, zabierzmy się do roboty. Chciałem jeszcze zaznaczyć, że absolutnie nie będę tolerował braku znajomości tekstu. Daję wszystkim tydzień czasu na nauczanie się roli. Jeżeli ktoś przyjdzie nie przygotowany, to ja będę zmuszony zerwać próbę.

Żart wydawał nam się przedni, zwłaszcza że Długi Koko mówił to z kamienną twarzą. Ach ci komicy! Ci prawdziwi komicy! Oni dlatego są tacy śmieszni, że są tak bardzo serio.

No i za tydzień pękła bomba, bo Długi Koko zerwał próbę. I gdzież tu żart, pytam się was dobrzy ludzie? A Długi Koko jak już zaczął żartować, tak żartował dzień za dniem. Siedział z ponurą twarzą, a zmarszczki zdawały się przedostawać aż na drugą stronę jego czaszki. Mizerniał, biedaczyna, jadowicie cedząc słowa:

— Ja dotąd byłem dobry. Przymykałem oczy na wszystko. Ale to się musi skończyć! Nie będę nikogo uczył grać! Od tego każdy ma zawód aktora! A pan mi się głupio miota po

scenie i ogląda się jakby pan miał ogon za sobą! I czego pan tam tak szuka?

— Ja proponuję — wyjąkał zagadnięty niepewnie.

— A co pan proponuje, można wiedzieć?

— Jeszcze nie wiem, ale szukam... Chyba mam prawo poszukać środków wyrazu?

— To niech ten wyraz coś wyraża, proszę bardzo! Ale ja muszę wiedzieć, co pan chce wyrazić przez to okręcanie się do tyłu.

Człowiek, któremu przyszło do głowy szukać czegoś za swoimi plecami, cichutko rzucił w kulisę:

— Zabiję sk...byka! Niech mnie ktoś powstrzyma, bo inaczej skoczę mu do gardła!

— Co pan tam mówi? — zaryczał Długi Koko. — Czy to znów jakaś nowa propozycja?

— Nie — odpowiedział łagodnie tamten. — Wleciał mi proch do oka.

Długi Koko ginie przez swoje poczucie humoru. Sztuka ma być zagrana tak śmiesznie, że on siedząc na widowni powinien bez przerwy trzymać się za brzuch i ryczeć ze śmiechu. Nie powinien w ogóle reżyserować. Powinien się tarzać ze śmiechu! Tymczasem aktorzy wchodzą jeden za drugim na scenę, Długi Koko trzyma się za brzuch, bo czuje, jak mu wrzód pęcznieje do rozmiarów sporego balonu (tu trzeba nadmienić, że Długi Koko odczuwał przykrą dolegliwość wrzodową). Spodziewał się, że radosne tworzenie sztuki uleczy jego chorobę, jak mleko i sen, ale niech nikt na świecie nie próbuje na nic liczyć; przeliczy się. I Długi Koko się przeliczył. Gdyby wcześniej Wiedział, co się będzie działo, nie tknąłby tej sztuki! Gdzie on miał oczy, kiedy wybierał sobie aktorów? Taki Alutek... Wydawałoby się, że w marzeniach nie można znaleźć lepszego aktora na tę rolę, a teraz Alutek stoi na scenie i po prostu nie wie, co ze sobą zrobić.

Długi Koko delikatnie dotknął żołądka, sprawdzając, czy aby tam coś nie pękło z nadmiernej wściekłości, która w nim kipiała, potem w myślach złożył sobie przysięgę, że w żadnym wypadku nie będzie wrzeszczał, że zachowa zimną krew i postara się delikatnie doprowadzić Alutka do roli. Wskoczył na scenę, oczywiście potykając się o drewniane schodki, które specjalnie dostawia się w czasie prób, aby reżyser nie musiał wykonywać skoków bezpośrednio z podłogi na scenę, zwłaszcza że to dla niektórych z większym brzuchem jest nie do wykonania, ale Długi Koko nie ma tych trudności, może wskoczyć z podłogi na scenę i robi to, zawsze jednak potykając się o te wściekle schodki, które ze względów na przepisy bhp muszą być dostawione. Kiedy się znalazł już na scenie, pocierając obolałe kolano, co oczywiście stwarza dodatkowy powód nienawiści do Alutka, powiedział spokojnym głosem, tak jak sobie obiecywał, i nie widać było po nim wzburzenia, chyba że ktoś odczytał je w załamywaniu się głosu, który w niektórych miejscach przechodził w falset. Długi Koko tłumaczył, jak trzeba rozegrać scenę, w której pan mecenas, wybierający się żelazną koleją w podróż, mając u boku Kazia, czyli dziecko z piekła rodem, w pełnym napięciu nerwów oczekuje przyjazdu pociągu.

Długi Koko ma za zadanie wyjaśnić im, jak mają to zrobić, żeby było najlepiej, najpyszniej, najśmieszniej, więc nie zważając na wrzód, który lada chwila może nie wytrzymać napięcia nerwów, Długi Koko tłumaczył łagodnie Alutkowi, zaciskając przy tym szczęki, aby nie drżały z wściekłości:

— Stary! Przecież to takie proste! Wtedy jak Kazio ci gędzi o pieczeni z parampomy i o udźcu z dzikiego bawołu, to ty masz być martwy! Nie skacz, jakby ci ktoś wrzucił za kołnierz gorącą marchew z rosółu, tylko patrz na walizki! Ty tylko liczysz swoje walizki i nic cię więcej nie obchodzi!

Na to Alutek, jak zwykle namolny i dokładny pyta:

— Ale w końcu ile jest tych walizek na scenie? Bo ja stale liczę do ośmiu, a nie wiem, czy ich w ogóle jest osiem?

Długi Koko na chwilę zapomniał o niebezpieczeństwie, na temat którego wiedzę udostępniła mu medycyna, zaryczał tak głośno, aż suflerce ze strachu spadł z kolan egzemplarz sztuki. Kiedy schylała się, żeby go podnieść, straciła małą lampkę w rogu za sceną, lampkę, przy której zawsze niszczyła sobie oczy, gdyż było to jedyne źródło światła przysługujące za kulisami suflerce, chociaż bywała ona niekiedy osobą najważniejszą, kiedy pamięć płała aktorom figle. Długi Koko zeskoczył ze sceny, wcisnął się między fotele pierwszego rzędu a swój reżyserski stolik, rąbnął łokciami o stolik i ukrył twarz w dłoniach. Siedział wciskając mocno pięściami oczy w środek swojej skołatanej głowy, w której myśl za myślą tworzyły coraz wyraźniejszy obraz Alutka wbijanego na pal albo rozciągniętego na krzyżu, lub jeszcze lepiej — przypiekanego od strony pięt. Nawet pociągnął lekko nosem, czując już swąd przypalanej skóry. To go uratowało, natychmiast przyszło bowiem skojarzenie z pieczeniem. Długi Koko lubił jeść. Niejeden raz człowiek przysłuchiwał się z otwartą gębą rozprawom o pieczonych prosiętach czy też udźcach baranich tak kruchych, że aż do niczego tej kruchości nie dało się porównać. Więc Długi Koko poczuł głód. Może to nawet nie on poczuł głód, tylko jego wrzód domagał się natychmiastowego wypełnienia żołądka, dosyć na tym, że zrobiono małą przerwę, aby Długi Koko mógł przekąsić bułkę z białym salcesonem. Nie było to co prawda pieczone prosię, ale jednak złagodziło wściekłość Długiego Koko. Kiedy zasiadł potem przy stoliku i znów musiał poprawić Alutka w scenie z partnerką, robił to łagodnie, nawet nie wskakując na scenę, tylko rzucając ciche słowa od strony stolika:

— Słuchaj, stary — instruował Długi Koko — jak się migdalisz do facetki i Kazio się ciebie czepia, to nie możesz patrzeć na kobietę, nie reagując na zachowanie Kazia. Musisz coś zrobić!

Alutek zdawał się nie pojmować, więc Długi Koko spróbował dokładniej wyjaśnić:

— Powiedzmy, że dziecko puści w salonie bąka, to jak zareagujesz?

— No, oczywiście udam, że nic nie zauważyłem — odpowiedział bardzo serio Alutek.

Długi Koko oczekiwał zgoła innej analizy tekstu, ale Alutek miał własne spojrzenie na życie i na sztukę. I to była ta tragiczna pomyłka! Po co wziął Alutka do tej roli?! Jaki diabeł go podkusił? Ten człowiek albo rzeczywiście nic nie rozumie, albo robi mu po prostu na złość! Teraz już niestety nie ma mowy o wycofaniu się! Teraz już trzeba brnąć do końca! Katorga! A sztuką trzeba się bawić! Ale czy tutaj ktoś w ogóle wie, co to jest zabawa? Grabarze, nie ludzie! Oni pogrzebią tę sztukę! A przede wszystkim pogrzebią jego! Długi Koko zamyslił się nad swoim ostatecznym losem. Już widział siebie na katafalku, a wokół płacząca rodzina i przyjaciele. Lecz cóż to? Pośród żalobnej gromadki beczelnie rozpierająca się postać Alutka! Trzeba nie być człowiekiem, żeby sobie na coś takiego pozwolić! Alutek tutaj?! On, przez którego właśnie stało się to straszne nieszczęście! — Wont z nim! Żebym go tutaj nie widział! Chcę mieć spokój, chociaż po śmierci! — Długi Koko nie mógł się skupić na tekście mówionym przez Alutka. Co chwila obraz przeskakiwał, przenosząc go z jednej rzeczywistości w drugą; raz Alutek jawił mu się jako aktor (oczywiście marny!), drepczący na swoich płaskich stopach wokół partnerki, to znów Alutek w czarnym garniturze kręcił się wokół katafalku ze zwłokami Długiego Koko, nie mogąc się zdecydować, gdzie stanąć, tak aby wosk ze świecy nie kapał mu na garnitur. — Ten nawet w wypadku mojej śmierci nie zdecyduje się na nic konkretnego — pomyślał Długi Koko. — Gdybym go zapytał, co by zrobił, widząc mnie na katafalku, na pewno by najpierw poskrobał się jednym palcem w

środek klatki piersiowej (gdzie, jak wierzy ten przeklęty hipochondryk, ponoć czai się jakaś jego wielka, nieznaną choroba... Z całą pewnością przeżyje wszystkich, choć najbardziej jęczy), a potem by powiedział:

Kochany, no cóż? To by zależało od okoliczności: gdyby było lato, starałbym się jak najszybciej ulotnić z pomieszczenia, gdzie złożono twoje zwłoki, w zimie... ale to też zależy, jaka temperatura byłaby w pokoju... W zimie może bym chwilę porozpaczał z wszystkimi pospołu, ale to też uzależniam od mojego stanu zdrowia... Wiesz, jak źle się czuję, więc być może, gdybym się czuł tak jak dzisiaj... Potworne! Co dzisiaj jest w atmosferze... Czy nikt nie czuje tej duchoty? Jak tak dalej pójdzie, to chyba jutra nie doczekam... Ale wracając do twojej śmierci... Więc nie mam pojęcia... Ale przepraszam cię bardzo, czy ty aby także się źle czujesz, że zacząłeś na temat śmierci?... — To jest właśnie cały Alutek! — myślał Długi Koko. — Ten człowiek w żadnej sytuacji nie jest w stanie zdecydować się na jedną i właściwą reakcję! Zawsze musi kombinować, przymierzać się do każdej sytuacji z pięćdziesięciu stron, a praca nad sztuką to nie jest nic innego, tylko zabawa! Każdy powinien się bawić i wtedy sztuka sama się robi! Ale kto tu coś wie o zabawie, prócz mnie? Jestem jedynym człowiekiem, który świat widzi poprzez łyż śmiechu, a to są wszyscy grabarze!

Alutek zaniepokojony spojrział na Długiego Koko. — Biedaczysko! — pomyślał. — Miły chłop, ale nie powinien brać się do robienia sztuki, która wymaga poczucia humoru. Ja w tej scenie sam siebie przeszedłem, a on ani się uśmiechnie. Ot klęska! Jesteśmy krajem ludzi ponurych. Medycyna powinna się tym zająć. Ponuractwo jest chorobą tak samo szkodliwą jak gruźlica albo nie daj Boże rak... Ciekawe, co mnie tak gniecie w klatce piersiowej? Nie muszę nawet naciskać palcem, a czuję, jak gniecie... Człowiek wy lezie z jednej choroby, to zaraz druga się na niego wali! Przecież to co miałem ostatnio, było nie do zniesienia! Bez przerwy ten zapach nafty pod nosem! Dlaczego właśnie nafta? Dlaczego na przykład nie płatki róż? Chociaż bez przerwy zaciągać się zapachem róż, to by też było nie do zniesienia.

Długi Koko przyjrzał się Alutkowi. — No! Nareszcie coś się w tym człowieku zaczyna dziać! Po raz pierwszy zareagował właściwie na kwestie partnerki. Pewnie wreszcie zaczął myśleć o sztuce, a nie o swoich urojonych chorobach.—Kiedy Długi Koko uwierzył, że Alutek zaczyna myśleć „rolą”, uspokoił się na tyle, że już nie musiał co chwila sprawdzać dłońią miejsca, gdzie jego wrzód dawał znać o swoim istnieniu.

Próba toczyła się względnie sprawnie, do momentu przebiórki jednej z aktorek. Przebiórka trwała dosłownie sekundy. Aktorka wyskakiwała za kulisy, gdzie już czekała garderobiana z innym kostiumem w ręce, błyskawicznie ściągała poprzedni kostium, czyli stroik kabaretowy, i ubierała się w suknię z kuperkiem. Taki kuperek zakłada się pod suknię i wtedy suknia pięknie sterczy na wypukłości kobiecego ciała. Pech chciał, że tego fatalnego dnia, już w czasie ostatnich prób generalnych, przyszła nowa garderobiana, która nie tylko miała małe pojęcie o przebieraniu aktorów, ale w dodatku żadnego pojęcia o zakładaniu stylowych sukien, toteż kiedy doszło do błyskawicznej przebiórki, garderobiana, której ktoś wcisnął w ostatnim momencie kuperek od sukni aktorki, niewiele się namyślając, zawiesiła jej ten kuper na plecach. Aktorka, która równocześnie wkładała buty, kapelusz i poprawiała makijaż, nie zwróciła na ten fakt uwagi, dopiero przy zapinaniu sukni zaczęło się to, co zwykliśmy nazywać momentem Sądu Ostatecznego: zamieszanie, krzyki, płacze. Aktorka wzywała Pana Boga na świadka, że oto uczyniono jej największą z krzywd, dano jej jakiś inny kostium, który w żaden sposób nie da się dopiąć! Jest to najwyraźniej złośliwa intryga, aby ją tak zdenerwować, żeby słowa nie mogła powiedzieć na scenie. Drogocenne sekundy uciekały, a kostium nie chciał się dopiąć! Garderobiana przysięgała, że jest to właściwy kostium i ona nic

nie rozumie, ale być może pani przytyła i stąd trudności.

— Co? Ja przytyłam?! Proszę się liczyć ze słowami! Można o mnie rozsiewać najgorsze plotki, gwizdzą na to, ale nie pozwolę sobie ubliżyć! Nie przytyłam ani grama!

Długi Koko już od dłuższej chwili czaił się do skoku. Czuł w sobie krwiożerczą chęć, aby podgryźć komuś gardło! Bruzdy najeżyły się na jego twarzy jak sztylety, oczy wyskoczyły przed bruzdy i wpiły się w miejsce, z którego już dawno powinna wyjść aktorka, a nie wychodziła.

— Co pani tam u licha robi?! — zaryczał. — W takim tempie można robić dzierganą robótkę, a nie przebierać się! Proszę wejść na scenę, bez względu na to, w jakim stanie jest pani kostium!

Więc weszła... Wszyscy aktorzy za kulisami, z których nikt nie posiada ani grama poczucia humoru, tarzali się teraz ze śmiechu na widok amantki z wielkim kabłąkiem na plecach. Tylko jeden Długi Koko zachował kamienną powagę; być może wrażliwość nie pozwoliła mu śmiać się z kalectwa; w końcu co w tym śmiesznego, jeżeli się widzi śliczną dziewczynę z takim olbrzymim puklem?...

Okazuje się, że sprawa poczucia humoru jest bardziej skomplikowana, niż to na oko wygląda. Długi Koko, najprzedniejszy humorysta, który nie tylko zalecał, ale wręcz rozkazał bawić się sztuką, z trudnością dobijał do końca tej zabawy. Coraz częściej przyciskał dłoń do miejsca, gdzie wrzód, który być może nie znał się na żartach, pęczniał i ostrzegał, że najdalej za dzień, dwa postara się zwalić z nóg Długiego Koko, jeżeli ten nie zaprzestanie zabawy.

W przededniu premiery człowiek człowiekowi był wilkiem, każdy krążył po korytarzach i garderobie z obnażonymi kłami, gotów do natychmiastowego ukąszenia. Alutek zapowiadał że nie zagra premiery, ponieważ bolą go płuca, wątroba, pęcherz, stawy, a co najgorsze - znowu czuje zapach nafty pod nosem, co zawsze jest u niego oznaką zbliżającej się agonii. Nawet już wydawał rozporządzenia, co należy mu przynieść, kiedy będzie leżał w szpitalu, bo nie chce, żeby na przykład dziesięć osób przyniosło mu jednocześnie pomarańcze, zwłaszcza że on pomarańcz nie jada; zawsze ma po nich wysypkę.

Główna kobieca rola po każdym wejściu na scenę schodziła z powrotem z płaczem i krzykiem:

— To są próby generalne, a ja nie mogę włożyć pończoch ani butów i kapelusz mi bez przerwy spada! Cały świat to jedno wielkie draństwo!

Inna aktorka, charakteryzując się przed wejściem na scenę, nagle krzyknęła, oglądając swoje wygolone pachy:

— Dziewczęta! Ja za chwilę mogę zemdleć! Poczuję się krwią!

Kto żyw, rzucił się do oglądania tego fenomenu. Dała się wszystkim napatrzeć. Uniosła w górę ręce i wyjaśniła:

— Zauważyłam, że mi się zaczynają pocić ręce. Dotykam się pod pachami, patrzę, a tam jest krew! Patrzcie! Prawdziwy krwawy pot! Umieram ze strachu! Czuję potworny zamęt w głowie! Jakby zbliżała się burza piaskowa!

Nikt nie był pewien, czy zbliżająca się burza piaskowa wywołuje zamęt w głowie i krwawe poty. Ktoś wysunął przypuszczenie, czy to aby nie jest sprawa stygmatyzmu i zaczęła się opowieść o dziewczynie, która... Działo się to w Niemczech, oczywiście przed wojną, dzisiaj takich rzeczy nie ma... Ta młoda Niemka, zresztą ten ktoś nie pamiętał, czy owa Niemka była młoda, ale jakie to ma znaczenie, dosyć na tym, że wystąpiły jej na dłoniach stygmaty, jakby ślady przekłucia gwoźdźmi, a prawie był Wielki Piątek...

Osoba z krwawym potem nie pozwoliła dokończyć historii o pewnej Niemce; teraz nie było

czasu na zamierzchłe opowieści, teraz trzeba się było za wszelką cenę ratować! Zrzuciła z siebie szlafrok i w czarnym staniku i czerwonych majtkach runęła na podłogę, stosując ćwiczenia Jogi.

— Tylko to mnie może uratować — wyjaśniła już spokojniej. — To ćwiczenie nazywa się „Płóg”. — Za chwilę wstała lekko i z wdziękiem, jakby przed chwilą wcale nie zbliżała się do niej burza piaskowa. Zabierając się do skończenia charakteryzacji, powiedziała od niechcienia:

— Jakie to dziwne, że tylko brzuch przestawić w inną pozycję i od razu robi się lepiej w głowie...

Ktoś wtedy nieopatrznie powiedział, aby może Długiego Koko zachęcić do takich ćwiczeń. Ktoś jeszcze bardziej nierozsądny i zupełnie wyzbyty z poczucia humoru zaproponował mu te ćwiczenia i wtedy Długi Koko doszedł do wniosku, że aktorzy to jednak banda łobuzów, bez odrobiny dowcipu i pożałował chwili, w której zdecydował się na dzielenie z nimi tak szampańskiej zabawy, jaką jest praca nad sztuką.

A jednak w czasie premiery publiczność bawiła się jak na najlepszej komedii. Kiedy Długi Koko wrócił po premierze do domu, uraczony przedtem owacjami i gratulacjami, kiedy zasiadł w kuchni przed maszynką gazową, aby dopilnować ziółek, dotknął delikatnie miejsca, gdzie powinno boleć i... Nie bolało! Nacisnął trochę mocniej... Nie zabolało! — Tracę rozeznanie — pomyślał Długi Koko. — Czy ja właściwie mam ten wrzód, czy go nie mam? Przecież w coś człowiek musi wierzyć! Wierzyłem na przykład, że sztukę należy traktować jak zabawę... W co mam wierzyć? W radość tworzenia czy w mękę tworzenia?... Banda łobuzów! O mało mnie nie wykończyli, razem z moim wrzodem! Jak to się stało, że nagle wyszła z tego taka zabawa?...

Długi Koko zdrzemnął się z głową opartą o maszynkę gazową. Wtedy wykipiwały ziółka i sparzyły mu czoło. Kiedy znalazł się w szpitalu i za jednym razem chciał już wszystko wyleczyć, okazało się, że w żaden sposób nie da się u niego stwierdzić obecności nawet najmniejszego wrzoda. Może to nawet i dobrze, bo w przeciwnym wypadku nie mógłby zjeść tych pomarańcz, które mu przyniósł Alutek, kiedy przyszedł go odwiedzić w szpitalu.

SPIS TREŚCI

Życie artystki Kingi Kidney ...

W środku nocy ...

Na godzinę przed przyjściem ptaków ...

Przeprowadzka Nózki ...

Czerwone Góry ...

Siódma wersja Judasza ...

Melodramat ...

Od rana do południa ...

Klara ...

Długi Koko — czyli opłakane skutki radosnego tworzenia ...